- Piękna Meg i tajemniczy mordercy — str. 11
- Reporter na starym tropie — str. 6
- Mozaika narodowa ZSRR — str. 2
- Ślady morderczej działalności NKWD str. 4

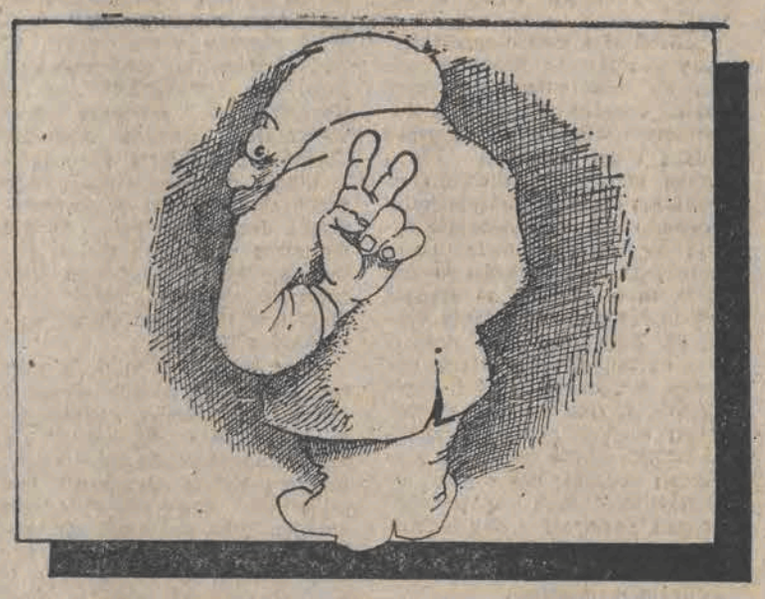

Rys. Dariusz Romanowicz

za tydzień szczegóły!
NOWE FORMY OGŁOSZEŃ
W „ODGŁOSACH"
JEŚLI CHCESZ WIEDZIEĆ WCZEŚNIEJ
zadzwoń! tel. 36·80·99
codziennie (prócz sobót) od 10 do 14
Poszukujemy też akwizytorów ogłoszeń
Prosimy zgłaszać się do redakcji
lub dzwonić pod nr. 36·80·99

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 11 (1668) ROK XXXIII 18 MARCA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

Chłopi są zniecierpliwieni, zawiedzeni, rozgoryczeni i gotowi walczyć o swoje racje.

Wieś ostrzy kosy

EUGENIUSZ IWANICKI

Na wsiach wrze. To nie chwyt dziennikarski. Najpotężniejsza organizacja wiejska, jaką jest Krajowy Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych od kilku miesięcy wiedzie spór z rządem o ceny na produkty rolnicze. Chłopi nie chcą zaakceptować sytuacji, w której — ich zdaniem — producent żywności jest dyskryminowany. Jak kraj długi i szeroki wszyscy żądają, by chleb, mleko i mięso taniały, natomiast nikt nie wnika w fakt, że gwałtownie rosną ceny środków produkcji, obciążenia finansowe i oprocentowanie kredytów. Np. podatek w stosunku do roku 1989 wzrósł dziesięciokrotnie, składki na ubezpieczenie społeczne — czternastokrotnie, składki ubezpieczeń rzeczowych — ośmiokrotnie, pozostałych podatków — dziesięciokrotnie, energia elektryczna — pięciokrotnie, olej napędowy — prawie dwukrotnie, środki ochrony roślin — dwudziestokrotnie, nawozy mineralne — czterokrotnie itp.

Miały obowiązywać gwarantowane ceny skupu mające zabezpieczyć rolników przed żywiołowym działaniem wolnego rynku, co przedstawiciele wsi wynegocjowali w czasie obrad „Okrągłego stołu" i w czasie ubiegłorocznej ogólnopolskiej akcji protestacyjnej. Niestety, rząd umowy nie dotrzymał, gdyż Ministerstwo Finansów jednostronnie odstąpiło od tych ustaleń. Wówczas Krajowy Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych — co wynika z jego statutowych obowiązków — postanowił, że co miesiąc będzie ogłaszać kierunkowe ceny skupu. Minister Finansów uznał, iż *„powyższe działania wywrą negatywny skutek dla gospodarki jako całości, są one inflacjogenne i spowodują zahamowanie skuteczności rynkowych mechanizmów kształtowania cen skupu"*

Konflikt trwa.

Zbiegł się on z akcją wyborczą w Spółdzielniach Kółek Rolniczych, w Kółkach Rolniczych i w Kołach Gospodyń Wiejskich. W miniony poniedziałek takie zebrania odbyły się w Rydzewie i w Dębołęce gm. Brzeźnio, woj. sieradzkie.

W Rydzewie prawie wszyscy należą do Kółka Rolniczego, a zebrania odbywają się w mieszkaniu sołtysa Leszka Kmietczyka, który jest także przewodniczącym KR.

Spotkanie rolników od początku miało burzliwy charakter. Mniej mówiono o wyborach (przecież wszyscy się znają od lat), a więcej o sytuacji na wsi. Właściwie było to nieustające oskarżenie pod adresem obecnego rządu.

— Ludzie, proszę pana, już nie wierzą, że w Polsce może być lepiej.

— Partia była zła, ale ten rząd nie jest wcale lepszy.

— Jak się włączy telewizor, to ciągle się widzi sprzeczających się ze sobą profesorów, którzy chyba nigdy na oczy nie widzieli chłopa ani warunków, w jakich on żyje i pracuje. Ot, przelewają z pustego w próżne i tyle.

— Czy któryś z nich, tam w Sejmie czy Senacie, chociaż zainteresował się, że tona węgla kosztuje ponad 200 tysięcy? Skąd brać na to pieniądze?

— Pewnie myślą, że z samego mleka można zostać na wsi milionerem!

A jeśli chodzi o mleko, to może pan nam wytłumaczy, dlaczego jest tak, że za 1 litr pierwszej klasy płacą w zlewni 430 zł, ale tylko w dniach od 1 do 15 każdego miesiąca, bo już od 15 do końca miesiąca klasyfikują nasze mleko jako gatunek drugi i płacą 390 zł za litr?

— Pytaliśmy księdza, może on rozumie, o co tu chodzi, ale tylko się zdziwił.

— Swoją Krasulę

7

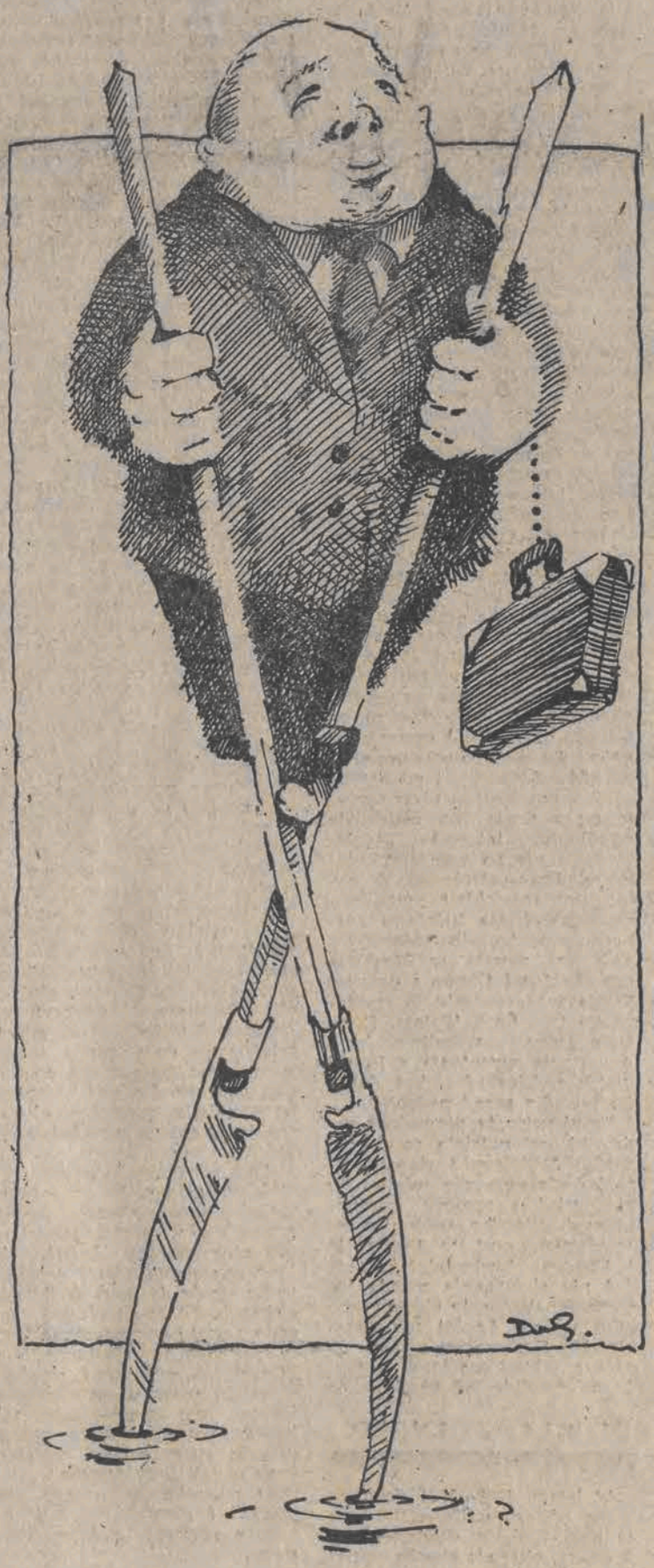

Rys. Dariusz Romanowicz

Piłsudski darzył go poważaniem, jeśli nie sympatią. Stalin chciał z niego uczynić „polskiego Paasikivi". Beria powiedział: „Książę, potrzebujemy takich jak Pan". W prywatnych apartamentach przyjmował go w czasie okupacji Goering.

Tajemnicza misja Janusza Radziwiłła

RYSZARD BADOWSKI

W swoich wspomnieniach, spisanych na emigracji zimą 1947—48 roku, generał Kiemens Rudnicki, który w pierwszych latach okupacji organizował grupy oporu przeciwko Niemcom w Krakowie i przeciwko Rosjanom we Lwowie, odnotował ciekawe spotkanie. Miało ono miejsce na początku 1940 roku, przed wydostaniem się generała, wówczas jeszcze pułkownika, z Warszawy do Paryża z raportem dla Naczelnego Wodza o sytuacji w Polsce.

„Korzystam jeszcze z bytności w Warszawie, ażeby zobaczyć się z księciem Januszem Radziwiłłem, który po dłuższym pobycie w więzieniu w Moskwie, powrócił właśnie dzięki staraniom osobistym Goeringa. Niemcy szukają bowiem kogoś, kto zgodziłby się z nimi współpracować jako reprezentant Polaków. Chcą stworzyć coś w rodzaju rządu proniemieckiego w Kraju".

Dlaczego ich wybór padł na ordynata na Ołyce, przedwojennego posła i senatora, przedstawiciela ziemiaństwa kresowego?

Książę Janusz Franciszek Ksawery Radziwiłł urodził się w Berlinie. W jego żyłach płynęła krew Hohenzollernów. Miał liczne znajomości wśród arystokracji niemieckiej. Był zagorzałym zwolennikiem polityki równowagi i dobrosąsiedzkich stosunków Polski z oboma wielkimi sąsiadami. A wtedy właśnie Joachim von Ribbentrop obejmował się z Wiaczesławem Mołotowem. Związek Radziecki i Niemcy zawarły traktat przyjaźni. Gdyby Janusz Radziwiłł zgodził się na kolaborację z Niemcami, byłby wygodny również dla Kremla. Tu pamiętano, co mówił o stosunkach polsko-radzieckich jeszcze w 1933 roku:

— Od lat dziesięciu popełniamy błąd pewnego lekceważenia tych stosunków. Gra tu rolę znowu moment uczuciowy... Musimy dbać o nasze stosunki handlowe z Rosją, o pewną penetrację do Rosji.

Przed oblicze Ławrientija Berii.

1 września 1939 roku członek Komisji Spraw Zagranicznych Senatu ks. Janusz Radziwiłł przyjechał z Ołyki do Warszawy. Zaproponował prezydentowi Ignacemu Mościckiemu i członkom rządu schronienie w swoich włościach. Po ewakuowaniu się władz państwowych ze stolicy prezydent Ignacy Mościcki zatrzymał się w Ołyce od 8 do 14 września. Odwiedzili go tam premier Felicjan Sławoj Składkowski, minister spraw zagranicznych Józef Beck i marszałek Edward Rydz-Śmigły, który kwaterował w pobliskim Młynowie, majątku Chodkiewiczów. W Krzemieńcu, gdzie zainstalował się rząd, książę rozmawiał z dyplomatami, szykującymi się do opuszczenia Polski. M.in. z nuncjuszem Filippe Cortesim, ambasadorem Stanów Zjednoczonych Anthonym Drexell-Biddlem, ambasadorem Francji Leonem Noelem. Wbrew ich namowom nie podjął próby wyjazdu.

— Byłem przygnębiony widokiem powszechnej ucieczki i nie chciałem brać w niej udziału — powiedział do Izabelli Radziwiłłowej.

20 września 1939 roku został aresztowany na zamku w Ołyce wraz z synem Edmundem. Zaimprowizowany „sąd ludowy" w mieście opowiedział się za jego zwolnieniem. Tylko dwie spośród około 100 osób były za rozstrzelaniem „polskiego pana".

Tu aż się prosi dygresja. Po rewolucji lutowej w Rosji ludność powiatów sąsiadujących z Równem wybrała księcia Janusza Radziwiłła do lokalnej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich! Po kilku miesiącach został przez komitet rewolucyjny tejże rady skazany na śmierć wraz z rodziną. Ocalił mu wówczas życie pewien rosyjski generał, a działacz bolszewicki Józef Unszlicht, członek piotrogrodzkiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, pomógł mu uzyskać paszport, z którym Janusz Radziwiłł udał się przez Sztokholm do Berlina.

5

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze – od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

Związek Radziecki ma 22 mln 403 tys. km kw. powierzchni (jedna szósta lądów na kuli ziemskiej) i 285 mln ludności. W całym społeczeństwie Rosjanie stanowią 52,4 proc., Ukraińcy — 16,1 proc., Uzbecy — 4,7 proc., Białorusini — 3,6 proc., Kazachowie — 2,5 proc., Tatarzy — 2,4 proc., Azerowie — 2,1 proc., Ormianie — 1,6 proc., Gruzini — 1,4 proc., Mołdawianie, Tadżycy i Litwini — po 1,1 proc., Turkmeni — 0,8 proc., Niemcy, Kirgizi, Żydzi i Czuwasze — po 0,7 proc., narody Dagestanu — 0,6 proc., Łotysze i Baszkirzy — po 0,5 proc., Mordwini, Polacy i Estończycy — po 0,4 proc., Czeczeni i Udmurci — po 0,3 proc., Maryjczycy i Osetyjczycy — po 0,2 proc. Wymieniłem tylko narody liczące ponad pół miliona. Wszystkich narodów i narodowości jest przeszło sto.

Już sama Rosja jest największym państwem świata. Na obszarze 17 mln 75 tys. km kw. mieszka 146 mln osób. W poszczególnych republikach związkowych Rosjanie stanowią: w Rosyjskiej — 83 proc., Kazachskiej — 41 proc., Łotewskiej — 33 proc., Estońskiej — 28 proc., Kirgiskiej — 26 proc., Ukraińskiej — 21 proc., Mołdawskiej i Turkmeńskiej — po 13 proc., Białoruskiej — 12 proc., Uzbeckiej — 11 proc., Tadżyckiej — 10 proc., Litewskiej — 9 proc., Azerbejdżańskiej — 8 proc., Gruzińskiej — 7 proc., Armeńskiej — 2 proc.

W republikach związkowych jest 20 republik autonomicznych, 8 obwodów autonomicznych, 10 okręgów narodowościowych, 6 krajów i 121 obwodów. Nie wszyscy wiedzą, że na Dalekim Wschodzie istnieje od 1934 r. Żydowski Obwód Autonomiczny. W rejonie znacznie większym od Izraela (36 tys. km kw.) żyje tam około 200 tys. ludzi, głównie Rosjan, Żydów i Ukraińców. Stolicą obwodu jest Birobidżan (75 tys. mieszkańców) leżący przy Kolei Transsyberyjskiej. Miasto założyli pierwsi osadnicy żydowscy, którzy w maju 1928 r. przyjechali specjalnym pociągiem z Ukrainy i Białorusi. Było ich sześciuset. Władze przekazały Żydom wolne ziemie w strefie nadamurskiej, aby je zagospodarowali i utworzyli narodową jednostkę administracyjną.

SCENARIUSZE PRZYSZŁOŚCI ZSRR

Wielu polityków zastanawia się dziś, jaka będzie przyszłość Związku Radzieckiego. Jan Nowak-Jeziorański przewiduje w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" (nr 9) dwa niebezpieczne procesy: szybkie pogarszanie sytuacji gospodarczej oraz pogłębianie i rozszerzanie tendencji separatystycznych. Oba procesy prowadzą do konfliktów społecznych na wielką skalę.

„Przyszły scenariusz zależy od tego, czy puste żołądki Wielkorusów grać będą tak mocno, że stłumią wybuch nacjonalizmu. W tym pierwszym wypadku grozi ZSRR rewolucja społeczna, w drugim wojna domowa Wielkorusów z całą mozaiką kilkudziesięciu większych i mniejszych narodów ZSRR, bowiem wzajemne antagonizmy uniemożliwiają utworzenie wspólnego, antyrosyjskiego frontu. Stosunek sił byłby nierówny. Wydaje się prawdopodobne, że wojna secesyjna w ZSRR skończy się raczej zwycięstwem nacjonalistów rosyjskich niż wyłonieniem konfederacji, opartej na dobrowolnym związku wszystkich jej członków. Oznaczałoby to powrót do dawnego despotyzmu Rosji przedrewolucyjnej, być może odrodzenie nazizmu w jego rosyjskiej odmianie, ale pod starymi hasłami walki z Żydami, masonami, kosmopolityzmem, kapitalizmem itd. Zalążki takiego ruchu już istnieją w postaci „Pamiati" i zbliżonych organizacji".

Jan Nowak-Jeziorański uważa za mało prawdopodobne, aby Gorbaczowowi udało się sterować pokojowym procesem przemian. Napotyka on na coraz silniejszą opozycję z lewa i prawa, komplikuje się sytuacja gospodarcza i narodowościowa. W tych warunkach coraz trudniej utrzymywać kontrolę bez użycia siły, a jej zastosowanie **grozi wybuchem wojny domowej.**

„ZSRR stoi wobec wewnętrznych problemów, które prowadzą do osłabienia, być może nawet czasowego paraliżu supermocarstwa. Otwiera to przed Polską i jej sąsiadami historyczną okazję odzyskania i utrwalenia pełnej niezależności i demokracji. Równocześnie rysują się na horyzoncie nowe zagrożenia. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy ze stopnia gospodarczego uzależnienia kraju od Sowietów. Bez dostaw ropy naftowej, rudy żelaza, bawełny itd. stanąć musi część przemysłu. Gospodarcza słabość Polski i całej Europy Środkowo-wschodniej stworzy niebezpieczną podnietę dla elementów nacjonalistycznych w zjednoczonym państwie niemieckim, które stanie się potęgą nie mającą na kontynencie prawie żadnej przeciwwagi".

MIĘDZY ROSJĄ A NIEMCAMI

W tym samym wydaniu katolickiego tygodnika społeczno-kulturalnego polecam ciekawy artykuł Stefana Kisielewskiego pt. „Komu potrzebna jest Polska?" Autor podkreśla, że mistrzowie geopolityki od Stanisława Mackiewicza do Stanisława Stommy uczyli go, że sytuacja Polski jest dobra, gdy cele polityczne Rosji i Niemiec są rozbieżne, a zła, gdy oba te państwa zawierają sojusz.

W przypadku zjednoczenia Niemiec zabraknie nam pasa ochronnego w postaci NRD. Społeczeństwo tego kraju, choć szczerze nie lubiło Polski, było kontrolowane przez Rosjan i musiało udawać przyjaźń, co dawało nam gwarancję spokoju.

„W tej chwili natomiast, gdy przyszła postawa tworzących się zjednoczonych i potężnych Niemiec staje się niejasna, zdziw musi apel Lecha Wałęsy o wycofanie wojsk sowieckich z Polski. Czyż to rzeczywiście jest moment do drażnienia Rosjan, gdy polityczne formy zjednoczenia Niemiec nie są jeszcze wiadome, gdy nawet Kohl nie żąda wycofania wojsk sowieckich z NRD? Tego rodzaju apel pasowałby do niepoważnych, dyletanckich grup młodzieży w rodzaju WiP-u czy „Zielonych", w ustach poważnego i zdolnego polityka, jakim jest Wałęsa, wypowiedź taka staje się poważnym błędem politycznym i psychologicznym.

Błąd ten miał już swoje osobliwe echa prasowe. Po doskonałym, kwestionującym postulat natychmiastowego wycofania wojsk rosyjskich z Polski, artykule Janusza Reittera („Gazeta Wyborcza", nr 38, „Po co te wojska") ukazał się w tymże piśmie cykl wypowiedzi czytelniczych, które zaksięgowałbym pod tytułem „Z dziejów głupoty w Polsce". M. in. jeden z owych czytelników mówi: „Dla kilku, kilkunastu, a może kilkudziesięciu lat niepodległości liczonej od momentu opuszczenia wojsk drugiego wroga — gotowy jestem zginąć tak jak zginął mój ojciec". Gratulacje! Niech Pan sobie ginie, jeśli Pan chce, ale niech Pan nie życzy tego całemu narodowi. Bo teoria dwóch wrogów w bezpośrednim sąsiedztwie, a przyjaciół nad Sekwaną czy Tamizą, to pewna, wielekroć sprawdzona droga ku narodowej śmierci".

Stefan Kisielewski od dawna głosi, że powinniśmy utrzymywać sojusz z Rosją na podstawie wspólności interesów życiowych, a nie na zasadzie światopoglądowo-ustrojowej. Z politykami rosyjskimi mogą porozumiewać się ludzie o różnych orientacjach ideowych. Byli już zresztą w Moskwie prymas Józef Glemp i premier Tadeusz Mazowiecki, a wybiera się tam Lech Wałęsa. Powstaje jednak wątpliwość, czy propozycja wycofania z Polski wojsk radzieckich jest dobrą legitymacją przed podróżą?

Przyjmując, że przywódca radziecki jest patriotą rosyjskim, Stefan Kisielewski stawia pytanie, dlaczego nie miałby on skorzystać z pomocy zjednoczonych Niemiec, ustępując im w zamian port w Szczecinie i Pomorze Zachodnie? Skoro już nie obowiązuje zasada internacjonalizmu, to chyba wszystko wolno? Lepiej nie pozostawiać Gorbaczowa sam na sam z takimi myślami, a tym bardziej nakłaniać go do nich.

OTCHŁAŃ PÓŁNOCY

W latach 1939—1941 deportowano półtora miliona Polaków w głąb Związku Radzieckiego. Z głodu, zimna i chorób zginęło 360 tysięcy. Wstrząsające relacje tych, którzy przeżyli, drukuje obecnie wiele pism. W dwumiesięczniku społeczno-kulturalnym „REGIONY" (nr 3) ukazała się pierwsza część wspomnień Edwarda Apanela. Został on najpierw sprzedany z domu dziecka, a następnie wywieziony razem z gospodarzami. Jechali pociągiem 20 dni do portu nad rzeką Ob, a potem płynęli statkiem do kołchozu wśród tajgi, który zbudowali w 1932 roku chłopi wysiedleni z Ukrainy.

„Jest dokładnie 20 lipca 1941 roku. Po paru dniach otrzęsienia ze wszystkiego, otrzymujemy wici, że mamy stawić się na ogólne zebranie kołchozowe. Kołchoz będzie decydował, kogo przyjąć, kogo nie. Przedtem miałem kilka dni czasu na wałęsanie się tu i tam. Kołchoźnicy pracowali. To ja czasem im pomogę coś zrobić. Mieli farmę królików. Farma olbrzymia. Jak mi mówiła pracownica, a była nią nasza gospodyni domu, że ma tych królików 2000 sztuk. Króliki są własnością kołchozu. Farma dobrze utrzymana. Jest ogrodzona siatką drucianą. Przy siatce ciągnie się pasmo zielonej trawy, która jest koszona dla królików, jest pastwisko dla nich. Krów nie mają, tylko kołchoźnicy po jednej indywidualnie. Za to zajmują się uprawą roli, sianiem zbóż, uprawą łąk, zbieraniem siana dla bydła. Mają hodowlę świń, ale również nie w kołchozie. Okazuje się, że cztery czy pięć kilometrów dalej jest wioska Sobolinka nr 2. Tak się nazywa, a tam są obory dla krów, tam są chlewnie. Tam jest również szkoła wiejska. (...) Domy stały w ciągu drogi. Ogródków przydomowych nikt nie miał. Chociaż były możliwości na założenie takich poletek. Rosły chaszcze koło domów, żadnych kwiatów. Tylko dom przewodniczącego kołchozu wyróżniał się ogrodzeniem i małym ogródkiem z kwiatami. (...)

Po pięciu dniach przyjechał przewodniczący z rejonu, przyjechał też jakiś pewnie bardzo ważny przedstawiciel władzy ludu. Jesteśmy wszyscy na zebraniu kołchoźników. Program przedstawia następująco przewodniczący kołchozu: przyjmowanie członków — nowych wysiedleńców z republiki litewskiej. Wyczytuje nazwiska, a przy każdym nazwisku mówi: byłszy kułak. Zadają pytania kołchoźnicy, ile ma lat, czy zna się na pracy na roli, na hodowli. Odpowiadają — całe życie pracowałem na roli. Ale kułaczka mogła nie pracować, tylko na nią pracowano. To i może nie umieć wykonywać prostych robót. I tak słowa padały — przyjąć. Na końcu ja zostałem. Więc pytam kołchoźników, dlaczego ja nie jestem na liście? Przewodniczący popatrzył na mnie. A ja ciebie nie mam w dokumentach. Ciebie nie ma. Przyjechałeś z gospodynią, jesteś małoletni. Ona winna ciebie karmić. Gospodyni wstaje, kiedy jej przetłumaczam co jest mówione. Ona wstaje i mówi, że mnie zrzekła się jeszcze w Birżaj, że mam zapłacone, co była mi winna za pracę. I mnie utrzymywać nie będzie. Przewodniczący popatrzył na nią surowo. I odezwał się do mnie, no jak ci zapłaciła za twoją pracę, to możesz żyć z kapitału".

Edward Apanel miał wówczas 13 lat. Musiał sam na siebie zarabiać. Do kołchozu syberyjskiego przywieziono z Litwy kobiety z dziećmi. Natomiast mężczyzn wcześniej skierowano do kopalń w zagłębiu kuźnieckim. Nie pozwolono im zabrać z pociągu nawet jedzenia. Deportację przedstawiono jako wielkie dobrodziejstwo. Pocieszano wysiedleńców, że zostali uratowani przed Niemcami, choć akcję rozpoczęto zanim hitlerowcy uderzyli na Związek Radziecki. Wszystkich załadowano do wagonów towarowych przygotowanych do długiej podróży. Po obu stronach wagonu były trzypiętrowe prycze. Jedna prycza przypadała na rodzinę.

„Tak wszystko było przemyślnie urządzone, by w jednym takim wagonie mogło jechać przynajmniej ze czterdzieści osób plus zabrany bagaż. Na środku wagonu został wypiłowany otwór do potrzeb fizjologicznych. Za to na oknach wagonu zostały zamontowane kraty z grubych płaskowników. Wszystkich nas przed wsadzeniem do wagonu szczegółowo jeszcze raz zrewidowano, zabrano wszystkie ostre narzędzia, a więc noże i widelce. Przy okazji były jeszcze zabierane wartościowe rzeczy, jak zegarki i obrączki, jeżeli nie zostały zawczasu dobrze schowane.

Tak mniej więcej pamiętam pierwszy dzień, teraz przez kratę przyciskam swoją drobną twarz i przyglądam się nowym pasażerom. Mówię, znajdującym się w wagonie kobietom i mężczyznom, co widzę. Podjeżdża ciężarówka pod same drzwi wagonu i następuje wyładowywanie. Dookoła ciężarówki stoją z najeżonymi sztykami żołnierze w szpiczastych czapkach, na których widnieje gwiazda zwycięstwa Rewolucji Październikowej z 1917 r. Żołnierze są opaleni i uśmiechnięci. Co rusz pocieszają wysiedleńców. Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze. Przesiedlają was tam, gdzie będziecie mieli bezkresne pola. Czekają na was gotowe gospodarstwa rolne. Jesteście przecież dobrymi rolnikami".

W PÓŁ DROGI

Z literatury wspomnieniowej polecam również ciekawy tekst Zygmunta Hübnera, który odnaleziono w papierach zmarłego niedawno wybitnego aktora i reżysera. Jest to częściowo autobiografia powstała w grudniu 1963 lub styczniu 1964 roku, a częściowo esej. Brakuje tytułu i zdań końcowych. Cytuję fragmenty dotyczące lat okupacji:

„Z tych pierwszych lat okupacji szczególnie utkwił mi w pamięci obraz Niemca, który gonił po Marszałkowskiej małego chłopaka, aby wreszcie dopaść go i skatować w jakimś zagłębieniu muru. Ten chłopak był moim rówieśnikiem — miał może dziesięć, jedenaście lat. Wobec tych poglądowych lekcji, jakich na każdym kroku udzielało nam życie, bezradni stawali rodzice i nauczyciele. Dotychczasowe systemy wychowawcze, wpajane od maleńkości normy etyczne trzeba było wyrzucić na śmietnik. Umiejętność kłamstwa stała się cnotą, a kradzież straciła cechy występku. Jeżdżenie na gapę było czynem patriotycznym. Ale czynem patriotycznym była też nauka łaciny na kompletach. Póki więc wiek nie pozwolił nam zająć się pracą konspiracyjną, uczyliśmy się z prawdziwym zapałem. Skądinąd nie na wiele to się zdało, skoro dziś nie potrafię sklecić po łacinie najprostszego zdania. Jak się to dzieje, że mój ojciec mimo sędziwego wieku pamięta nie tylko łacinę, ale i grekę, pozostanie dla mnie zawsze niedocieczoną tajemnicą.

Jesienią 1943 roku (miałem trzynaście lat) zostałem wciągnięty do tajnego harcerstwa. Na pierwszej zbiórce — ustalenie pseudonimów i wykład o konspiracji. Notowało się skrótami na karteczce papieru, którą później zmiętą w kulkę wkładało do rękawiczki. Najbystrzejszy żandarm nie zdołałby jej odkryć. Na wszelki wypadek jednak wracając do domu trzymałem rękę zupełnie martwo, aby nie zwracać niczyjej uwagi. (...)

Wybuch powstania zastał mnie na wsi. Rodzice byli w Warszawie, wyszli dopiero po kapitulacji, z jedną walizką. Zimę spędziliśmy już wspólnie, w majątku naszej rodziny. Majątek był niewielki, nie podlegał nawet reformie rolnej, ale stary park otaczający drewniany, chylący się ku ziemi dwór prezentował się okazale. Nic dziwnego, że żołnierze radzieccy traktowali nas jako „pamieszczikow". Pierwsze oddziały przyszły w nocy. Kiedy rano ubrany w długie buty i krótki kożuszek wyszedłem na podwórze piłować drzewo z wiejskim chłopakiem pracującym we dworze, podszedł do nas jeden z żołnierzy.

— Kto ty? — zwrócił się do mnie. Odpowiedziałem: „chaziaj" — w błędnym mniemaniu, że znaczy to tyle, co „obywatel". Dla żołnierza znaczyło to tyle, co obywatel ziemski. Zwrócił się więc do chłopaka piłującego ze mną drzewo i wskazując na mnie powiedział: — Dlaczego on jest lepiej ubrany od ciebie? Zabierz mu to. — Chłopak wytłumaczył, że jestem warszawiakiem, żołnierz zrozumiał, pokiwał głową i uspokojony odszedł. Tak wyglądała moja pierwsza lekcja rewolucji".

Wspomnienia Zygmunta Hübnera opublikował miesięcznik „DIALOG" (nr 1). Wydrukowano również tekst słuchowiska radiowego, zapiski i ostatni felieton reżysera oraz wspomnienia o nim Jana Ciechowicza, Marty Fik i Zofii Szczygielskiej.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Przed świtem 10 lutego 1940 r. otworzyły się drzwi mojego kawalerskiego pokoju. W drzwiach stał miejscowy cywil z czerwoną opaską na rękawie, za nim oficer Czerwonej Armii, młody, około 22 lat, z wyglądu dość sympatyczny. Lejtnant w spokojnym tonie oświadczył: — Proszę spakować swoje rzeczy i pojedziecie z nami.

W pierwszej masowej deportacji, która mnie i moją rodzinę dotknęła, były głównie rodziny leśników i osadników wojskowych z Kresów Wschodnich. Wywieziono również rodziny policjantów, oficerów oraz pracowników państwowych lub prywatnych majątków. Wszyscy pozostawili cały swój dobytek.

W Baranowiczach przeładowano nas do wagonów dostosowanych do szerokich torów. Mijaliśmy Mińsk, Tulę, Kujbyszew, Ufę, Nowosybirsk, Tomsk, Krasnojarsk. Nasz wagon skierowano w głąb tajgi do łagru Udacznyj. 5 marca 1940 r. byliśmy na miejscu — wspomina JAN KSIĘŻNIK.

— W nocy z 28 na 29 października 1938 r. około 15 tysięcy obywateli polskich narodowości żydowskiej deportowano z terenów Rzeszy do Polski. Większość wysiedlonych polska straż graniczna skupiła w prowizorycznym obozie w Zbąszyniu. Rząd polski postanowił odpowiedzieć odwetowymi wysiedleniami obywateli niemieckich w zachodniej części Rzeczypospolitej, w tym także z województwa łódzkiego. Wojewoda otrzymał polecenie przeprowadzenia w ciągu najbliższej doby akcji wysiedleńczej. Zdecydowano przygotować wydalenie 350 osób, a deportować natychmiast 100. W pierwszej kolejności postanowiono usunąć z Polski obywateli Rzeszy narodowości żydowskiej, a dopiero później osoby narodowości niemieckiej. Wydawało się, że puszczona w ruch machina policyjna bez przeszkód przeprowadzi akcję wysiedleńczą. A tymczasem wojewoda otrzymał polecenie anulujące poprzednie decyzje — mało znany epizod z najnowszych dziejów Polski przedstawia JANUSZ WRÓBEL.

— Zima się skończyła, tak jak skończyły się burżujskie rządy na Białorusi. Przyszła wiosna, tak jak my — żołnierze Armii Czerwonej — aby wybawić proletariat polski od tyranii kapitalistycznej. Wzeszło wyżej słońce, aby zniszczyć chłody — tak jak nasze rosyjskie SŁOŃCE: ojciec Stalin i ogrzać chłopów i robotników promieniami wolności i dobrobytu. Rozkwitło wszystko dookoła i zazieleniło się swobodnie — tak jak w Związku Radzieckim. (...)

Jednak ta wiosna i mnie trochę w głowie zakręciła, bo omal nie zakochałem się w burżujce. Ale w porę opamiętałem się i miłość moją zlikwidowałem. Rozumiecie sami: żarcie dobre, baby zaś nie mam, więc czasem różne takie męskie myśli do głowy przychodzą i człowiek całkiem zgłupieje. Otóż niedaleko koszar było kilka straganów, w których kobiety tutejsze sprzedawały różne jedzenie i herbatę. Zauważyłem ja tam pewną, niczego sobie, babuleńkę — „Zapiski oficera Armii Czerwonej" SERGIUSZA PIASECKIEGO.

— Nie będziemy robić konkurencji dr Michalinie Wisłockiej i innym specjalistom, bo my spojrzymy na seks z punktu widzenia odżywiania. Kłopoty z seksem wcale nie są rzadkością, bywają powodem cichych tragedii, nieraz rozwodów z krzywdą dzieci, a wielu ludzi po prostu unieszczęśliwiają. Nie jestem lekarzem, a jednak... ileż razy musiałam wysłuchiwać zwierzeń na temat seksu. Naturalnie, że można się obejść bez współżycia seksualnego, choć wielu ludziom nie tylko u nas, ale na świecie — wydaje się to nienormalne. (...) Czy tu odżywianie może coś pomóc? Jak zawsze — może, choć sprawy seksu wiążą się bardzo silnie ze sprawami emocjonalnymi, uczuciowymi, namiętnościami, pobudzeniem płciowym — fragment książki IRENY GUMOWSKIEJ pt. „Wenus i Atleta".

Z tej ziemi

Dlaczego niezbędna jest tolerancja?

Polska cieszyła się sławą wielkiej tolerancji, przyjmowała innowierców, broniła ludzi prześladowanych, dała schronienie Żydom przepędzanym z innych krajów Europy. Ale i w Polsce zdarzały się przypadki nietolerancji.

1.

Tolerancja: *„uznawanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, czyjegoś postępowania, różniących się od własnych; wyrozumiałość".*

Można to ująć lapidarniej: — Żyj i daj żyć innym, szczególnie jeśli ci inni są rzeczywiście inni. Ten, kto postępuje inaczej — z różnych zresztą pobudek — jest nietolerancyjny.

Nietolerancyjni są niewątpliwie mieszkańcy tych miejscowości, którzy w swoim pobliżu zabraniają osiedlać się nosicielom wirusa HIV. Nietolerancyjni są ci, którzy uważają, że tylko oni i wyłącznie oni mają monopol na patriotyzm, rację, prawdę i inni muszą przyjąć ich punkt widzenia. Nietolerancyjni byli komuniści-stalinowcy, którzy swoich przeciwników, jak i tych, którzy myśleli trochę inaczej unicestwiali, zamykali w obozach, deportowali, przesiedlali, wypędzali z kraju, skazywali na milczenie i śmierć cywilną. Nietolerancja nie zrodziła się jednak w XX wieku.

2.

W „Encyklopedii staropolskiej" Zygmunta Glogera — według wydania z lat 1900—1903 — tolerancję religijną Polaków przypisuje się wrodzonym cechom narodu lechickiego, który *„uosobiwszy w sobie wszystko, co dobrego i złego posiadał rdzenny charakter słowiański, nie wziął udziału ani w wojnach krzyżowych, ani potem w sekciarskich".* Cytuje on też słowa, które o tolerancji Polaków napisał Jerzy Wagner.

„Gdy w czasie reformacji wielu Niemców wystawionych było w swoim kraju na jak najstraszniejsze prześladowanie, wtedy w katolickiej Polsce znaleźli oni gościnny przytułek. Polska już o wiele dawniej prześcignęła w tolerancji wiary najbardziej cywilizowane państwa. Podczas gdy we Francji Molai i Joanna d'Arc skończyli na stosie, gdy noc św. Bartłomieja i wojny religijne setki tysięcy pochłonęły ofiar, gdy w Hiszpanii terroryzm religijny Filipa, w Holandii fanatyczni siepacze Alby, w Anglii krwawe rządy Maryi — niezliczone święcili hekatomby w ludziach, gdy Niemcy spalili Husa i nawet to samo uczynili z prochami Wiklefa w sto lat po jego śmierci — gdy się jeszcze przez cały wiek rozdzierali w krwawych wojnach religijnych — wydał w Polsce Kazimierz Wielki już w r. 1356 statut tolerancyjny i z Polski uczynił schronisko dla wszystkich, którzy w ówczesnym cywilizowanym świecie skazani byli na prześladowania i śmierć. (...) Dysydentom sejm w Wilnie w r. 1573 przyznał równe prawa z katolikami. Niemieckie szkoły, kościoły i nabożeństwa cieszyły się nawet osobnymi przywilejami. Niemcy w Polsce mieli ochronę swej narodowości i języka w kościele i w szkole, słowem, cieszyli się koloniści niemieccy tak licznymi prawami i wolnościami, że ich bracia w Niemczech oblizywaliby sobie wszystkie dziesięć palców, gdyby byli mogli uzyskać takie same socjalne wolności".

Miło, że tak dobrą opinię o polskiej tolerancji wystawił był Polakom niemiecki pisarz. Czy powtórzyłby ją dziś w odniesieniu do czasów nam współczesnych?

Początkowo pojęcie tolerancji odnoszono wyłącznie do spraw związanych z religią. W „Encyklopedii staropolskiej" Zygmunta Glogera jest tylko hasło: *„Tolerancja religijna w Polsce".* W miarę rozwoju politycznego społeczeństw odnosi się ona już nie tylko do religii. Zanim się to jednak stało w 1573 roku w Warszawie uchwalono Akt Konfederacji Warszawskiej, który między innymi postanawiał:

„A iż w Rzeczypospolitej naszej są niezgody niemałe w sprawie religii chrześcijańskiej, zabiegając temu, aby się z tej przyczyny między ludźmi zamieszki wewnętrzne jakieś nie wszczęły, które po innych Królestwach jawnie widzimy, obiecujemy sobie wspólnie, w imieniu własnym i naszych potomków, na wieki, przysięgając na wiarę, honor i sumienie nasze, którzy jesteśmy różni religią — pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w kościelech krwie nie przelewać, ani się karać wzajemnie konfiskata dóbr, pozbawieniem czci, więzieniem albo wygnaniem".

Znacznie wcześniej, bo w 1416 roku Paweł z Włodkowic w „Traktacie o władzy papieża i cesarza w stosunku do niewiernych", który to traktat złożył był soborowi w Konstancji, tak głosił:

„Niewiernym wolno bez popełniania grzechu władać posiadłościami i majątkami oraz dzierżyć władzę, gdyż wszystkie te rzeczy stworzone zostały nie tylko dla wiernych (chrześcijan), ale dla wszystkich istot rozumnych (ludzi)...".

3.

Świadomość społeczna — traktując ją umownie — posługuje się stereotypami. Krakus — mieszkaniec Krakowa — jest skąpy, czyli *„centuś"*, podobnie zresztą jak Szkot. Niemiec jest gruby, opity piwem i nie kocha Polaków, Czech lubi też piwo i knedliczki oraz nie pała miłością do Polaków. Ukrainiec — to *„rezun"*, Bułgar — pastuch, Rumun — Cygan, Rosjanin — *„krwawy zdrajca"*, który bez przerwy czyha na Polaków. Gdyby tak posługując się tymi stereotypami zastanowić się, gdzie mamy przyjaciół, to okaże się, że tylko w... Morzu Bałtyckim, choć ono też ostatnio solidnie podtrute.

Polacy — oczywiście — są wspaniali, przodują we wszystkim, są natchnieniem Europy, ba! — świata nawet. Świat kocha Polskę i bezustannie śpieszy jej z pomocą. Zawsze liczyliśmy na innych, jak najmniej na siebie i jak wyszliśmy na tym liczeniu, to każdy może zobaczyć. Mimo to megalomania narodowa i polonocentryzm nas nie opuszczają. Kochamy wolność i sprawiedliwość. Jesteśmy na ogół *„rycerzami bez skazy".*

4.

Gwoli prawdy trzeba stwierdzić, że choć Polacy byli tolerancyjni i pięknie się tolerancją zapisali w dziejach Europy, to i u nas nie brakowało ciemnoty, zabobonu i palonych na stosach czarownic.

W 1556 roku zdarzyła się w Sochaczewie rzecz wstrętna, która nie przyniosła nam dobrej sławy. Spalono tam na stosie Dorotę Łazęcką i Żyda Bieniasza. Posądzono ich o to, że Dorota Łazęcka na rozkaz Bieniasza ukradła hostię, z której Żydzi krew utoczyli na mszę. Na spalenie na stosie skazał ich burmistrz Stanisław Borek. Natomiast wojewoda rawski Andrzej Sierpski skazał trzech następnych Żydów z Sochaczewa na spalenie jako winnych w tej samej sprawie. Wieść o tym wydarzeniu dotarła do Zygmunta Augusta przebywającego na Litwie, który nakazał wstrzymanie wyroków. Ale było już po wszystkim.

Zarzut popełnienia mordów rytualnych przez Żydów dotarł do majestatu królewskiego znacznie wcześniej i w 1505 roku sejm z inicjatywy króla Aleksandra nie tylko potwierdził przywileje Żydów w Polsce, ale też przewidział surowe kary za niesłuszne posądzenie Żydów o mord rytualny. Postanowiono wtedy, że aby udowodnić winę potrzeba trzech świadków chrześcijan i trzech świadków Żydów. Jeśli skarżący nie dowiedzie winy — ponosi karę śmierci, jeśli dowiedzie — śmiercią karze się winnego. Tak surowe rygory miały być zaporą przeciw częstym oskarżeniom. Ale przykład sochaczewski i nie tylko pokazuje, że nie były.

Polowania na czarownice trwały przez wieki. Zdarzało się, jak choćby w 1625 roku w Kozienicach, że spalono na stosie siedem czarownic. Szczególne polowania na czarownice urządzano w Jadownikach w 1698 roku. W takich procesach zawsze musiał być ktoś, kto doniósł o czarach, musieli być sędziowie, którzy się na tym zupełnie nie znali, musiał być kat, który znał się na torturach. A czarownicy wystarczało tylko się przyznać i to było już wszystko. Stos miała zapewniony. Z tej „prawnej" zasady korzystano również i w XX wieku.

W 1711 roku synod krakowski stwierdziwszy, że *„niewiasty, szczególnie podejrzane z błahych powodów, przez pławienie albo torturowanie wyprobuwują i szczególnie okrutnie, ani na podstawie przyznania się, bez udowodnienia, ogniem i mieczem mordują"*, zakazał takich praktyk, wymagając, aby sądy kościelne Generalnego Officjała rozpatrywały sprawy o czary. W 1776 roku Sejm zakazał tortur i palenia czarownic. Ale czy skończyła się tym samym epoka ciemnoty?

5.

Przyroda zna to zjawisko. Inny — a więc nie nasz — jest wrogiem i musi być zniszczony. Człowiek wszak szczyci się tym, że jest najlepszym tworem w przyrodzie, posiada bowiem rozum, posiada wolną wolę, dysponuje różnymi nadrzędnymi wartościami, którymi powinien się w swoim postępowaniu kierować. Jest istotą myślącą.

Blaise Pascal w „Myślach" napisał:

„Wielkość człowieka jest wielka w tym, że zna on swoją nędzę. Drzewo nie zna swej nędzy.

Myśl stanowi wielkość człowieka.

Mogę sobie dobrze wyobrazić człowieka bez rąk, nóg, głowy (jedynie bowiem doświadczenie uczy nas, że głowa potrzebniejsza jest od nóg). Ale nie mogę sobie wyobrazić człowieka bez myśli: byłby to kamień albo bydlę.

Myśl tedy jest rzeczą cudowną i niezrównaną przez swą naturę. Musiała mieć osobliwe błędy, aby stać się godną wzgardy; ale też ma takie, że nie ma nic pocieszniejszego. Jakaż jest wielka przez swą naturę! Jakaż niska przez swoje błędy!

Człowiek jest tylko trzciną, najwątlejszą w przyrodzie, ale trzciną myślącą. Nie potrzeba, by cały wszechświat uzbroił się, aby go zmiażdżyć: mgła, kropla wody wystarczą, aby go zabić. Ale gdyby nawet wszechświat go zmiażdżył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim. Wszechświat nie wie o tym nic.

Myśląca trzcina. — Nie w przestrzeni powinienem szukać swej godności, ale w porządku własnej myśli. Nie będę miał więcej posiadając ziemię; przestrzenią wszechświat ogarnia mnie i pochłania jak punkt; myślą ja go ogarniam".

Myśląca trzcina od wieków czyni to samo: sięga szczytów ludzkiej myśli i popełnia straszne błędy, które tylko można nazwać zbrodniami. Punktem wyjścia do tych zbrodni jest zawsze nietolerancja. Wszyscy inni „psują" bowiem ustalony porządek, przeciwstawiają swoje racje naszym i odrzucają to, co zostało podane do wierzenia. Tolerancja nakazuje stworzyć możliwość życia innym ludziom, niech żyją i uznają swoje racje. Nietolerancja nakazuje ich zniszczyć. Jak zniszczyć? — to sprawa czasów i mody, ale jak uczy nas historia najskuteczniejszym sposobem „przekonania" przeciwnie myślących ludzi jest siła, czyli terror. XX wiek w Rosji, Niemczech, Polsce i innych krajach Europy Wschodniej, jak też w Azji i Ameryce Południowej osiągnął w tej dziedzinie szczyty. Ale zawsze zasada jest taka sama: najpierw niszczy się wrogów, później się ich stwarza, na koniec niszczy się własne szeregi. Tak było podczas hiszpańskiej Inkwizycji i w czasach stalinizmu. Myśląca trzcina odkryła mroki swoich myśli. Zniszczyć, aby móc spokojnie żyć — oto cel działania.

6.

Brak tolerancji nie musi zaraz wyrażać się aktami totalnej przemocy. Czasem wyraża się w drobiazgach. Oto w kościele Matki Boskiej Królowej Polski w Nowej Hucie odbywa się msza w intencji pojednania milicji ze społeczeństwem Nowej Huty i Krakowa, zaraz po której grupa „zadymiarzy" gotowała się najpierw do ataku na wychodzących z kościoła, a następnie udała się pod siedzibę MO, którą zaatakowała kamieniami i butelkami. Nikt nie musi kochać milicji, ani policji, można i trzeba dyskutować o jej prawach i obowiązkach, o tym, komu ma służyć, ale do takiej dyskusji nie mogą służyć ani kamienie, ani butelki z benzyną, ani milicyjne pałki. W RPA wypuszczono na wolność murzyńskiego przywódcę Nelsona Mandelę. Jest to niewątpliwie zwycięstwo idei równych praw dla wszystkich ludzi. Trudno się zatem dziwić, że studenci z Afryki przebywający we Wrocławiu swoją radość chcieli wyrazić ulicznymi manifestacjami. Napadli na nich wrocławscy skinowie z flagami przyozdobionymi swastykami, manifestując w ten sposób neofaszystowskie przekonania. W Warszawie demonstranci z Ruchu Alternatywnego Społeczeństwa zaatakowali gmach Sejmu i Senatu RP oraz inne gmachy publiczne, obrzucając je kamieniami i butelkami z benzyną. Przy czym — jak to niektórzy utrzymują — wśród manifestujących anarchistów pojawili się nieznani mężczyźni, starsi wiekiem od anarchistów, którzy właśnie celowali w rzucaniu kamieniami i butelkami. Tego typu manifestacje, mające być prowokacjami przeciw istniejącemu porządkowi, stają się dogodnym sposobem prowokowania zupełnie przeciw czemuś innemu.

Tolerancja nakazuje stwarzać wszystkim warunki dla wyrażania swoich przekonań. Mam wprawdzie wątpliwości, czy taką wolność należałoby dać również neofaszystom i pogrobowcom stalinizmu, ale to szczegółowa sprawa. Zresztą w Polsce publiczna pochwała faszyzmu jest prawnie zakazana (Art. 270 § 2 kk). Tolerancja jest niezbędna dlatego, aby wszystkim stworzyć warunki do działalności politycznej, religijnej, artystycznej, społecznej, kulturalnej zgodnie z ich poglądami, a przez to stworzyć tamę przeciw totalitaryzmowi. Jak do tej pory poza pluralizmem nie wymyślono skutecznego sposobu dla demokratycznego rozwoju społeczeństw.

Chodzi o to, aby nie powtarzać poglądów bezmyślnie za innymi, czego się od ludzi przez całe lata domagano, a pozwolić im myśleć samodzielnie. Maurycy Mochnacki w 1831 roku pisał: *„Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swoim rozumieniem rzeczy koło siebie pojmuje! To wichrzyciel! To burzyciel!"* — i te słowa nie straciły swojej aktualności do dziś. Wszyscy boimy się nawrotu dyktatury, czyja by ona nie była. Adam Krzemiński i Wiesław Władyka napisali w „Polityce": *„Może być strasznie. Rozhuśtane emocje, wybuch nienawiści i nietolerancji, przy którym marzec 68 byłby betką. I wtedy będzie chodziło o konfrontację racjonalizmu z szaleństwem, tolerancji z nienawiścią".* A nikt chyba tego nie chce!? I właśnie dlatego potrzebna jest tolerancja, aby do tego nie doszło.

W naszej przeszłości mamy piękne karty tolerancji i wstydliwe karty obskurantyzmu. Wybór należy do nas, do czego nawiązać. Opowiadam się za tolerancją!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Samotna matka nie zawsze oczekuje pomocy.

Jak skutecznie pomagać innym?

Kłopotów, z jakimi borykają się samotne matki jest bardzo dużo i są one poważne — ustalenie ojcostwa, eksmisje byłych mężów, wysokie opłaty w żłobkach i przedszkolach, groszowe zasiłki. Wielu kobietom samotnie wychowującym dzieci doskonale jest znana sprawa niskich alimentów i problemy z ich wyegzekwowaniem.

Mówi sędzia sądu rejonowego: — *Sądy rodzinne są zawalone pracą, 2/3 rozstrzyganych przez nie spraw to sprawy alimentacyjne. W ubiegłym roku odbyło się w kraju 2,5 mln spraw tego typu. Sądy praktycznie nie zajmują się niczym innym, jak wyznaczaniem wysokości alimentów. W przypadkach, kiedy rodzic opuszczający współmałżonka poczuwa się do opieki nad dzieckiem i łożenia na jego wychowanie, nie ma większych problemów, natomiast tam, gdzie została zerwana więź, rozwiedzione strony wstępują na drogę sądową.*

Alimenty zasądza się kwotowo. Z różnych względów nie jest możliwe ustalenie proporcjonalnego wzrostu alimentów w stosunku do zmiany zarobków. Nie ma mądrego, który byłby w stanie określić, ile dziś kosztuje wychowanie dziecka 5-letniego, ucznia, nastolatka, a ile studenta. Sądy nie wiedzą, ile obecnie wynosi minimum socjalne. To, co było w grudniu, dziś już jest nieaktualne.

Nie ma rozwiązania uniwersalnego. W tej sytuacji alimenty należałoby podwyższać z miesiąca na miesiąc. Być może jakimś wyjściem z sytuacji byłoby zasądzanie alimentów w postaci pewnego procentu od zarobków.

Sędzia kontrargumentuje: — *Jest to możliwe, ale tylko w odniesieniu do sfery budżetowej. Stanowi to jednak mały margines, bo zaledwie 1/4 — 1/3 spraw.*

Znaczna część ojców pracuje prywatnie i nie ujawnia prawdziwych zarobków, a sąd nie jest przecież urzędem skarbowym, który ustala faktyczną wysokość dochodów obywateli.

Mówi adwokat: — *Często zdarzają się przypadki, że ojciec deklaruje 120 tys. poborów, a alimenty zostają ustalone w wysokości 150 tys. zł. Wszyscy godzą się na taką umowę, choć nikt nie wierzy w prawdziwość oświadczeń zarobkowych.*

Na rozprawach niejednokrotnie dochodzi do targów o dziecko, adwokaci w imieniu swoich klientów dosłownie licytują się, wydzierając przeciwnikowi z gardła każdy tysiąc złotych.

Adwokat podaje przykład: — *Pewien tatuś oświadczył, że zarabia 180 tys., a ja zażądałem takiej właśnie kwoty jako alimentów dla mojej klientki. Po długich sporach zawarliśmy ugodę na 140 tys. Kto dziś wyżyje przez miesiąc z 40 tys. zł w kieszeni.*

Obecnie pojawił się nowy problem, a mianowicie bezrobocie.

Mówi komornik sądu rejonowego: — *Wiele osób, dotąd terminowo płacących alimenty, przynosi nam zaświadczenia z wydziału zatrudnienia, że zostali zwolnieni z pracy i nie są w stanie łożyć na utrzymanie swoich dzieci.*

Są i sytuacje odwrotne: — *Ojcowie przychodzą po kwitki, że nie płacą alimentów, aby na tej podstawie otrzymać zasiłek dla bezrobotnych. Zaczynają dziać się rzeczy śmieszne, a zarazem żałosne — niebieskie ptaki starają się wykorzystywać koniunkturę i w chwili obecnej jest to zjawisko nie do opanowania.*

Wciąż istnieje fundusz alimentacyjny, który wypłaca pieniądze z ZUS na wniosek komornika. Kwoty te są jednak minimalne. Do tej pory było 13 300 zł, a podobno od 1 marca jest 26 tys. Przy aktualnej inflacji są to sumy żenująco niskie, które nie zabezpieczają nawet podstawowych potrzeb. Jest ogromna lista samotnych matek obarczonych wieloma dziećmi, które otrzymują z funduszu grosze: 5-6 tys. zł.

Bardzo mało jest kobiet, które dbają o podwyższenie alimentów i same zgłaszają się do komornika. Są matki, które mają dzieci z różnymi mężczyznami i nie od każdego tatusia otrzymują pieniądze lub zgoła nie znają wszystkich ojców swoich dzieci.

Mówi komornik: — *Wiele kobiet nie chce dochodzić swych praw w sądach i woli przychodzić po zaświadczenia o niskich alimentach — oddzielnie dla szkoły, oddzielnie dla opieki społecznej itd. Jest grupa pań, które sprytnie kalkulują — pobierają od byłego małżonka na przykład tylko 500 zł, bo przysługują jej wtedy zapomogi, dziecko ma darmowe obiady, stypendium, co w sumie bardziej opłaci się niż podwyższone alimenty.*

— *W obecnym systemie sądy niewiele wiedzą o swoich klientach — jest tu pole do popisu dla terenowych opiekunów społecznych. Część ludzi będzie wstydzić się i nie pójdzie po pomoc nigdzie, a część będzie wykorzystywać wszystkich — szkołę, kościół, PCK, opiekę społeczną* — twierdzi sędzia.

Istnieje tendencja do stworzenia jednej instytucji zajmującej się opieką społeczną, jak również jest pilnie potrzebna centralna kartoteka osób potrzebujących. Nie chodzi o to, aby komuś zabierać zapomogi, ale aby ograniczyć żebractwo i nadużycia.

— *Muszą powstać nowe formy pomocy samotnym rodzicom i ich dzieciom. Być może należałoby wrócić do idei ochronek, jakie na początku wieku prowadziły Siostry Urszulanki. Byłoby to rozwiązanie na przykład w tak drastycznych przypadkach, jak ten, kiedy matka wszystkie otrzymane dary i zasiłki zamienia na wódkę* — zgodnie przyznają wszyscy, którzy zajmują się tym problemem.

Poza waloryzacją alimentów pozostaje jeszcze kwestia ich wyegzekwowania. Zazwyczaj zobowiązani do płacenia są mężczyźni, kobiety są w mniejszości, ale to wcale nie oznacza, że matki nie uchylają się od obowiązku. Z praktyki sądowej wynika, że zachowują się one identycznie i wymigują od alimentów, jak tylko mogą. Wielokrotnie sądy wydają wyroki zaocznie, dłużnicy przepadają, a milicja i komornicy nie mogą ich znaleźć latami.

Kiedy przez trzy kolejne miesiące rodzic uchyla się od świadczeń na dziecko, interweniuje prokuratura. Wystarczy jednak, że alimenty będą wpłacone jednorazowo, a potem znów nastąpi przerwa — postępowanie zostaje umorzone. Dłużnicy świetnie znają i wykorzystują ten przepis, a prawo jest wobec nich bezsilne.

Mówi sędzia: — *Problem jest poważny, bo kultura prawna i poczucie obowiązku jest praktycznie zerowe. Nasze społeczeństwo nie jest nawykłe do ponoszenia odpowiedzialności. Jeszcze wiele musi się zmienić pod tym względem.*

Szykuje się podobno zmiana w prawodawstwie.

— *Przewiduje się uproszczenie pierwszej fazy dochodzenia roszczeń i dopuszczenia do rozpatrywania sprawy na posiedzeniach niejawnych, czyli bez rozsyłania wezwań i obecności zainteresowanych stron. Projekt przewiduje zasądzanie alimentów niejako zaocznie, tylko na podstawie pozwu powoda. Ewentualnie pokrzywdzonemu dłużnikowi pozostawi się możliwość odwołania, a do tego czasu wstrzymana będzie egzekucja wyroku sądu* — twierdzi sędzia sądu wojewódzkiego.

Ale same korekty prawne to nie wszystko...

MONIKA MATUSZAK

ZACHODNIA UKRAINA: — ślady morderczej działalności NKWD.

Ziemia odkrywa swe tajemnice

MONIKA MATUSZAK

Kiedy zbliżał się czerwiec roku 1941 i wybuch wojny był już bardzo bliski, na terenach Ukrainy więzienia były przepełnione. Siedziały w nich dziesiątki tysięcy ludzi. Armia Czerwona zmuszona była wycofywać się przed wkraczającymi Niemcami, więc z tymi, których nie udało się wywieźć w głąb kraju lub wcześniej zamęczyć, rozprawiono się ostatecznie.

W końcu czerwca 1941 roku w podziemiach lwowskich więzień Niemcy znaleźli 5 tysięcy zamordowanych Rosjan, Polaków i Ukraińców. Podobnie było w Drohobyczu, Krzemieńcu, Dubnie, Tarnopolu, Stanisławowie i innych miastach. Nie tylko Zachodnia Ukraina została w taki sposób doświadczona.

W programie telewizyjnym „Wzgląd" ujawniono, że w Bykiwni pod Kijowem rozstrzeliwano więźniów bezpośrednio przed wkroczeniem Niemców. Przypuszcza się, że w tamtejszych lasach NKWD zamordowało około 7 tysięcy ludzi.

Taras Gunczak, redaktor wychodzącej w RFN gazety **„Suczasnist"**, podczas swej wizyty we Lwowie przedstawił przybliżone liczby zamordowanych przez NKWD — w 1941 roku było ich na Zachodniej Ukrainie 35 tysięcy. Opierał się na dokumentach znalezionych w archiwach Koblencji i innych zachodnioeuropejskich miast. Można przypuszczać, że podobne dane znajdują się również we wciąż jeszcze głęboko utajnionych archiwach KGB, o ile ich wcześniej nie zniszczono.

Pamięć ludzka jest zawodna, czas zaciera szczegóły, ale pewne fakty się powtarzają. Informacyjny Biuletyn Towarzystwa Lwa „Postup" w 6 numerze z 1989 roku opublikował wspomnienia świadków wydarzeń z lat 1940—1941. Mówi pani **Jarosławska z Borysławia:**

„Kiedy wkroczyła Armia Radziecka, zaczęły się bezprawne aresztowania. Zatrzymanych męczono w bestialski sposób. Ręce krępowano z tyłu drutem kolczastym, wybijano oczy, kobietom obcinano piersi. Ludzie poznawali zabitych po fragmentach odzieży, bo trupy, kiedy je wykopano w 1941 roku już się rozkładały (...) Z całego powiatu drohobyckiego zjechali ludzie, żeby rozpoznać rodaków".

Świadectwa **Jarosławskiej** potwierdza inna kobieta, w młodości aktywistka Komsomołu. Nazwiska nie podała. Wciąż prześladuje ją strach.

„Ludzie mieszkający na tej ulicy widzieli, jak każdej nocy do budynku NKWD przywożono w zakrytych samochodach ludzi. Kiedy Armia Czerwona wycofała się, a Niemców jeszcze nie było, ludzie zebrali się i znaleźli w podziemiach budynku pełno trupów. Jedne były świeże, inne już się rozkładały. Znalezione szczątki miały zaszyte drutem usta, wyłupane oczy, odcięte uszy. Rozchodził się straszny odór zgnilizny. Ludzie jęczeli, płakali, przeklinali NKWD. Mnie poradzili, żebym stamtąd odeszła, bo będę mieć kłopoty".

Włodzimierz Krasnik i **Dmytro Łapyczak** opowiadają:

„Niemcy we wsi Lacko (teraz Sołonowatka) wyciągnęli z kopalni ropy 650 trupów. Byli tam zamęczeni miejscowi nauczyciele Kilka miesięcy później spotkałem chłopaka, który stamtąd się uratował. Wyszedł przekroczywszy drut kolczasty, był cały siwy. Miał 25 lat".

Maria Seniw ze wsi **Wielika Horożanka** wspomina:

„Nocą zabrano 14 osób do Komarna, trzymano tam 6 dni i zabito. Włączono traktor, żeby zagłuszył jęki katowanych. W piwnicy znaleziono 20 osób. Opalone twarze, oskalpowane głowy, niektórym włosy wepchnięto do ust, wyrwano języki i odcięto uszy. Oddarta od łokci skóra, wisiała na palcach jak pończochy. Pod pozorem mobilizacji zabierano ludzi i niszczono ich. Te zbrodnie miały miejsce na tydzień przed wkroczeniem Niemców. Mogilę ofiar kilkanaście lat temu rozjechały traktory".

Nie można wykluczyć, że historie o ugotowanych żywcem ludziach, przybitych do ściany księżach czy kobietach uduszonych męskimi genitaliami są efektem wojennej niemieckiej propagandy. Ale prawdą jest również to, że NKWD, a potem KGB ma na swoim sumieniu tysiące ofiar bezprawnie więzionych i zamęczonych. Ich tajemne mogiły są rozsiane po całym terytorium Związku Radzieckiego, a jak pokazuje historia ostatnich tygodni, odnajduje się je także w Polsce.

Po upływie kilkudziesięciu lat trudno dokładnie określić miejsce: to właśnie tu, zwłaszcza jeśli na mogiły nawieziono grube warstwy ziemi. Ten, kto wskazał miejsce kaźni z 1940 i 1941 roku w **Iwano-Frankowsku** (dawny **Stanisławów**) wiele ryzykował, bowiem, jak opowiadają ludzie, postawiono mu warunek: jeśli nic nie znajdziemy, dostaniesz 8 lat za szkalowanie władzy radzieckiej.

Miasto już się tam kończy, a samo miejsce jest nazywane **Demianów L'az.** Ciągną do niego grupki ludzi, żeby zobaczyć na własne oczy, przekonać się, zapamiętać. Na szczyt pagórka co trochę podjeżdża jakiś samochód. Nie tylko z radziecką rejestracją. Ludzie stoją i przyglądają się temu, co za siatką. W otwartych skrzyniach leżą stosy ludzkich czaszek, na drewnianych, naprędce zbitych stołach, rzędami ułożone szare czerepy wyszczerzają pożółkłe zęby. Jedną skrzynię wypełniają wyłącznie czaszki kobiet. Zachowały się spopielałe, długie loki i zaplecione prawie 50 lat temu warkocze. W każdej potylicy małe otwory od kul. Wszędzie świeczki, kwiaty i gałązki kaliny, krzewu, który **na Ukrainie** zwyczajowo sadzi się na grobach.

Trudno powiedzieć, co zadecydowało, w każdym razie uzyskałam zezwolenie na wejście na teren kaźni sprzed lat. Pośrodku dwa błotniste, bardzo głębokie doły, obok prowizoryczny krzyż i mnóstwo kwiatów. Na plastikowych płachtach leżą szeregiem zachowane całe szkielety, obok sterta butów i resztki tkanin. Niektóre ubrania odkryto w dobrym stanie. W kieszeniach podobno znaleziono podpisane wyroki opiewające na... 10 lat.

Teren jest pilnowany dzień i noc. Żyje bowiem jeszcze wielu takich, którym zależy na zatarciu śladów. Wystarczy, żeby nocą podjechało kilka ciężarówek i dowody zbrodni znikną. Za siatkę nie wpuszcza się nawet agentów KGB, którzy kręcą się wokół, przyglądają gapiom, a niektórym nawet dyskretnie towarzyszą w drodze powrotnej.

Foto: Monika Matuszak

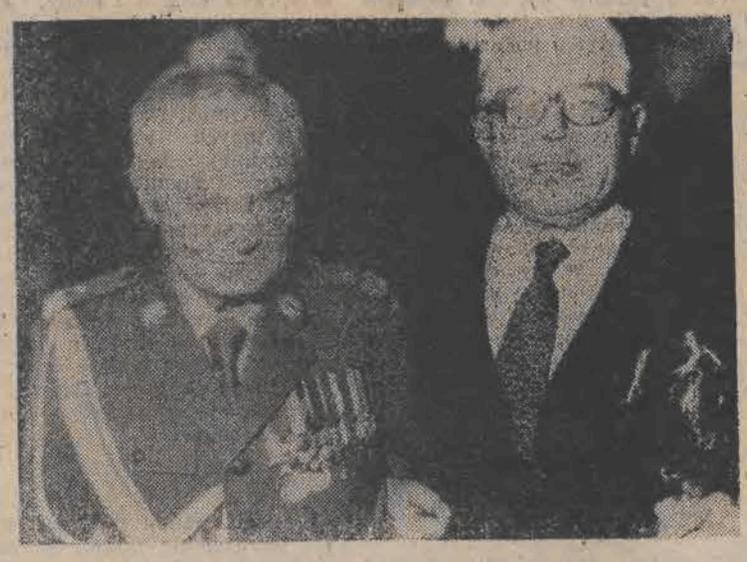

Uroczystość nadania nagrody specjalnej gen. dr Zygmuntowi Walterowi—Janke (nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka). Obok generała jego ostatni adiutant, autor tekstu Tadeusz Bielewicz pseud. „Mogiła"

ZYGMUNT WALTER-JANKE: — Życie pełne cierpień i poświęcenia.

On tylko spełniał swój obowiązek

TADEUSZ BIELEWICZ

1.

11 listopada 1918 roku miał 11 lat i 9 miesięcy. Urodził się w Łodzi 21 lutego 1907 roku. W 1920 roku, gdy ochotnicy z Pabianic szli bronić Warszawy przed bolszewikami — miał lat 13. Wtedy po raz pierwszy zobaczył człowieka zabitego przez innego. Był to jego starszy kolega z gimnazjum w Pabianicach. Postanowił zostać żołnierzem.

Najpierw była Szkoła Podchorążych Piechoty w Ostrowie Komorowie. Było 4 kandydatów na jedno miejsce. Zdał. Potem była Oficerska Szkoła Artylerii w Toruniu. Promocję na oficera artylerii konnej i czarno-czerwone proporczyki na kołnierzu otrzymał w 1930 roku. Rozpoczął służbę w Wielkopolskim Dywizjonie Artylerii Konnej. Nie zakończył na tym. W 1936 roku zdał egzamin do Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Zdawało 200, przyjęto 50. Był wśród nich. Jako kapitan dyplomowany znalazł się w 1939 roku w sztabie Kresowej Brygady Kawalerii. Walczył nad Wartą, Wisłą i na Lubelszczyźnie, walczył w Grupie Operacyjnej Kawalerii gen Władysława Andersa. Dostał się do niemieckiej niewoli. Zbiegł z niej 12 października 1939 roku. Wrócił do Łodzi.

We Francji powstawała polska armia, aby dalej walczyć z Niemcami. Dwa razy zatrzymała go na granicy ukraińska milicja. Przesłuchiwano go w gestapo w Sanoku. Znał dobrze niemiecki i miał „dobre" nazwisko. Nazywał się Zygmunt Janke. Podczas okupacji przybrał pseudonim „Walter". I tak już zostało: Zygmunt Walter-Janke.

2.

W Łodzi komendantem Okręgu Związku Walki Zbrojnej był podpułkownik Leopold Okulicki. Został szefem sztabu i szefem służby wywiadowczej Okręgu Łódzkiego. Gestapo deptało mu po piętach, był już spalony, w marcu 1943 roku skierowano więc Zygmunta Waltera-Janke na Śląsk jako zastępcę komendanta Okręgu Śląskiego Armii Krajowej.

To był trudny okręg. Niemcy uważali Śląsk za teren wzorcowy. Mieli przewagę. Wszędzie swoich ludzi. Każdy „wycinek" Śląska był inny. Było ich sześć. Trzeba było dobrze znać lokalne obyczaje, dobrze posługiwać się językiem niemieckim. Zygmunt Walter-Janke podołał temu zadaniu. Dowództwo Okręgu Śląskiego AK objął w październiku 1943 roku i sprawował je do chwili ujawnienia we wrześniu 1945 roku.

Latem 1944 w skład Okręgu Śląskiego AK wchodziło 27 tysięcy żołnierzy. W oddziałach partyzanckich było około dwa tysiące. Beskidy, powiaty: Zawiercie i Olkusz Niemcy uznali za teren opanowany przez „polskich bandytów". Działali nieustannie niemieccy agenci. Tylko od stycznia do listopada 1944 roku gestapo aresztowało 969 członków AK przeważnie pełniących funkcje.

W Okręgu Śląskim brakowało broni. Na ten rejon nie zrzucono nic. Z tego powodu nie przeprowadzono akcji „Burza" w tym rejonie. Liczono się z wielkimi stratami. Zygmunt Walter-Janke wyciągnął właściwe wnioski z powstania warszawskiego i z akcji „Burza" na Wileńszczyźnie. Niemcy na Śląsku byli dobrze przygotowani do walki z Armią Krajową, liczyli się też z możliwością odbicia obozu w Oświęcimiu. Plan taki istniał, ale przeprowadzenie go przy stanie uzbrojenia straży SS w Oświęcimiu było niemożliwe. Zygmunt Walter-Janke liczył się z możliwością deportacji żołnierzy AK przez NKWD. Nie przeliczył się.

3.

Nie było już Niemców na Śląsku, ale żołnierze AK wcale nie czuli się wolni i bezpieczni. Szukano ich, aresztowano i wywożono. Niektórzy ginęli bez śladu. Poszukiwano też pułkownika Zygmunta Waltera-Janke. A on stał przed trudnym problemem: — ujawnić się, czy nie? Pod koniec września 1945 roku zdecydował się, że trzeba się ujawnić. Tylko oddział porucznika Andrzeja przedostał się do amerykańskiej strefy okupacyjnej i stał się tam kompanią wartowniczą.

Zygmunt Walter-Janke sporządził listę żołnierzy AK ze Śląska wywiezionych do obozów w ZSRR. Obejmowała ona około 400 nazwisk. Listę tę przekazał pułkownikowi Janowi Radosławowi-Mazurkiewiczowi, który czynił starania o zwolnienie ich. Niektórzy rzeczywiście wrócili, ale tylko po to, aby dostać się w ręce UB. Sam Zygmunt Walter-Janke wrócił do Łodzi i przez pewien czas pracował jako nauczyciel w liceum w Pabianicach. Wolał sam zrezygnować niż miano by go... wyrzucić.

4.

Aresztowano go w styczniu 1949 roku w Katowicach. UB zorganizowało „kocioł", do którego podstępem ściągnięto poszukiwanych oficerów AK. W „kotle" znalazł się też szef II Oddziału Komendy Okręgu Śląskiego AK — major Antoni Siemiginowski. Obu przewieziono pod silną eskortą do Warszawy, do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Przesłuchiwał ich szef Departamentu Śledczego — Józef Różański-Golberg, brat Jerzego Borejszy, niedawno zmarły działacz ZBoWiD. Zamknięto go w celi, w której siedziało już 20 zmaltretowanych więźniów. W czasie jednego z przesłuchań oficer śledczy podprowadził Zygmunta Waltera-Janke do okna i powiedział:

— *Widzicie tę kapustę? Pod nią leży wielu takich jak wy. Jeśli się nie zmienicie, będziecie leżeć w tym warzywniku.*

Pobyt w więzieniu był ogromną męką. Zwracano się do więźniów per: *„bandyto", „skurwysynu"*. Bito na początku i końcu śledztwa. Zamykano w celach z hitlerowcami. Odmawiano prawa do spacerów. Wylewano do cel zimną wodę i kazano więźniom suszyć posadzkę własnymi ciałami. W celach razem z więźniami zamykano donosicieli UB. W więzieniu mokotowskim były więzień Oświęcimia — inż. Bagniewski doszedł do strasznego wniosku, że *„w hitlerowskim kacecie było lepiej i bezpieczniej niż w więzieniu na Rakowieckiej"*.

Zygmunt Walter-Janke siedział na Rakowieckiej i w więzieniu mokotowskim. Zetknął się tam między innymi z cichociemnym kapitanem Piotrem Szewczykiem, słynnym asem lotnictwa myśliwskiego, pułkownikiem Stanisławem Skalskim, majorem Henrykiem Roycewiczem, dowódcą batalionu „Leliwa" z powstania warszawskiego, prezesem Stronnictwa Pracy z okresu okupacji — Antonim Antczakiem, którego zamordowano w więzieniu mokotowskim w czasie śledztwa, z generałem AK Emilem Nil-Fieldorfem, rozstrzelanym przez UB. Zetknął się też z majorem Antonim Chodą, który jako „Szary" dowodził oddziałem AK w Kieleckiem.

Szczególnie zapamiętali więźniowie Mokotowa majora UB Serkowskiego — kawalera orderów i działacza ZBoWiD — który stosował ciągnące się bez przerwy tygodniami śledztwa, stawiał więźniów nago przed otwartymi oknami i kazał polewać ich wodą i wymyślał różne inne tortury. Więźniowie nie golili się miesiącami, nie myli się. Śledczy stawiali ich w takim stanie przed lustrem i mówili: — *Popatrz gnoju, jak wyglądasz!* — Oddziałowy Szymański zmuszał więźniów do lizania ściany lub fekaliów. Później odznaczono go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i został działaczem ZBoWiD.

5.

Jednego dnia, podobnego do innych, podczas picia lury zwanej kawą, strażnik wezwał Zygmunta Waltera-Janke na rozprawę. Odczytano mu wyrok śmierci. Gdy wrócił do celi, kawa była jeszcze ciepła. Przeniesiono go do celi nr 24. Była to cela śmierci.

Czekanie na śmierć było dodatkową torturą. Major UB Grabicki udoskonalił jeszcze tę torturę. Tak się złożyło, że przed wojną był fryzjerem w Łodzi i strzygł i golił starszego pana Janke — ojca Zygmunta. Otóż ten były fryzjer, a teraz major UB — później zresztą działacz ZBoWiD — wzywał więźnia z wyrokiem śmierci do swego pokoju, dawał mu papier i pióro i polecał pisać list pożegnalny do rodziny, bo za dwie godziny wykonanie wyroku. Dokładnie po dwóch godzinach otwierał szufladę i odczytywał zamianę wyroku śmierci na dożywocie. Taki przypadek spotkał też Zygmunta Waltera-Janke.

Po tym „akcie łaski" przeniesiono Zygmunta Waltera-Janke do celi „faszystowskiej", nr 25. W celi tej siedzieli między innymi: pułkownik Franciszek Niepokulczycki, adiutant komendantów AK — major Jamoła Krzywicki „Szymon", generał Stefan Mossor, Jerzy Braun — działacz i filozof katolicki oraz generał SS Otto Geibel. Ten ostatni nie wytrzymał nerwowo i powiesił się na kracie więziennej.

6.

Resztę dożywotniego wyroku miał Zygmunt Walter-Janke spędzić we Wronkach. Przywitano tam przywiezionych więźniów obelgami i groźbami: — *„skurwysyny"*, *„zbrodniarze"*, *„tu zostawicie swoje kości"!* Zaprowadzono ich na więzienny dziedziniec wyłożony kostką i kazano uklęknąć. Oficer straży więziennej wygłosił powitalne przemówienie.

— *To nie jest pensjonat, ale więzienie. Ciężkie więzienie. Tu nikt się z wami nie będzie pieprzył. Za najmniejsze przewinienie będziemy karać tak, że portki z was same będą spadać, zęby wylecą, przeklniecie godzinę, w której urodziła was wasza mać.. Pamiętajcie, że jesteście zbrodniarzami, bandytami i tak będziecie traktowani. Polsce Ludowej w dupę jebane skurwysyny nie jesteście potrzebni. A teraz was przywitamy...*

I rozpoczęło się powitalne bicie.

We Wronkach odsiadywał swój wyrok generał Jerzy Kirchmayer, pułkownik dr Wacław Lipiński, biskup gdański Carl Maria Splett. Pułkownik dr Wacław Lipiński poniósł nie wytrzymał nerwowo i popełnił samobójstwo, ale kalifaktor powiedział w zaufaniu Zygmuntowi Walterowi-Janke, że cela jego pełna była plam krwi.

Zmarłych więźniów we Wronkach grzebano gdzieś koło wiatraka. Chowano ich nago, tylko do dużego palca nogi przyczepiano blaszkę z numerem. Na miejscu pochowania wbijano kołek z takim samym numerem.

Zygmunta Waltera-Janke wsadzono do celi kryminalistów. Jednego z nich zaczął uczyć pisać. Pisał mokrym palcem po betonie. Dowiedziała się o tym straż i przeniesiono go do innej celi. We Wronkach wyżywienie było bardzo złe. Bez tłuszczu i witamin. Na ogół była to *„zupa obiadowa"* z buraków pastewnych. Zygmunt Walter-Janke zapadł na szkorbut i gruźlicę. W 1955 roku ważył już tylko 49 kg i chodził trzymając się ściany.

I tu wymyślano więźniom różne tortury. I tu lano do cel wodę i kazano błyskawicznie osuszać posadzkę. Więźniowie spali na betonie. Większość miała zaawansowany reumatyzm.

7.

Józef Stalin już nie żył. Ujawniono niewielką wprawdzie część zbrodni UB, które nazywano *„wypaczeniami"* i *„łamaniem prawa"*. Powoli zmieniały się warunki odsiadywania wyroków — bezprawnych przecież. Zygmunt Walter-Janke otrzymał dietę odżywczą i poprawił się stan jego zdrowia. W 1956 roku zrewidowano jego „sprawę".

Pewnego dnia w drzwiach celi stanął strażnik i wygłosił mowę.

— *Odchodzicie na wolność, Pomyślcie, ile dobroci okazała wam Polska Ludowa, że takiego bandytę wypuszcza na wolność! Pomyślcie o wdzięczności, jaką winniście dla tej Polski. Ale wy jesteście skurwysyn i woda na młyn odwetowców, a do tego stoicie z miną butną czyli ironiczną.*

Sąd Najwyższy w pełni zrehabilitował gen. Zygmunta Waltera-Janke. Po ośmiu latach wrócił do rodzinnej Łodzi. Rodzina jego żyła w bardzo trudnych warunkach. Znów zaczął pracować jako nauczyciel w liceum w Pabianicach. Musiał jednak zrezygnować. Pół roku później otrzymał pracę jako inspektor terenowy firmy „INCO". I pracował tam do emerytury.

Ukończył studia historyczne. Był studentem prof. Bohdana Baranowskiego. Magisterium i doktorat napisał i obronił u prof. Herbsta w Warszawie. Tematem pracy doktorskiej była: „Artyleria konna w latach 1792—1794" — a więc okres wojny z Rosją. Miało ją drukować Wydawnictwo MON. Tylko że autor wziął w 1978 roku udział w pielgrzymce żołnierzy AK na Jasną Górę w Częstochowie. W kilka dni później powiadomiono go, że nie ma papieru na druk tej książki. Ma ją wydać KUL w Lublinie.

Pisywał Zygmunt Walter-Janke w różnych czasopismach: w „Najnowszych Dziejach Polski", „WTK", „Za Wolność i Lud", „Ładzie", „Odrodzeniu", wygłaszał odczyty, chodził na spotkania z młodzieżą. Jest autorem książek: „W Armii Krajowej w Łodzi i na Śląsku", „Podziemny Śląsk", „W AK na Śląsku", „Śląsk jako teren partyzancki Armii Krajowej". Przygotowywał pamiętnik w dwu tomach: „Moja żołnierska droga". W 1988 roku otrzymał Nagrodę Specjalną PAX im. Włodzimierza Pietrzaka.

Był odznaczony dwukrotnie Orderem Wojennym Krzyża Virtuti Militari V klasy oraz wieloma innymi medalami i orderami. W 43 lata po zakończeniu wojny awansowany został do stopnia generała brygady.

8.

Ostatnie dni życia spędził w szpitalu. Trudy jego życia, które poświęcił dla Polski, dały o sobie znać. Odszedł od nas, ale my będziemy o nim pamiętać.

■

ze str. 1

Teraz czekała go Łubianka. W centralnym więzieniu NKWD w Moskwie znalazł się 20 października 1939 roku. Przesłuchania, jakim go poddano, sam Radziwiłł określił jako niezbyt intensywne. Ograniczały się do spraw polskich. Interesowano się szczególnie stosunkiem Józefa Piłsudskiego do Niemiec i Związku Radzieckiego oraz sytuacją na Wołyniu. Przesłuchujący wiedzieli, że Józef Piłsudski darzy Janusza Radziwiłła niewątpliwym poważaniem, jeśli nie sympatią, proponował mu pracę w dyplomacji. W słynnym toaście w Nieświeżu Janusz Radziwiłł zapewniał Piłsudskiego:

— *My, ziemiaństwo kresowe, gotowi jesteśmy śpieszyć Ci z pomocą w Wielkim Twym dziele utrwalania państwowości polskiej i umacniania autorytetu władzy wykonawczej.*

W pewnym okresie, kiedy ministerstwem spraw zagranicznych kierował Aleksander Skrzyński, rozważano wysłanie Janusza Radziwiłła na ambasadora do Moskwy.

— *Sowiety bardzo chętnie by go widziały* — oświadczył marszałek Sejmu Maciej Rataj.

Nie mogło ujść uwagi Rosjan, że w Senacie książę Janusz Radziwiłł domagał się objęcia amnestią Wincentego Witosa i innych skazanych w procesie brzeskim, likwidacji Berezy, ograniczenia cenzury. Interesujący ich fragment jego wystąpienia o sytuacji na Wołyniu decyzją marszałka Senatu był usunięty z protokołu.

Na Łubiance z Januszem Radziwiłłem dwukrotnie rozmawiał sam Ławrientij Beria. Radziwiłł wspominał, że proponował mu pozostanie w Związku Radzieckim, z ogólnikowymi aluzjami do ewentualnej roli politycznej. Miał powiedzieć:

— *Kniaź, my nużdajemsia w takich, kak wy* (Książę, potrzebujemy takich jak Pan). Zapisał to Krzysztof Teodor Toeplitz przy okazji wywiadów przeprowadzonych w 1961—62 roku dla „Przeglądu Kulturalnego". Zapisy magnetofonowe rozmów K. T. Toeplitza z Januszem Radziwiłłem zaginęły. Zachowała się jedynie ta ich część, która została w warunkach ówczesnej cenzury opublikowana.

Istnieją różne wersje i spekulacje na temat propozycji Ławrientija Berii. Stanisław Zabiełło, w publikacji „O rząd i granice", która ukazała się jeszcze za życia Janusza Radziwiłła, uważał, że Józef Stalin chciał z niego uczynić „Polskiego Paasikivi". Generał Klemens Rudnicki jest zdania, że Ł. Berii chodziło wyłącznie o użycie przez Janusza Radziwiłła swego autorytetu w Warszawie przeciwko organizowaniu podziemia na kresach wschodnich.

Odnośny fragment relacji generała Klemensa Rudnickiego z rozmowy z księciem Januszem Radziwiłłem brzmi:

„Beria dawał mu niejako do zrozumienia, iż to co się dotychczas stało w wyniku starcia wojennego, nie można uważać za rzecz stałą — będzie jeszcze wiele zmian. Rozumie on dobrze, iż Polacy nigdy nie pogodzą się z obecnym stanem i będą na pewno drogą ruchów podziemnych czy innych wysiłków przeciwstawiać się faktom i dążyć do odzyskania niepodległości. Cała bohaterska przeszłość Polski na to wskazuje. Beria wie, jak duży wpływ na społeczeństwo ma i mieć będzie Radziwiłł, toteż prosi go by zechciał wpłynąć na swych rodaków, ażeby organizując podziemie zaniechali tego rodzaju wysiłków w tej części Polski, którą zajęły wojska radzieckie. Pociągnęłoby to za sobą jedynie represje, zrozumiałe w obecnym wojennym okresie, co nie miałoby celu. Trzeba nie dopuścić do niepotrzebnego rozlewu krwi czy kopania przepaści między narodami radzieckim a polskim, które na pewno — po wojnie — znajdą sposób zgodnego rozwiązania wszystkich spornych kwestii".

Komu ten cytat wydaje się nieprawdopodobny, proponuję zaglądnąć do źródła; wspomnienia generała Klemensa Rudnickiego „Na polskim szlaku" ukazały się drukiem w Londynie w 1952 roku. W Polsce wydała je oficyna „Pokolenie". Sądzę, że Ławrientij Beria przekazał Januszowi Radziwiłłowi myśli Józefa Stalina, a nie własne. Tylko, jak w świetle takiej dalekowzroczności wytłumaczyć Katyń?

Syna Janusza Radziwiłła — Edmunda Ferdynanda ominęła kula w lesie katyńskim. Był internowany w Kozielsku, ale na początku grudnia 1939 roku zwolniony i wraz z rodziną — przetrzymywaną w innym miejscu oraz ojcem — powrócił do Warszawy. Był porucznikiem Batalionów Chłopskich i AK. W styczniu 1945 roku został aresztowany przez NKWD i wywieziony do Krasnogorska, gdzie był obóz dla wyższych oficerów niemieckich, węgierskich, włoskich i japońskich z armii mandżurskiej. Wrócił do Warszawy we wrześniu 1947 roku. Pracował w biurach projektowych. Zmarł w 1971 roku.

Jerzy Jaruzelski — biograf księcia Janusza Radziwiłła — twierdzi, że zwolnienie z Łubianki książę zawdzięczał interwencji włoskiej rodziny królewskiej. Miało się ono dokonać poprzez Hermana Goeringa. Inni wspominają wyłącznie o bliżej nie określonej interwencji niemieckiej.

Po powrocie do Warszawy książę Janusz Radziwiłł ubiegał się o wyjazd do Berlina.

Starał się o wizytę u Hermana Goeringa. Czy tylko po to, aby podziękować za uwolnienie? Do spotkania z Hermanem Goeringiem mieli go zachęcać Maciej Rataj i Mieczysław Niedziałkowski. Za pośrednictwem księcia członkowie Komitetu Porozumiewawczego Stronnictw Politycznych, działających w podziemiu, chcieli wręczyć Hermanowi Goeringowi dokument, wymieniający obok mordu w Wawrze aresztowanie i osadzenie w Sachsenhausen profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Memoriał adresowany do Hermana Goeringa nie zachował się w polskich archiwach. Jego fragmenty przedrukowały polskie pisma podziemne. Dotyczył całokształtu sytuacji na terytoriach okupowanych przez Niemcy, zwłaszcza zaś terroru wobec ludności polskiej. Jerzy Jaruzelski twierdzi, że uzyskano drogą radiową akceptację tego przedsięwzięcia przez Rząd RP w Paryżu. Taki warunek postawił kategorycznie książę Radziwiłł, który z żadną samodzielną inicjatywą wobec władz niemieckich nie chciał łączyć swego nazwiska.

Herman Goering przyjął Janusza Radziwiłła w prywatnych apartamentach przy Prinz Albrechtstrasse. Rozmowa odbyła się 10 stycznia 1940 roku (książę przebywał w Berlinie od 6 do 13 stycznia). Trwała trzy godziny. Herman Goering był uprzedzająco grzeczny i robił wrażenie wzburzonego treścią memoriału, który Radziwiłł mu odczytał. Dzwonił do Heinricha Himmlera, obiecywał likwidację nadużyć niemieckich władz okupacyjnych.

W lutym 1940 roku większość polskich profesorów zwolniono. Herman Goering był premierem Prus i obóz Sachsenhausen znajdował się na terytorium podlegającym jego jurysdykcji. Niektórzy historycy łączą jednak fakt zwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego z interwencją arcybiskupa Adama Sapiehy.

Po rozmowie z Goeringiem książę Janusz Radziwiłł złożył w ambasadzie Związku Radzieckiego w Berlinie list do Ławrientija Berii. Treści tego listu nikt nie zna. Trudno sobie wyobrazić, aby Herman Goering nie pytał go o Związek Radziecki. Tym bardziej, że oceny księcia były niezależne, odbiegały od utartych opinii. Powołam się znów na wspomnienia generała Klemensa Rudnickiego:

„Wedle jego zdania Związek Radziecki stanowi ogromną potęgę, która nie jest dostatecznie doceniana zarówno przez nas jak i przez innych. Jej słabość okazana w wojnie z Finlandią lub — niezrozumiały dla naszych zachodnich poglądów — zły wygląd wojsk okupacyjnych w Polsce, są jedynie pozorne. Rosja jest groźniejsza, aniżeli się wydaje i potężniejsza, aniżeli sądzimy. Jest to rzeczywistość, z którą musimy zawsze się liczyć, jakiekolwiek by jeszcze wypadki zaszły".

Pogląd ten zdumiał generała Klemensa Rudnickiego, który uważał ZSRR za słabe państwo, krytycznie oceniał jego armię.

„Zwracałem księciu uwagę — pisze nie bez rozdrażnienia — iż widząc Rosję jedynie z więzienia moskiewskiego, z literatury, którą zapewne był tam karmiony oraz z rozmowy na najwyższym szczeblu, nie miał dostatecznej perspektywy w obserwacji i — wedle mego zdania — myli się. Nie dał się jednak przekonać i pozostał niezachwianie przy swoim zdaniu. Obiecałem mu tę opinię przekazać bez zmian generałowi Sikorskiemu przy następnym naszym raporcie, po czym pożegnałem go głęboko poruszony tym wszystkim, co mi mówił".

W tym samym okresie co książę Janusz Radziwiłł przebywał w Berlinie Władysław Gizbert-Studnicki, czołowy polski germanofil. Czynił zabiegi w celu powołania w kraju rządu kolaborującego z władzami okupacyjnymi. Jego oferta nie zainteresowała jednak Niemców. Polityk ten miał zagmatwaną przeszłość. W latach 1888—89 należał do II Proletariatu, potem był działaczem Narodowej Demokracji, niepodległościowcem, wreszcie stał się zażartym zwolennikiem współpracy z Niemcami. Jego możliwości były nieporównywalne z wpływami księcia Janusza Radziwiłła. Jako uciążliwy natręt wylądował wkrótce na Pawiaku.

Pewne nadzieje Niemcy wiązali z osobą hr. Adama Ronikiera, inicjatora działającej w Generalnej Guberni Rady Głównej Opiekuńczej. Była to organizacja rozdzielająca żywność, odzież i zasiłki pieniężne dla najbardziej potrzebującej polskiej ludności. Okupanci poddali ją ścisłej kontroli.

Tajemnicza misja Janusza Radziwiłła

Ani Władysław Studnicki, ani Adam Ronikier nie mogli stać się konkurentami dla rządu gen. Władysława Sikorskiego we Francji.

Książę Janusz Radziwiłł ze swymi koneksjami i nazwiskiem mógł pretendować do takiej roli. Klemens Rudnicki ostrzegł go przed bezwzględnie nieprzychylną opinią podziemia, jaka wiąże się z możliwością podjęcia współpracy z Niemcami.

„Spotkanie nastąpiło za pośrednictwem Jerzego Czetwertyńskiego w jednym z domów na placu Dąbrowskiego. Książę wysłuchawszy mego sprawozdania (o bieżącym położeniu podziemia — R.B.) *i opinii zapewnił, że nie spotkał się jeszcze z żadną konkretną propozycją ze strony niemieckiej, był jedynie ogólnie badany w tym względzie przez Goeringa osobiście. Gdyby wysunięto wobec niego podobne sugestie, zamierza je bezwzględnie odrzucić".*

W maju 1940 roku Janusz Radziwiłł zwrócił się do Hermana Goeringa listownie w sprawie wywożenia Polaków na roboty do Rzeszy. Odpowiedzi nie otrzymał. Wzywany był natomiast w tej sprawie do krakowskiego gestapo. Wygląda na to, że jego list do rąk adresata nie dotarł. Podczas pobytu w Berlinie książę Janusz Radziwiłł próbował przekazać pakiet poufnej korespondencji polskich władz kościelnych do przebywającego we Francji prymasa Hlonda. Ta próba również się nie powiodła. Nuncjusz Cesare Orsenigo przyjął go lodowato, na stojąco, stwierdzając, że do takich spraw służy poczta.

Gubernator Generalnej Guberni Hans Frank darzył księcia Janusza Radziwiłła wyraźną niechęcią. Natomiast gubernator dystryktu warszawskiego Ludwik Fischer okazywał mu pewną słabość. Audiencje u Fischera spowodowały podobno odwołanie rozkazu wysadzenia Zamku Królewskiego oraz ocaliły niektóre pomniki w Warszawie. Wiadomo, że książę interweniował również w sprawie aktorów polskich, aresztowanych po zamachu na kolaboranta Igo Syma. Uzyskał zwolnienie większości zakładników (egzekucja groziła 150 osobom).

W czasie wojny książę Janusz Radziwiłł mieszkał w Nieborowie. W większej części pałacu przez całą okupację kwaterowali wyżsi oficerowie niemieccy, wśród nich kapitan Wehrmachtu Karol von Pentz, który pomagał ratować polskie dzieci z Zamojszczyzny. Syn księcia Edmund, kierował stąd tajną organizacją ziemian, zaopatrujących siatkę Armii Krajowej w żywność i kwatery. Przyjmował w pobliżu Nieborowa zrzuty alianckie.

Księciu Januszowi Radziwiłłowi proponowano podobno wejście w skład Delegatury Rządu RP na Kraj. W każdym razie widywał się z delegatami rządu londyńskiego Cyrylem Ratajskim i Janem Jankowskim.

Miał też mieszkanie w Warszawie przy ulicy Bielańskiej 14, gdzie przyjmował Macieja Rataja, Mieczysława Niedziałkowskiego, prezesa gminy żydowskiej Adama Czerniakowa i wiele osobistości politycznego życia podziemnego. Na Bielańskiej zastało księcia powstanie. Pałac Radziwiłłów, w którym przechowywano oryginał koronny aktu Unii Litewskiej, spłonął. Janusza Radziwiłła schwytano i wysłano do Berlina. Był przesłuchiwany przez około pięć tygodni w Moabicie. Zarzucano mu, m.in., finansowanie powstań śląskich. Dość nagle został zwolniony. Wrócił do Nieborowa jeszcze przed upadkiem powstania. W styczniu 1945 roku aresztowało go po raz kolejny NKWD. Znów spędził kilka dni na Łubiance. Nie był w ogóle indagowany. We wrześniu 1947 roku został zwolniony. Chroniły go prawdopodobnie te same koneksje co w 1939 roku.

W Krasnogorsku zmarła w wieku 66 lat Anna Radziwiłłowa, małżonka księcia Janusza, towarzyszka wszystkich jego perypetii z NKWD i gestapo.

Książę Janusz Radziwiłł po powrocie do Warszawy został zatrzymany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

Spędził około trzech tygodni przy ulicy Cyryla i Metodego, badany przez osławioną Julię Brystigerową (Julia Prajs), dyrektora Departamentu Politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa. Badania nie dotyczyły wcale wizyty w Berlinie, spotkań z Hermanem Goeringiem i Ludwikiem Fischerem, okupacji niemieckiej. Skupiały się na latach II Rzeczypospolitej. Niespodziewanie postępowanie umorzono. Znów zadziałała tajemnicza ręka chroniąca księcia Janusza Radziwiłła? Czy była to ręka Ławrientija Berii?

Przez pewien czas Janusz Radziwiłł był inwigilowany. Mieszkał krótko na Saskiej Kępie i w Dąbrówce koło Warszawy, wreszcie otrzymał przydział na 2-pokojowe mieszkanie przy ul. Bałuckiego 35 na Mokotowie. Za obrazy i meble, zdeponowane jesienią 1939 roku w warszawskim Muzeum Narodowym, otrzymał 8 milionów złotych, za co profesora Stanisława Lorentza spotkał zarzut wiceministra kultury i sztuki Włodzimierza Sokorskiego, że kupuje rzeczy skonfiskowane. Próbowano zastosować do tej transakcji dekret o konfiskacie mienia w ramach reformy rolnej. W końcu wycofano się z absurdalnej decyzji.

Ostatnie dwadzieścia lat swego życia spędził w kręgu rodziny i przyjaciół. Nie napisał wspomnień. W 1961 roku udzielił Krzysztofowi T. Toeplitzowi serii wywiadów, które autoryzował. Oprócz tego istnieje nie publikowany i nie autoryzowany maszynopis drugiej serii rozmów z KTT z 1967 roku. Istnieje też nie autoryzowana rozmowa księcia Janusza Radziwiłła z J. Łobodowskim przeprowadzona w latach 1962—1963 w Madrycie. W „Polskim Słowniku Biograficznym" hasło: Janusz Radziwiłł opracował Jerzy Jaruzelski.

W latach 1962—1963 z księciem Januszem Radziwiłłem spotkał się Stanisław Cat Mackiewicz, były premier rządu emigracyjnego, który pisał książkę o Radziwiłłach. Stanisław Cat Mackiewicz zmarł o rok wcześniej niż książę Janusz Radziwiłł. Maszynopis książki zaginął. Kolejny dziwny przypadek.

Książę Janusz Radziwiłł zmarł 4 października 1967 roku w Warszawie.

Pochowano go na cmentarzu przy kościele Bernardynów przy ul. Powsińskiej. Na jego pogrzeb przyjechała wdowa po prezydencie USA Jacqueline Kennedy, spowinowacona z Radziwiłłami. O mało jej wówczas nie stratowano.

Syn Janusza Radziwiłła Stanisław Albrecht, od 1939 roku mieszkający za granicą, był szwagrem Johna Fitzgeralda Kennedy'ego. Poślubił bowiem Carolinę Lee-Bouvier, siostrę Jacqueline Kennedy. Z prezydentem Stanów Zjednoczonych łączyły Stanisława Albrechta Radziwiłła więzy przyjaźni. Trzymał do chrztu dziecko Kennedy'ego, a prezydent był ojcem chrzestnym córki Stanisława Albrechta, Anny Krystyny, urodzonej w 1960 roku. Stanisław Albrecht Radziwiłł brał udział w prowadzeniu kampanii wyborczej JFK, starając się przysporzyć mu głosy wśród amerykańskiej Polonii. Był również zaprzyjaźniony z bratem prezydenta, senatorem Robertem Kennedym.

Przed wojną Stanisław Albrecht Radziwiłł zajmował stanowisko chargé d'affaires Polski przy Lidze Narodów. Sprawował też funkcję delegata Polskiego Czerwonego Krzyża przy Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu w Genewie. Jako delegat PCK zwrócił się 17 czerwca 1943 roku do MCK z oficjalną prośbą o zbadanie zbrodni katyńskiej. Zmarł w 1976 roku w Anglii.

W 1972 roku prochy księcia Janusza Radziwiłła przeniesiono do nowej kwatery Radziwiłłów na cmentarzu w Wilanowie.

RYSZARD BADOWSKI

Rys. Dariusz Rymanowicz

Jak znaleźć się w nowych warunkach gospodarczych?

Handlować wszystkim, co się opłaca!

— „Motoryzacja" ginie... — takie jest zdanie wielu zmotoryzowanych znokautowanych cenami paliw, ubezpieczeń, cenami części zamiennych i usług. Jaka może być w tych ciężkich czasach kondycja PP „Polmozbyt" w Łodzi? — pytam zastępcę dyrektora do spraw technicznych — **Ryszarda Cmelę** i zastępcę do spraw usług — **Andrzeja Gabarę.**

— Stosujemy różne — czasem karkołomne pociągnięcia „taktyczne" — i nie jesteśmy zależni od banku z ich makabrycznie niedogodnymi kredytami.

— Działacie nietuzinkowo: sprzedaliście ponad wszystkie dewizy, wieloletnią siedzibę przy ulicy Strykowskiej, zwalniacie ludzi, a „maluchy" sprzedajecie... poniżej ceny fabrycznej.

— Bo i czas jest na nietuzinkowe pociągnięcia. Dyrekcja i administracja rzeczywiście przeniosły się do siedziby przy ul. Stefana Przybyszewskiego 195/205. Zmniejszyliśmy zatrudnienie w administracji z około 400 osób do 210. 13 stacji przekształciło się w placówki ajencyjne, a 8 stacji stało się spółkami pracowniczymi. Mamy więc ponad 800 osób załogi (tylko pięć stacji pracuje na dawnych zasadach). Jeszcze parę miesięcy temu można było mówić o 2,5 tysiąca zatrudnionych.

— Wasz transport — to też spółka pracownicza i służby remontowe — takoż. Dyrekcja też wykupiła udziały?...

— Też, mniejsze niż wielu pracowników. Często na początku wykupywane dla propagandy całej idei, ale ma; a cóż to, nam nie wolno...

— Komu i za ile sprzedał „Polmozbyt" budynek przy ulicy Strykowskiej?

— Transakcja nie została jeszcze sfinalizowana. Zainteresowane są banki negocjujemy cenę, ale ta wywoławcza — to już tajemnica. Sprzedaliśmy także dewizy, ale co do kwot — pomińmy je milczeniem.

— A cóż to za historia z „maluchami" po 17 milionów bodajże, gdy fabryka proponuje cenę o 4 miliony wyższą?

— To żaden cud ani filantropia. Nazwijmy to jednorazowym pociągnięciem taktycznym. Jeśli mam do wyboru albo zastój kompletny w sprzedaży i w konsekwencji finansowanie zapasów aut kredytem bankowym, zupełnie szalonym zresztą, albo — sprzedaż po niższej cenie, to wybór może być tylko jeden. To się firmie opłaca, a przez to nie jesteśmy uzależnieni od banku, co dziś ma naprawdę pierwszorzędne znaczenie.

— Jakich jeszcze innych sposobów chwytacie się?

— Będą Łady-Samary, przez jednych chwalone, przez innych krytykowane, będzie około 150 różnych pojazdów. W wolnej sprzedaży i po obniżonych cenach.

— Czemu nie na przetargu? Spadło zainteresowanie...

— To prawda, ale wracamy do normalnych form sprzedaży. Poza tym cholernie wysokie są koszty ogłoszeń w gazetach.

— Czyli zielonego „poloneza" ze zmodernizowanym nadwoziem i „eksportową" tapicerką mogę kupić od ręki?

— Oczywiście, zapraszamy do salonu przy ulicy Brukowej.

— Jedyna, oblegana przez klientów stacja obsługi, która przeprowadza wyłącznie naprawy gwarancyjne ASO przy ulicy Matejki. Inne świecą pustkami.

— To lekka przesada. Sytuacja w stosunku do stycznia uległa niewielkiej poprawie.

— A jeśli ajent zrezygnuje?

— To trzeba by obiekt sprzedać lub przeznaczyć na inne cele. Stajemy na głowie, by do takich sytuacji nie doszło.

— Ściągacie od nich wysoki haracz.

— Wysoki? Przecież to my w przypadku ajentów i spółek płacimy podatek od nieruchomości (8 tysięcy za metr kwadratowy!!!). Płacimy amortyzację, ubezpieczenia środków trwałych i obiektu w PZU. Otrzymujemy niby naszą dywidendę, ale w całości odprowadzana jest do worka bez dna, czyli do budżetu. Faktycznie dla siebie mamy naprawdę niewielką kwotę czynszu dzierżawnego, konieczną ze względu na utrzymanie obsługi tych placówek.

— Co to jest „Fapol" i komu to było potrzebne?

— To spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Spółka FSM z dwoma „Polmozbytami" — łódzkim i toruńskim. Ma ona za zadanie zaopatrzyć kraj w części do „malucha" i przyszłego „iksa" czyli zdaje się — „Halnego". To jakby zakład, który zastąpić ma ewentualnie kilka magazynów w Polsce, które fabryka musiałaby wybudować. Praktycznie zaś od tej chwili nie tylko my musimy się martwić o ogromne koszty utrzymania (wielkiego) magazynu przy ulicy Stefana Przybyszewskiego.

— Handlujecie za pośrednictwem własnego Biura Handlu Zagranicznego używanymi samochodami zachodnimi, głównie marki Audi i Volkswagen.

— Szczegóły w biurze, ale generalnie nie wstydzimy się żadnej działalności, na której można dziś zarobić. Handlujemy igłami dziewiarskimi, których na oczy nie oglądamy, zarabiając na pośrednictwie. Więcej: przedsiębiorstwo uruchomiło nowy sklep w pawilonie przy ul. Piotra Skargi, w którym między innymi sprzedajemy narzędzia ślusarskie, monterskie, elementy hydrauliki, a nawet papier ścierny.

— Brakuje tylko rolki papy.

— Ale będzie! Oprócz papy także cement i stal konstrukcyjna. Będziemy handlować wszystkim co się opłaca!...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Reporter wraca na stare tropy, które poniechał nie ze swej winy... (2)

Strach w kolorze blue

JACEK INDELAK

Przed sądem bronili W. Pietrzaka adwokaci W. Ożadowicz i Z. Wetland. Zastaję ich obu na dyżurze w Zespole Adwokackim nr 9 w Łodzi.

— *Sprawę doskonale pamiętam* — powiada mec. Wiesław Ożadowicz — *pozostał mi po niej niesmak i niedosyt. Cóż, adwokat musi nierzadko przedkładać dobro klienta nad dbałość o czystość prawa. Pietrzakowi wyrządzono wielką krzywdę, na dojście do sprawiedliwości nie miał jednak wtedy żadnych szans. Wszyscy się przeciwko niemu sprzysięgli, nie tylko jego napastnicy, ale i lokalne władze, organy ścigania, a nawet i wymiar sprawiedliwości. Z początku nie chciał się zgodzić na polubowne załatwienie sprawy, przekonaliśmy go jednak: skoro ma już II grupę inwalidztwa, niech lepiej nie ryzykuje, że będzie musiał przejść na I grupę... Śmiał zadrzeć z miejscowymi prominentami, więc nie tylko go pobili, ale i obrócili prawo przeciwko niemu. To prawo, w którego obronie przecież stanął, wzdragając się przed sprzedażą reglamentowanej wódki na lewo. Co ja będę zresztą panu opowiadał, skoro pański reportaż włączono do akt procesowych... Prominenci, którym taki szaraczek jak Pietrzak śmiał się przeciwstawić, wymierzyli w niego prawo uczyniwszy z niego wyjątkowo elastyczny instrument. Bo zważmy, że najpierw zrobiono wszystko, żeby całe zajście sprowadzić do chuligańskiej bójki, a potem — kiedy to zawiodło — dorobiono do niej napędce motywację polityczną, co pozwoliło na skorzystanie z ustawy o amnestii, a więc kolejne w tej sprawie nadużycie prawa... Swoją drogą, Pietrzakowi zmarnowali kawał życia, a sami? Ciekawe, co porabiali przez te lata pan naczelnik i panowie milicjanci?*

Faktycznie, ciekawe... A więc — panowie milicjanci? Może tym razem uda się nam do nich dotrzeć?

Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Łowiczu. Podoficer w dyżurce informuje:

— *Gołębiewski? Nie, od dawna nie pracuje w Łowiczu. Przenieśli go do Skierniewic. Porucznikiem już na pewno nie jest. Awansował. Co najmniej kapitana ma, parę lat przecież minęło.*

On i jego koledzy — a w dyżurce tłok — jakby domyślali się, o co chodzi: wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, uśmiechy. Nagle jeden dodaje:

— *Jagiełło też już tu nie pracuje. Ostatnio chyba służył w Żyrardowie.*

Jedziemy do Skierniewic. Najpierw do Rejonowego Urzędu. Ot, tak, na wszelki wypadek, co zaowocuje w niespełna kwadrans. Młody chorąży pełniący dyżur:

— *Kapitan Gołębiewski? A był tu niedawno. Gdzie go szukać? Wojewódzki Urząd na Sobieskiego...*

Cywilny portier długo ogląda służbową legitymację. Nie kwapi się z zaanonsowaniem nas kapitanowi. Gra na zwłokę? Podchodzi barczysty milicjant w mundurze, który wysiadł przed chwilą zza kierownicy radiowozu.

— *Gołębiewski? Nie ma go! Wyszedł... Nie wiem, chyba przed chwilą... Pewne już nie wróci... Nie wiem, może do rejonu pojechał?*

— Właśnie stamtąd jedziemy. Powiedzieli nam — bluffuję — że na pewno już tutaj wrócił... Sprawdźmy!

Portier chciał nie chciał — wykręca numer wewnętrzny. Mamy czekać, zejdzie do nas na dół. Czekamy więc, dość długo, stanowczo za długo.

Schodzi wreszcie kapitan. Ubrany w cywilne ubranie, modny kapelusik na głowie. Właśnie wpadł na chwilę, jutro wyjeżdża na urlop, adres zostawił, gdyby musiał w tym czasie załatwiać jakieś formalności, niech przełożeni wiedzą, gdzie go szukać... Bo on w ogóle odchodzi ze służby, na emeryturę, dostateczną wysługę ma — 27 lat, woli więc sam odejść, po co mają go szarpać, na co mu weryfikacja... Tak, podał się do raportu o zwolnienie... Kiedy?... W tym tygodniu!

Spoglądamy ze Zbyszkiem po sobie: bardzo jesteśmy ciekawi dokładnej daty tego raportu. (Nb. rozmawiamy z kapitanem 23 lutego 1990 roku).

Stoimy z początku u wyjścia, siadamy wreszcie w kącie obok popielniczki. Kapitan uprzejmy, ugrzeczniony wręcz, do tego bardzo zdenerwowany: poci się, dłonie mu drżą. Nie kryje się ze zdenerwowaniem, wprost o nim mówi: nie spodziewał się, że po latach ta sprawa tak przykra dla niego, nieprzyjemna, znów wypłynie. Po co ją ruszać? Co się stało, nie ostanie. On swoje odcierpiał, nie awansował należycie, tracił na poborach i premiach, nie zrobił dużej kariery, dzisiaj mógł już w Warszawie pracować. Kapitan usiłuje odwieść mnie od zamiaru publikowania tego reportażu, powołuje się na dobro swej córki, *„świetnej uczennicy, olimpijki"* (cudzysłowy stawiam przy dokładnych cytatach z jego wypowiedzi), która o niczym nic nie wie, była wtedy malutka.

W krótkiej, a dość chaotycznej rozmowie pojawiają się różne wątki. Mowa też o samym zajściu w bielawskiej restauracji. Tu kapitan nie wykracza poza to, co zeznawał przed sądem, a więc:

— *do żadnej winy się nie poczuwa, to jemu stała się wielka krzywda moralna;*

— *naczelnik Liberski jest jego kolegą z uczelni, tego dnia spotkali się, bo naczelnik przywiózł mu z Łodzi zaświadczenie o ukończeniu studiów, ot, koleżeńska przysługa, sam nie musiał do Łodzi jeździć;*

— *poszli do gospody, żeby tam wypić „małą wódkę", bo pani Liberskiej akurat w domu nie było, nie miałby więc kto im usłużyć;*

— *żadnej wódki od Pietrzaka na wynos nie chciał; fakt, że miał wkrótce imieniny, ale wracał prosto z obstawy uroczystości w Sadkowicach, gdzie go tamtejsi „chłopcy" w alkohol zaopatrzyli: miał w bagażniku dziesięć „ćwiartek w ciąży" (0,33 litra?), na co mu było więcej?*

— *awanturę wszczął Pietrzak, który spił się do nieprzytomności i wpadł nagle do pokoiku, gdzie oni we trójkę spokojnie biesiadowali, zaczął im ubliżać, jakby „zerwał się z rozżarzonej blachy";*

— *on sam, gdy zrobiło się nieprzyjemnie, chciał się stamtąd wynieść, ale nie znał knajpy, trudno mu było trafić do wyjścia, zwłaszcza że co rusz światło gasło;*

— *a tak, w ogóle, to on Pietrzaka nawet palcem nie tknął.*

W tym miejscu następuje rozszerzenie argumentacji: kapitan jak widzimy, postury jest słusznej, gdyby więc on uderzył kierownika, nieporównanie gorzej by się dla tamtego skończyło, co więcej — gdyby on zabierał się do bicia, to raczej tak, żeby śladów nie zostawić; twarz, głowa — nonsens, można zadać skuteczniejsze ciosy *„na żołądek"* czy *„na inną część ciała"*, że żaden lekarz obdukcji nie zrobi. Ktoś więc inny zawadził Pietrzaka w *„mazak"*. Kto? Tego kapitan nie wie. Na przypomnienie, że kilkanaście osób wskazało ich trójkę jako sprawców pobicia, stwierdza, że go to nie dziwi, bo to przejaw typowej wiejskiej solidarności.

— Proszę pana, ci ludzie, składając zeznania i podtrzymując je — nie wytrzymuję — musieli przełamać potężny strach przed wszechwładzą milicji, której doświadczam przecież na co dzień.

Nie był to taki wielki strach, skoro — replikuje kapitan — jego samego pobili. Wciąż odczuwa tego skutki. Dotyka lewego policzka, skarżąc się, że tu *„nie ma do dziś czucia"*. Wspomina o swoim pobycie w szpitalu, skąd — co pada w rozmowie — wypisany został z rozpoznaniem... żółtaczki. Nie rozwija tego wątku, wspomina natomiast, że Pietrzak podobno próbował przekupić lekarza, żeby ten korzystniejszą obdukcję sporządził.

Tym razem nie wytrzymuje Zbyszek Nowak, przypomina, w jakim stanie zastaliśmy pobitego w szpitalu. Fakt, szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą zdjęć i taśmy magnetofonowej, gdzie na moją prośbę swoje głosy zapisali w kilka dni po zajściu:

Dr Jan Kotecki, który udzielił pierwszej pomocy i zabrał pobitego karetką do Łowicza:

— *Kiedy zajechaliśmy na miejsce, a było już wówczas całkiem ciemno, na zapleczu restauracji zobaczyłem radiowóz otoczony grupką ludzi (...) Poszkodowany, kierownik restauracji, znajdował się w swoim pokoiku. Podłoga zachlapana krwią, pokrwawione ściany i meble. Głowa rannego owinięta bodaj prześcieradłem, nasączonym już krwią (...) Dowiedziałem się od razu od zebranych, że pacjent został pobity przez funkcjonariuszy MO. W samej restauracji byłem bardzo krótko. Stan poszkodowanego nakazywał maksymalny pośpiech (...) Pacjent był w stanie szoku, ciężkie obrażenia, duży upływ krwi...*

Dr Wojciech Maciejak, który zajmował się pobitym w Szpitalu Miejskim w Łowiczu:

— *Opatrzyłem ranę ciętą głowy. Rozległa rana, skóra głęboko odwarstwiona. Aby ją odbroczyć, zapobiec powstaniu krwiaka, musiałem przed zszyciem włożyć w ranę pasek gumowy, szerokości ok. 10 centymetrów. Pacjent był tak pobity, że byłem przekonany, że ma złamaną kość jarzmową i żuchwę, poza tym wstrząśnienie mózgu. Nie mogłem go zatrzymać u nas, bezpieczniej było odesłać go do Zgierza na specjalistyczny oddział...*

Dr Zbigniew Olszewski, który przyjął pobitego na Oddział Chirurgii Szczękowo-Twarzowej zgierskiego szpitala:

— *Obrażenia chorego są ciężkie (...) Jakie rokowanie? Jeśli proces leczenia będzie przebiegał prawidłowo, co najmniej dwutygodniowy pobyt w szpitalu, a potem przez długi czas regularna opieka poradni neurologicznej. W przypadku poważnych urazów twarzy i głowy niczego nie można z góry przesądzić...*

Wiemy już, że obawy doktora były uzasadnione. Dziś — po ośmiu latach — pytam kapitana Gołębiewskiego, czy interesował się losem pobitego, czy wie, co się z nim działo przez te lata? Widuje czasem kapitan Pietrzaka, jak ten handluje na ulicy w Skierniewicach, ale nie podchodzi do niego. Jak się zresztą miał interesować, skoro tamten nie chciał z nim nawet rozmawiać?

— On się po prostu przez cały czas bał — przypominam.

— *Nno... tak* — przytakuje. — *Przed sądem też bredził, że się boi, żeby Gołębiewski się nie zaczaił na niego ze swoimi ludźmi... Bzdura! A co to ja jakiś chuligan, czy co?*

Kończymy rozmowę, na odchodne słyszymy jeszcze:

— *Wielka szkoda, że się to wszystko wydarzyło... Żałuję, że dałem się wtedy zaprosić na zaplecze gospody... Cóż, nauczka na całe życie: trzeba wiedzieć, z kim się wódkę pije!*

O kogo mu chodzi? O Pietrzaka? Na pewno nie. O podkomendnego Jagiełłę? Raczej nie, najpewniej więc o *„kolegę z uczelni"*, naczelnika Liberskiego, on to przecież zapraszał na wódkę.

Gdy odwiedziliśmy naczelnika Kazimierza Liberskiego w grudniu 1981 roku, miał on już za sobą wieloletni staż w urzędach państwowych w Bielawach, gdzie pracował od 1962 roku, najpierw jako sekretarz i przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej, potem — od reformy administracji — naczelnik gminy.

Przeprowadziliśmy z nim wówczas rozmowę, której fragment chociaż należy dzisiaj przypomnieć:

— Panie naczelniku, co wydarzyło się 26 listopada, w czwartek po południu w restauracji „Bielawianka"?

— *Ano, trzeba zapytać tych, którzy tam byli.*

— Właśnie pytamy jednego z nich.

— *No, ja byłem, ale wcześniej wyszedłem.*

— To znaczy wyszedł pan przed faktem pobicia Pietrzaka?

— *Ja byłem wtedy w ubikacji, światło zgasło i wtedy wyszedłem (...)*

— Składał pan zeznania w prokuraturze, prawda? Jak wytłumaczył pan to, że nic pan na temat zajścia nie wie?

— *W takiej formie, że jak się rozstawaliśmy, to on miał uregulować rachunek, a potem jak zobaczyłem, co się dzieje, krew na korytarzu, to dyla dałem do chałupy i cześć!*

— (...) Proszę pana, wzburzeni ludzie otoczyli radiowóz... Dlaczego nic pan nie zrobił, żeby rozładować napięcie? Dlaczego pan, jako gospodarz terenu, nie interweniował?

— *Jak zobaczyłem, jaka jest sytuacja, to dyla dałem, bo przecież nie wypadało, jak się ja miałem tutaj... ZOMO było, sprawa pobicia była, ciemno się zrobiło, co ja miałem się tam wtrącać, jak ja sam byłem wypity, ja przepraszam... jak ja bym tam poszedł załatwić jakąś sprawę, zjadł obiad, herbatę czy oranżadę wypił, to ja bym wiedział, co zrobić. Ja wiem, że to jest plama, ale co ja miałem zrobić?*

— Czy ma pan świadomość, że cała ta historia może oznaczać kres pańskiej kariery?

— *Tak, domyślam się.*

I rozłożył naczelnik ręce w geście rezygnacji... Zasadnej?

Zajeżdżam teraz — w lutym 1990 roku — znów do Bielaw.

Chcę sprawdzić jakie były dalsze losy Kazimierza Liberskiego. Informacji chcę zasięgnąć u źródła: w Urzędzie Gminy. A tam, za biurkiem naczelnika zastaję... Kazimierza Liberskiego.

Konsternacja po obu stronach. Naczelnik nie spodziewał się pewnie, że ja tu jeszcze kiedykolwiek wrócę, ja — nie przypuszczałem w swej naiwności, że go tu jeszcze zastanę. Rozmowa krótka, bo o czym tu rozmawiać? Pytam o Pietrzaka.

— *Ano, jakoś sobie w życiu radzi, ale nic bliższego nie wiem. Jak zachodzi do urzędu, unika mnie.*

— Dziwi mu się pan?

— *Niby nie, bo on ma mnie wciąż za prowodyra w tej całej historii.*

Następnego dnia rozmawiamy z wojewodą skierniewickim — Kazimierzem Borczykiem, który swój urząd sprawował już i w tamtych latach.

Wojewoda z początku sprawy sobie nie przypomina. Rozkładam przed nim pożółkły egzemplarz tygodnika z „Incydentem w Bielawach". Powoli wojewoda zaczyna sobie przypominać. Nie jest jednak pewien, czy przeciwko Liberskiemu podjęto jakiekolwiek kroki służbowe, zwłaszcza że udział naczelnika w zajściu musiał być, zdaniem wojewody, przedmiotem zainteresowania prokuratury, a później sądu, skoro zaś to nie dało podstaw...

— Panie wojewodo — przerywam — naczelnik od początku był wyłączony ze sprawy. Wieść gminna głosi, że zawdzięczał to szczególnej protekcji dwóch osób: ówczesnego sekretarza KW PZPR w Skierniewicach, Stanisława Bartosa i... pana!

— *Nonsens* — oburza się Kazimierz Borczyk. — *Przecież ja Liberskiego nie znam bardziej niż pana.. No, może go częściej widuję... Ale doprawdy nie miałem i nie mam żadnych powodów, by go otaczać protekcją.*

— Panie wojewodo, dla mnie też pan Liberski ani brat, ani swat. W istocie niewiele mnie on obchodzi, pojąć tylko nie mogę, jak to się stało, że najważniejszy na tym terenie reprezentant władz państwowych, mimo udziału w kompromitującym go incydencie, nie został nawet zawieszony w służbowych czynnościach chociażby do czasu wyjaśnienia sprawy?

Nie, tym razem wojewoda jest prawie pewien, że Urząd Wojewódzki musiał prowadzić postępowanie wyjaśniające, że musi to mieć odbicie w dokumentach. I wzywa do siebie dyrektora Biura Organizacyjno-Prawnego, Jana Zwierzchowskiego.

Gram va banque:

— Panie wojewodo, jestem przekonany, że urząd żadnego postępowania nie prowadził. Jeśli pan pozwoli, dyrektor przejrzy w naszej obecności teczkę personalną pana Liberskiego, rozstrzygając ostatecznie wątpliwości.

Gram i wygrywam: w teczce ani śladu po bielawskim incydencie. Upewniam się jeszcze, że naczelnik Liberski odznaczony został w ostatnich latach Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

— *Tak, w 1986 roku* — potwierdza dyrektor. *Wiecie, panowie, to wynika ze służbowej pragmatyki: 30 lat w służbie państwowej bez większych zastrzeżeń i dostaje się Kawalerski.*

Polonia Restituta.

Cóż mogę powiedzieć? Słyszę — badając tę sprawę — o służbowej pragmatyce, o służbie bez zastrzeżeń, o moralnej krzywdzie, o podawaniu się do raportu, o wysłudze lat, o tym wreszcie, że trzeba wiedzieć, z kim się wódkę pije, a także kiedy należy dyla dać. A nikt ze mną nie rozmawia o godności i honorze, prawości i uczciwości, obowiązku i powinności, o zadośćuczynieniu, o wstydzie... Nie dziwię się zresztą, to przecież pojęcia z innego całkiem świata.

Reporter powrócił na stare tropy, a swoim powrotem mało radości wzbudza, więcej gniewu i strachu, niby upiór, który zakłóca po latach błogi spokój.

Cóż, okazuje się, że nie wystarczyło mu zabrać ośmiu lat życia, należało mu jeszcze serce osinowym kołkiem przebić.

ze str. 1

chciałem zawieźć nawet do weterynarza, żeby zbadał czemu ona przez pierwszą połowę miesiąca daje mleko w pierwszym gatunku, a przez resztę dni w drugim. Ale okazało się, że tak jest ze wszystkimi naszymi krowami.

— *Mówiłem, że z takimi sprawami trzeba iść do astrologa, bo to pewnie wpływ gwiazd tak te nasze krowy pozmieniał...*

Gorzkie są te żarty.

Kółko Rolnicze oraz Koło Gospodyń Wiejskich są ogniwami SKR. To nie tylko organizacja zapewniająca swoim członkom pomoc w czasie prac polowych, to także spoiwo łączące wieś. Lecz i tu kryzys, a przede wszystkim ceny, zaczynają wprowadzać takie pojęcie jak niepewność czy malejąca wiara w dalsze istnienie tych organizmów. Choć, jak na razie, nikt z rolników nie zgłosił chęci wystąpienia ani z KR ani KGW.

Stefan Rzeźnik miał pytanie do prezesa SKR z Brzeźnia, Mariana Jemieluchy, czy są w SKR zapasy środków ochrony roślin. Prezes odpowiedział, że takich zapasów nie ma. Chłop tylko rozłożył ręce z bezsilności: w ubiegłym roku stonka zjadła mu kartofle, bo nie było czym ich opryskać, w tym roku będzie podobnie.

Więc jak tu żyć?

Na to pytanie nikt nie odpowiedział.

Stefan Rzeźnik miał jeszcze jedno pytanie: co ze sznurkiem do pras? Będzie czy nie będzie? Prezes odpowiedział, że nie wie, bo GS w Sieradzu, który taki sznurek sprowadza dla SKR z „Terpolu" nie ma pieniędzy na jego zakup. No, chyba że każdy sam jakoś się o ten sznurek postara.

Do Kółek Rolniczych należą gospodarstwa o różnych areałach. Te małe może nawet poradzą sobie w żniwa kosą, ale duże muszą sprzątać zboże kombajnem. Godzina pracy kombajnu w tym roku będzie kosztować 460 tys. zł. W ogóle ceny zwariowały: za godzinę pracy roztrząsacza obornika — 55 tys. zł, za ładowacz „Cyklop" — 31 tys., za prasowanie słomy — 100 tys. I tak dalej, i tak dalej. I to dla członków zrzeszonych w SKR, zaś dla nie zrzeszonych te ceny są dwukrotnie wyższe.

Marian Maksajda swoją ziemię przekazał państwu (Państwowemu Funduszowi Ziemi), za co otrzymał emeryturę. Liczył, że jej wysokość jakoś pozwoli mu dożyć w spokoju resztę życia. No i otrzymał tej emerytury aż 200 tys. zł! I zaraz, aby staruszkowi w głowie się nie przewróciło od takiej sumy, nadszedł papier z Urzędu Gminnego w Brzeźniu, że Marian Maksajda winien zapłacić podatek za chałupę (której PZF od niego nie wziął) w wysokości 59.460 zł. Jeszcze chłop nie otrząsnął się po tak dotkliwym ciosie, a tu już puka listonosz i przynosi wezwanie z PZU do zapłacenia pierwszej raty w wysokości 40.800 zł. Marian Maksajda mówi, że chyba zwariował, bo nagle przestał cokolwiek rozumieć: przecież całą ziemię oddał państwu sobie zostawiając chałupę i ogródek przydomowy. Państwo dało mu rentę, z której połowę teraz to samo państwo zabiera. Z czego ma żyć na starość? Z tych pozostałych stu tysięcy? Jeździłby na zupki do pana ministra Jacka Kuronia, ale ma za daleko.

A tak w ogóle — mówią w Rydzewie — to chłopa nikt nie pyta, czy chce się on ubezpieczyć czy nie. PZU przysyła po prostu stutysięczne nakazy płatnicze i basta. Nikt jakoś nie wnika, że ziemia tu licha, VI klasy, że niewiele z niej udaje się wyciągnąć. A najgorsze, że nikt we wsi nie wie, za co płaci do PZU: za hektary, za osoby czy za inwentarz. Dlatego wieś domaga się, aby składka PZU była dobrowolna, a nie narzucona odgórnie jak jaka kara.

W Rydzewie urzędnik z Zakładu Energetycznego w Wieluniu pobrał opłatę „na wyrost" za pół roku z góry. Sumy były spore, niektóre dochodziły do 900.000 zł. Chłop niósł paczkę pieniędzy na pocztę, a tam panienka pobierała od niego opłatę 40 tysięcy za przesyłkę. Chłop zgrzytał zębami, przeklinał niebo i ziemię, ale płacił. Potem wracał do wsi i rozbijał nos o słup lub walił się do rowu, bo choć zapłacił, to elektryczność i tak do Rydzewa nie dochodzi, gdyż są kłopoty z transformatorem i od miesięcy nie ma kto go naprawić.

Krystyna Trzeciak prowadzi w Rydzewie Koło Gospodyń Wiejskich. Ale to koło nie ma żadnej przyszłości, bo wieś się gwałtownie starzeje. W całym Rydzewie jest zaledwie jeden młody rolnik, reszta to staruszkowie. I do KGW przychodzą same starsze kobiety. A urzędnicy z PZU jakby o tym nie pamiętali i nadal przysyłają żądania zapłaty wysokich składek. Rocznie wynosi ona 480 tysięcy złotych od osoby. I kto dożyje do emerytury? Z reguły niewielu. Więc po co ściągać z chłopa ten haracz?

Edward Krysiak powiada, że obecny rząd w Polsce jest chyba chory, skoro nie chce od niego kupować ani świń, ani bukatów. I w ogóle on tu czegoś nie rozumie, bo w punkcie skupu za 1 kg świniaka do godziny 11.00 płacą mu 5.300 zł; a już pięć po jedenastej — tylko 4.900 zł! Czyżby świnia po tej godzinie była mniej wartościowa? W punktach skupu teraz faceci wycwanili się i stosują drakońskie metody. Otóż gdy jednego dnia jest duży spęd, gdy kupią sporo trzody i bydła, to za tydzień gwałtownie obniżają cenę. Co w tej sytuacji ma robić chłop, który tyle kilometrów wiózł swoje świnki czy krowy?

Henryka Rosiak uważa, że obecne ceny są przyczyną skłócenia miasta ze wsią. Ludzie w mieście nie wiedzą przecież, że to nie chłop podnosi ceny. Jeszcze nie tak dawno za wszystkie niepowodzenia obwiniało się partię, ale dziś kto ponosi odpowiedzialność za to co się dzieje na wsi? Kiedyś radny Gminnej Rady nie miał nic do powiedzenia, dziś może mówić wszystko, ale nie ma żadnych możliwości działania.

Z Rydzewa droga jak ze złego snu: wyboista, rozjeżdżona w koleinach woda, woda w zapadlinach.

— *Proszę sobie wyobrazić* — mówi instruktorka SKR Maria Świniarska — *oni codziennie dojeżdżają do gminy, codziennie tędy wiezie się mleko do zlewni, przywozi nawozy i zaopatrzenie!*

Z Rydzewa jedziemy do Dębołęki, która ma tę przewagę, że przez nią biegnie nitka wąskiej smołówki.

Zebranie wyborcze Kółka Rolniczego odbywa się w zimnej remizie.

Z sufitu zwisają dekoracje po ostatniej zabawie karnawałowej. Ludzie siedzą w paltach, kobiety okutane w chusty. I od razu wybucha dyskusja, a właściwie długa litania pretensji i żalów pod adresem rządu i wicepremiera Leszka Balcerowicza. Wiele z uwag jest zbieżnych z tym, o czym już słyszałem w Rydzewie. Obie wsie zapowiedziały bojkot nadchodzących wyborów do samorządu terytorialnego.

Józef Krzemiński, doświadczony rolnik, uważa, że jeśli nic się nie zmieni na lepsze, to polska wieś upadnie, a wówczas nie dźwigną jej żadne plany uzdrawiające. On jest już starym rolnikiem, życie ma prawie za sobą, ale wolałby tej katastrofy nie oglądać. Od chłopa wymaga się, aby żywił kraj, ale jak ten chłop ma to zrobić, nikogo nie obchodzi. Ma produkować żywność i tanio ją sprzedawać. A tu przecież drożeją maszyny (ciągnik — 30 milionów), drożeją środki ochrony roślin (płyn do zwalczania stonki „Decis" — 46 tysięcy za litr), nawozy (wapno — 70 tys. zł za tonę, saletra — 50 tys. za kwintal, sól potasowa — 26 tys., superfosfat — 38 tys., mocznik — 67 tys. zł).

Owszem, nawozy staniały, można je kupić nawet jeszcze taniej, ale trzeba po nie jechać aż do Puław. Kogo stać na taki wyjazd ciągnikiem, bo przecież autobusem czy pociągiem nie przywiezie się kilku worków naraz. Rząd jakoś nie zastanawia się, że polska wieś się starzeje, że młodzieży już nie ma, że starzy oddają ziemię za emeryturę wynoszącą 105 tys. zł. Kto ma na tej naszej ziemi pracować? On, Józef Krzemiński, zawsze był patriotą, Polakiem, pracował całe swoje życie nie tylko po to, by samemu dojść do czegoś, ale żeby przyczynić się do lepszego i lżejszego życia w kraju. Teraz widzi, że jego wysiłek poszedł na marne, nikt tego nie docenił, nie zauważył. Chłop jak był niedoceniany tak nim i pozostał.

Jan Strumiński, sołtys z Dębołęki był najbardziej rozżalony i najbardziej ostry w swojej wypowiedzi. Wiele, bardzo wiele gorzkich słów powiedział pod adresem rządu. W telewizji ciągle słyszy, że obecny rząd i premier zyskują coraz większe uznanie w społeczeństwie. Skąd ci z telewizji o tym wiedzą? Niechby przyjechali do Dębołęki, niechby zapytali rolników! Chłopi twierdzą, że Balcerowicz nic nie wie o wsi i o jej problemach. Jan Strumiński jest członkiem „Solidarności" i jest praktykującym katolikiem, więc nikt mu nie może zarzucić, że popierał lub pozostał sympatykiem upadłej partii. Ale Jan Strumiński ma oczy. I tymi oczami widzi, że ani rząd, ani kościół nic dobrego dla chłopa nie zrobili. Dziś wieś nie wierzy już „Solidarności", nie wierzy w żadne hasła, nie ma zaufania do rządu. Wieś jest zdezorientowana, nikt nie wie, co go czeka jutro czy pojutrze, ale panuje przekonanie, że jeśli cokolwiek się zmieni, to jedynie na gorsze. Bowiem z jednej strony słyszy się o wspaniałych programach, z drugiej jednak nie widzi się działań mających na celu uzdrowienie polskiej wsi. I dlatego wieś czuje się oszukana, okłamana. W czerwcu 1989 roku głosowali przeciwko starym porządkom, potem okazało się, że wszystko się zmieniło, tylko los chłopa pozostał ten sam, a nawet się pogorszył. Teraz znów podsuwają wybory do samorządu. O, nie, chłopi do wyborów ręki nie przyłożą. Dosyć manipulowania!

Jan Jadwiszczak, pełniący funkcję przewodniczącego Kółka Rolniczego w Dębołęce jest bardziej umiarkowany i tolerancyjny, wolałby rozwiązania ugodowe, nie wymagające decyzji ostrych czy konfrontacyjnych. Przyznaje jednak, że w sprawie wsi polskiej są poważne niedopatrzenia lub wręcz zła wola w działaniu na rzecz rolnictwa. Wieś polską stać na wyżywienie kraju: mamy pod dostatkiem zboża, mleka i mięsa. Po co zatem sprowadza się te produkty z zagranicy? Wystarczy przecież kupić to, co chłop chce sprzedać. Ale ostatnio punkty skupu przestały kupować. Chłop wiezie szmat drogi swoje świnki czy krowę i tylko po to, by dowiedzieć się, że nikt jego produktów nie potrzebuje. Więc wraca zły do swojej wioski i nijak nie może zrozumieć dlaczego w telewizji, w radiu i w gazetach ciągle trąbią że żywność u nas jest droga. Komu na tym zależy, by całą winę zwalić na rolnika? A rolnik więcej już na punkt skupu nie jedzie, nie chce też hodować więcej ani trzody, ani bukatów. Dlatego rozpoczął się bardzo niebezpieczny proces, którego skutków nie da się jeszcze w pełni przewidzieć; chłopi likwidują hodowlę, wyzbywają się macior, młode byczki idą pod nóż...

Zebranie w Dębołęce było burzliwe i trwało długo.

Cały czas przewijała się sprawa cen: tych za produkty rolne i tych za środki do ich produkcji. Krajowy Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych opublikował — zgodnie z postanowieniem — wykaz cen, które były opłacalne w styczniu dla rolników. I tak: za 100 kg żyta — 82.000 zł., za tyleż samo pszenicy — 105.000 zł, za 1 kg żywca wieprzowego — 9.750 zł (obecnie na skupie płacą 5.500 zł), za 1 kg żywca wołowego — 7,800 zł (na skupie płacą 2.700 zł), za litr mleka — 1.400 zł (zlewnia od 1 do 15 każdego miesiąca płaci 430, a od 15 do końca miesiąca 390 zł). Jak wynika z wypowiedzi rolników, proponowane ceny nigdy nie zostały przyjęte, więc wieś zaczyna coraz głośniej mówić, a w Warszawie jej przedstawiciele pragną by rząd uznał ich racje.

Póki co, trwa ukryte kucie i ostrzenie kos. Lepiej jednak, by te kosy zostały użyte w czasie żniw, niźli stałyby się argumentem w dochodzeniu racji przez rolników. Oczywiście, wspomniane kosy są jedynie symbolem i dziś nie przy ich pomocy prowadzi się dyskusje, prawdą jest wszakże, że cierpliwość rolników zdaje się być na wyczerpaniu.

EUGENIUSZ IWANICKI

Wieś ostrzy kosy

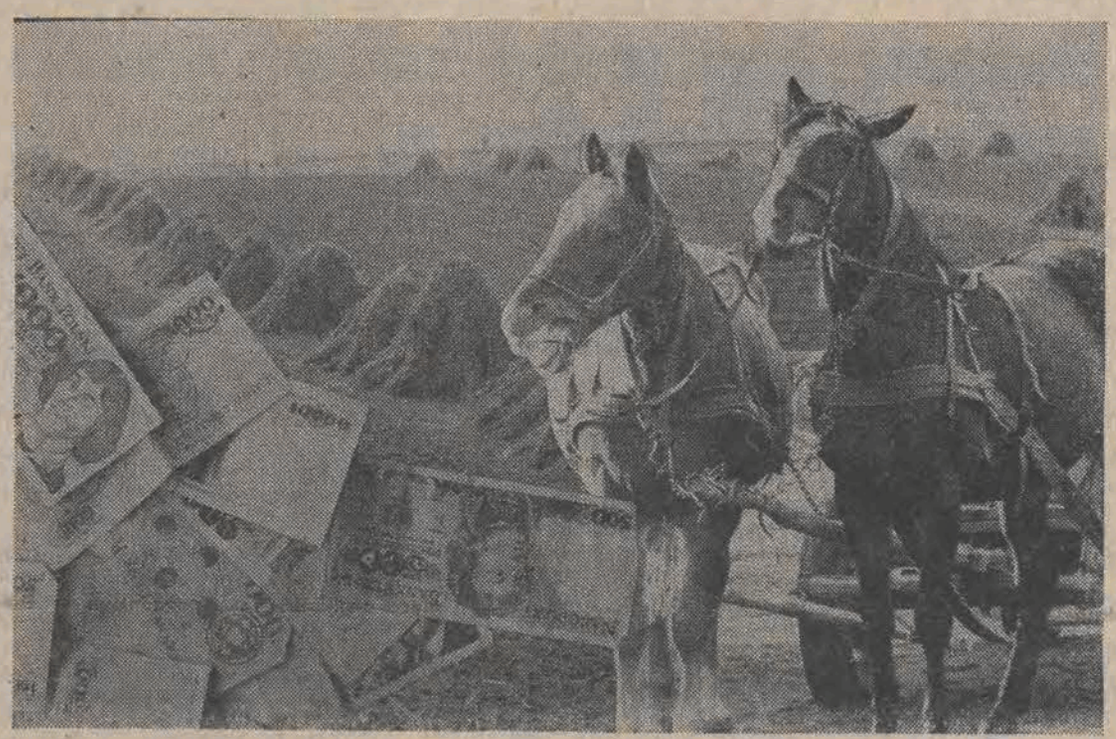

Collage: Grzegorz Gałasiński

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE

Już czas na porządki

Rys. Sławomir Łuczyński

„Odgłosy" proponują:

Na ekranach łódzkich kin — obok kilku interesujących wznowień — wyświetlany jest amerykański film pt. **„NICO"**, którego reżyserem jest **Andrew Davis.** „Nico" to jedna z popularnych dziś w kinie opowieści o policjancie samotnie walczącym ze złem i, jak większość z nich, oparta jest na autentycznej historii współudziału CIA w aferze narkotycznej. Nico organizuje obławę na dostawców wielkiej przesyłki narkotyków, ale cała sprawa zostaje wyciszona po interwencji z góry, a Nico zwolniony z pracy. Rozpoczyna więc działanie na własną rękę i dowiaduje się, że w przemyt narkotyków zamieszane są agencje wywiadowcze...

W przypadku filmu Davisa policjant pokazany jest wielostronnie jako kochający mąż i ojciec, ex-agent CIA, mistrz walk Wschodu. W przeciwieństwie do bezwzględnych bohaterów typowych filmów policyjnych jest człowiekiem wrażliwym i wykształconym, który pragnie coś zrobić dla innych, być użytecznym. W roli Nica wystąpił **Steven Seagel,** nowa gwiazda kina amerykańskiego. Od dzieciństwa pasjonował się walkami Wschodu, miał potem okazję studiować je w Tokio, gdzie założył własną szkołę walki. Po powrocie do USA otworzył własną szkołę walk Wschodu i zrealizował swoje marzenie o filmie, w którym wiele faktów wziętych jest z jego biografii. W „Nico" jest autorem pomysłu, producentem i aktorem.

„Za wcześnie na dzieło, za późno na..."

— rozmowa z BARBARĄ SASS, reżyserem filmowym.

— Jest pani autorką scenariusza i reżyserem kolejnego filmu pt. „Niemoralna historia". Podobno ten film odwołuje się do pani zawodowych powiązań z Dorotą Stalińską, z którą od lat pani współpracuje. Jaką historię kobiety tym razem pani opowie?

— Treść „Niemoralnej historii" jest szalenie trudna do przekazania w paru słowach, ze względu na skomplikowaną konstrukcję. Poza tym chciałabym zachować niespodziankę dla widza. Punkt wyjścia jest faktycznie autobiograficzny. Ukazuje relacje osobiste i zawodowe pomiędzy Dorotą Stalińską i mną, ale to tylko inspiracja. Później wkomponowałam w fabułę wymyślone historie i fakty. Konstrukcja „Niemoralnej historii" jest silnie podporządkowana zjawisku które celnie oddaję pytanie: Jak dalece można manipulować osobą bohatera filmowego? Mam jednak nadzieję, że film będzie odebrany w kategoriach bardziej ogólnych, a więc o manipulacji w ogóle, a nie tylko w odniesieniu do problemu postawionego w filmie.

— Bohaterki pani filmów, to zazwyczaj kobiety silne, obdarzone ogromną wrażliwością, która doprowadza je do tragedii osobistych, załamań psychicznych. Siła przechodzi w klęskę. Filmy: „Bez miłości", „Debiutantka", „Krzyk" zdają się być tego najlepszym potwierdzeniem. Skąd się bierze tak pesymistyczne postrzeganie kobiety w naszej rzeczywistości społecznej?

— Wydaje mi się, że każdy twórca filmowy po trosze sprzedaje siebie. O tym jest właśnie „Niemoralna historia". Ten film tłumaczy, dlaczego wybieram takie bohaterki i dlaczego tak patrzę na życie. Mówiąc najkrócej: jestem pomieszaniem optymistki z pesymistką. Z tego pomieszania mojego charakteru i wrażliwości wynika typ bohaterki, ale to wcale nie znaczy, że ja jestem taka sama. Przy pomocy moich bohaterek szukam sposobu na życie, sprawdzam na ile się z nimi utożsamiam i czy odpowiada mi ich sposób postępowania, czy też może jest wręcz odwrotnie.

— Czytając pani biografię zastanowiło mnie, że pani losy są zaprzeczeniem doświadczeń kobiet z filmów, a więc prostych odniesień brak. Cierpliwie pani czekała przez 20 lat na swój filmowy debiut, asystując uznanym reżyserom. Później bardzo szybko zajęła pani wysoką pozycję w polskiej kinematografii.

— Skoro już wchodzimy w tak bardzo osobiste sprawy, to muszę przyznać, że obok pomieszania optymizmu z pesymizmem towarzyszy mi także pomieszanie silnej osoby i słabej zarazem. Czasem dostrzegam w sobie silną wolę, pracowitość, upór. Innym razem tracę wiarę w to, czy te moje wszystkie działania mają sens. To, że na początku długo nie robiłam filmów samodzielnie, wcale nie wynikało z braku siły. Byłam bardzo młoda i okres terminowania u dojrzałych reżyserów był mi szalenie potrzebny. Bardzo spalałam się w tej pracy. Być może początkowo był to brak ambicji związany z własnymi możliwościami, ale z drugiej strony ja tak intensywnie pracowałam, tak wiele z siebie dawałam, że kto wie, czy nie więcej niż przy własnych realizacjach. Na pewno ten okres nie był ani zawodową, ani ogólnoludzką biernością. Bierność odnosiła się jedynie do własnych poczynań twórczych. Film „Bez miłości" dokonał przełomu w mojej pracy. Od tamtej pory pracuję na własny rachunek.

— W pewnym momencie zaczęła pani pisać scenariusze. Czy wszystkie znalazły swoją ekranową wersję?

— Nie, nie wszystkie, ale tych nie zatwierdzonych jest niewiele i dotyczą głównie czasów sprzed debiutu. Zalegały mi w szufladzie przez długie lata scenariusze do filmów telewizyjnych. Dzisiaj nie mam nawet ochoty do nich wracać. Od momentu, kiedy zaczęłam robić filmy fabularne, mam nie zatwierdzony tylko jeden tytuł, zatrzymany w 1981 r. Po latach doszłam do wniosku, że nie potrafiłabym zrobić filmu o stanie wojennym. Paru moich kolegów aktywnie włączyło się w nurt kina politycznego, co znalazło potwierdzenie na ostatnim Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. Natomiast ja w tym samym momencie, choć miałam okazję, żeby ten scenariusz w końcu uruchomić, zrezygnowałam z tego.

— Dlaczego?

— Po latach osłabło we mnie przekonanie do tego scenariusza. Poza tym filmy polityczne mają to do siebie, że w naszej rzeczywistości szalenie szybko się przejadają, szczególnie teraz, gdy ogląda się je w sposób zmasowany. Na pewno będą jeszcze powstawały filmy polityczne, ale nie będą już tak silną falą. Będą one jedynie głosem określonej formacji ludzi. Wydaje mi się, że filmy polityczne trzeba robić albo na gorąco, gdy coś się dzieje, bo wtedy mają wartość dokumentu, albo po latach, kiedy na pewne sprawy potrafimy spojrzeć już z dystansu. W tej chwili za wcześnie na dzieło, za późno na film będący dokumentem tamtego czasu. Nie jestem osamotniona w tym przekonaniu. Nie sądzę, aby teraz pojawiła się fala filmów społeczno-politycznych.

— Pani twórczość krytycy bardzo chętnie włączają w nurt kina kobiecego, ale pani protestuje przeciwko temu, z wątpliwymi rezultatami...

— Kino kobiece w Polsce można przyrównać do dobrodusznego pokiepywania po plecach. Jest to szalenie pejoratywne określenie. Faktycznie, mimo licznych protestów postrzega się mnie jako feministkę. Nawet przestałam się już bronić. A przecież moimi filmami interesują się nie tylko kobiety. Miałam także dobrą publiczność męską. Każda opowiadana przeze mnie historia o kobiecie z powodzeniem, przy minimalnych modyfikacjach może być przełożona na typ męskiego bohatera. Proszę zauważyć, że poza filmami Bergmana, Altmana bardzo mało jest psychologicznych portretów kobiet. Kobiety zazwyczaj pełnią funkcje ozdobnikowe w kinie. Myślę, że moje filmy wypełniają pewną lukę w prezentacji postaci żeńskich

— Czym kieruje się pani w doborze obsady aktorskiej do swoich filmów?

— To jest szalenie ważna umiejętność reżysera. Nie wiem, czy posiadam tę zdolność. Na ogół w doborze aktorów kieruję się intuicją i wyczuciem. Istnieją aktorzy, których lubię mniej lub bardziej, ale to wcale nie jest jednoznaczne z oceną ich umiejętności warsztatowych. Dla mnie najistotniejszy jest moment możliwości porozumienia. Szalenie cenię sobie wyraziste aktorstwo, wręcz ekshibicjonistyczne. Lubię aktorów otwartych szczerych, o żywiołowym temperamencie, którzy nie wstydzą się siebie i grają na wewnętrznym rozedrganiu. Z aktorami preferującymi grę intelektualną, ludźmi zamkniętymi trudno mi się dogadać. Mówiąc bardziej obrazowo: Jeżeli w życiu prywatnym ujawniają się różnice zdań wobec takich zagadnień jak: co to jest miłość, złość, nienawiść, żart — to wiem, że porozumienie czysto zawodowe będzie podlegało załamaniom. Taka współpraca będzie zawsze owocem kompromisu. Natomiast z ludźmi, z którymi nawet nie współpracowałam, ale wiem, że pewne sytuacje przeżywają w sposób zbliżony do mojego odczuwania, to my się zawsze dogadamy. Będziemy rozmawiali ze sobą na tych samych falach i w tym samym nastroju, wzbogacając siebie wzajemnie.

— Jakie ma pani plany na przyszłość?

— Chciałabym zrobić teatr z Michałem Bajorem i Joanną Szczepkowską, ale zbyt wcześnie o tym mówić. W zasadzie wszystkie moje zamierzenia są odległe i niepewne.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Stare i nowe

Żyjemy w czasach, w których na każdym nieomal kroku ściera się stare z nowym — stary porządek, przyzwyczajenia, nawyki stanowiące bariery dla wszelkiego nowatorstwa i prób odnalezienia się w nowych warunkach. Oto przykład, który jedynie z pozoru zakrawa na kpinę.

Pod koniec lutego, dyrekcja Teatru Powszechnego w Łodzi zwróciła się do kilku znaczących instytucji i osób, prosząc o przyjście z pomocą w „...uzyskaniu zgody... na rozklejanie w naszym mieście własnych teatralnych plakatów i afiszy. Rozklejanie to dotyczyłoby jedynie miejsc do tego wytypowanych. Podjęcie się rozklejania własnych plakatów i afiszy związane jest z faktem — czytamy — tragicznej sytuacji finansowej grożącej wręcz poważnym ograniczeniem działalności teatru. Dodatkowo należy nadmienić, iż wytypowane Uchwałą Rady Narodowej studenckie spółdzielnie są w tej sytuacji monopolistami, a zatem stoi to w sprzeczności z Ustawą o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym w gospodarce narodowej. Dyktują one ceny usług, które nie sposób zaakceptować...".

Jak się więc okazuje, zwyczajne i oczywiste sprawy wcale nie są takie oczywiste w praktyce. Na szczęście, mimo barier, bądź utrudnień wynikających już z uciążliwości dnia codziennego, coraz częściej spotkać można przedsięwzięcia odważne, nowatorskie. I nie tylko. Oto ukazało się na łódzkim rynku czytelniczym niezwykle interesujące i bardzo cenne wydawnictwo pt. „Oko i Ucho", poświęcone problemom sztuk wizualnych i słuchowych. Wydane na świetnym papierze, w doskonałej szacie graficznej zawiera godne polecenia publikacje, że wymienimy: **Urszuli Czartoryskiej** nt. plastyki, filmu i pisarstwa **Stefana Themersona** (wybitnego polskiego twórcy, zmarłego niedawno w Londynie); **Ryszarda W. Kluszczyńskiego** — o awangardzie filmowej w Polsce lat 70. i 80.; **Jolanty Ciesielskiej** nt. wideoperformance; **Piotra Rypsona** o poezji wizualnej; **Marii Wójcickiej** nt. tańca i nowych mediów, czy wreszcie interesujący szkic **Larsa Nittve** „Implozja — perspektywa postmodernistyczna" oraz inne znaczące publikacje i informacje.

„W każdym z numerów „O i U" — czytamy we wstępie Rady Programowej (**Grzegorz Sztabiński** — przewodniczący oraz **Urszula Czartoryska, Wiesław Karolak, Tadeusz Pawłowski, Krystyna Potocka-Suwalska i Józef Robakowski**) — wyodrębnione będą trzy działy. Pierwszy będzie zawierał teksty problemowe podejmujące aktualne zagadnienia sztuki albo omawiające twórczość któregoś z artystów istotnych dla współczesności... W drugim dziale prezentowany będzie twórca współczesny. Trzeci — obejmie kronikę wydarzeń artystycznych...".

Wydawcą tego cennego pisma jest Centrum Informacji Kulturalnej, przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki UM Łodzi, a pierwszy numer ukazał się dzięki pomocy finansowej pp. **Jana Cyrankiewicza i Michała Kropidłowskiego.**

Gorąco polecamy to nowatorskie i ciekawe pismo.

MAREK BRUK

Karol

(1891

Należał z pewnością do najwybitniejszych łodzian okresu międzywojennego. 50 lat temu, 7 grudnia 1939 roku rozstrzelany został w lasach lućmierskich k. Łodzi, w jednej z pierwszych masowych egzekucji, popełnionych przez hitlerowców na mieszkańcach naszego miasta. Miał wtedy 48 lat. Dziś, w półwiecze jego śmierci warto przypomnieć sylwetkę i dokonania tego wybitnego artysty, społecznika, człowieka, który w kulturze Łodzi odcisnął wyraziste ślad.

Urodził się **Karol Hiller** w 1891 roku, w spolszczonej rodzinie niemieckich tkaczy. Otrzymał bardzo staranne wykształcenie. W rodzinnym mieście, w latach 1903—1910 ukończył Szkołę Rękodzielniczo-Przemysłową, a następnie studiował chemię w Wyższej Szkole Technicznej w Darmstadt. Był również słuchaczem Wydziału Inżynieryjno-Technicznego (kierunek architektura) Instytutu Politechnicznego w Warszawie.

Kiedy wybuchła I wojna światowa ewakuowany został do Moskwy. Wcielony do wojska, w 1916 roku znalazł się w Kijowie i tam rozpoczął studia w Ukraińskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyrektorem tej uczelni był wówczas **Michał Bojczuk** — malarz-bizantynista, uczeń **L. Wyczółkowskiego.** Od niego nauczył się K. Hiller tajemnic wielu starych technik malarskich.

Do rodzinnego miasta powrócił w 1921 roku. Zafascynowany rewolucyjnymi ideami, z którymi zetknął się podczas kilkuletniego pobytu w Rosji próbował znaleźć tutaj ludzi o podobnych przekonaniach i poglądach. Nawiązał bliższe kontakty z **Witoldem Wandurskim,** lewicowym poetą, który przybył do Łodzi po kilku latach pobytu w Rosji.

Hillera i Wandurskiego łączyło wiele, bowiem szczególnym zbiegiem okoliczności obaj doznali podobnych przeżyć i doświadczeń. Obaj też byli rodowitymi łodzianinami. Tutaj, w tym mieście o nieciekawej przeszłości i niezwykle ostrych kontrastach społecznych, narodowościowych, religijnych spędzili dzieciństwo i wczesną młodość. I tak jak wielu twórców z początków naszego stulecia, oni także ulegli sile jego sugestii postanawiając stworzyć w centrum polskiego włókiennictwa literacko-artystyczny ośrodek o znaczeniu ponadregionalnym.

No początku lat dwudziestych rozpoczyna się fascynujący i niezwykły etap ich wspólnej pracy artystycznej, służącej zaszczepieniu w tutejszym środowisku zasad nowoczesnej sztuki i estetyki. Obaj artyści zainaugurowali tę działalność w 1922 roku cyklem artykułów pt. **„Sztuki plastyczne w Łodzi"**, opublikowanych w dzienniku **„Głos Polski"**. Próbowali w nich pokazać łódzkim twórcom nowy, niezwykły temat. Była nim Łódź, ich rodzinne miasto, jedyny w swoim rodzaju krajobraz wielkiego ośrodka przemysłowego.

W serii wspomnianych artykułów Wandurski i Hiller zwracając się do miejscowych twórców pytali: „Czy Łódź, typowo nowoczesne miasto wytężonej pracy nie posiada w swej ponurej, okrzyczanej brzydocie odrębnych cech prawdziwego piękna, przeoczonego przez artystów starej szkoły? I odpowiadali: „Łódź czeka na swego Kolumba". W jednym z artykułów stwierdzali wręcz: „Nie bójmy się słów straszaków... Łódź jest miastem klasycznie kubistycznym. Nic nie buduje się w Łodzi dla piękna, tylko dla pożytku...".

Tutaj, w tym wielkim centrum polskiego przemysłu włókienniczego można było znaleźć tak znaczące i charakterystyczne dla nowej sztuki tematy, jak: fabryka, maszyna, praca, ruch, dynamika, mechanizacja. Elementy te znalazły swoje odbicie w pracach K. Hillera — linorytach o tematyce związanej z Łodzią (**„Zmarła fabryka", „Zaułek fabryczny", „Kreślarz", „Fabryka"**). Ukazują one w syntetycznej formie pracę łódzkiego robotnika i łódzki pejzaż.

Plonem wspólnych wycieczek po mieście W. Wandurskiego i K. Hillera stał się wydany w 1926 r. tomik poezji **„Sadze i złoto"**. W tym też okresie obaj artyści włączyli się do sporów i dyskusji o model teatru adresowanego do robotniczego widza, nawiązując współpracę z działającą w Łodzi Sceną Robotniczą. Tam właśnie odbyły się prapremiery głośnych sztuk Wandurskiego, **„Śmierci na gruszy"** i **„Gry o Heredzie"**. Scenografię do tych i wielu innych spektakli łódzkiej Sceny Robotniczej projektował K. Hiller. Twórczość artystyczna nie zapewniała jednak artyście niezbędnych środków do życia. Podjął więc w tym czasie pracę jako nauczyciel rysunków i robót ręcznych w Społecznym Polskim Gimnazjum Męskim w Łodzi (dzisiejsze VIII LO im. A. Asnyka). Uprawiał również grafikę użytkową, projektując okładki do książek i współpracując z łódzkimi wydawnictwami L. Fiszera i Renaissance. Był też autorem projektu wystroju wnętrz znanych, przedwojennych kawiarni — **„Grand Cafe"**, **„Tabarin"**, **„Ziemiańska"**. Tworzył także ekslibrisy, które zyskały duże uznanie wśród miłośników książki w kraju i za granicą — m.in. na międzynarodowej wystawie w Los Angeles w 1926 r. Przecław Smolik, znany łódzki bibliofil tak o nich pisał: „Demonstrują one jak najlepsze rozwiązania tych zadań, jakie nakłada na artystę-grafika sztuka książki w ogólności, a znak biblioteczny — w szczególności".

Nie zaniedbywał oczywiście Hiller malarstwa. Powstałe w tym czasie obrazy — to najczęściej kompozycje symboliczne, z tendencją sprowadzania postaci ludzkich do form geometrycznych. Doszukać się w nich można śladów jego młodzieńczych zainteresowań sztuką Bliskiego Wschodu. Pod koniec lat dwudziestych zaczął malować Hiller kompozycje abstrakcyjne, oparte na formach biologicznych. Obrazy te nie przyniosły mu jednak ani sławy, ani pieniędzy. Może właśnie dlatego nie ustawał w swojej społecznikowskiej pasji — popularyzacji nowej sztuki wśród łódzkiego proletariatu. W 1926 r. z inicjatywy Hillera powstało w Łodzi Stowarzyszenie Miłośników Sztuk Plastycznych „Start". Zorganizowana przez to Stowarzyszenie w 1928 r. pierwsza wystawa prac artystów nowej sztuki wzbudziła nie spotykane dotąd zainteresowanie szerokich kręgów społeczeństwa.

Interesował się grafiką. Jego wcześniejsze studia chemiczne przyczyniły się do wynalezienia nowej techniki graficznej — heliografiki, łączącej w sobie elementy grafiki i fotografii. Jak wielkim był w tej dziedzinie nowatorem, świadczy fakt, że technika ta stała się powszechną dopiero w latach pięćdziesiątych naszego wieku.

Przełom lat dwudziestych i trzydziestych — to dla Łodzi niezwykle ważny okres w dziejach jej kulturalnego rozwoju. Gwałtownie i nieoczekiwanie miasto to nazywane dotąd „pustynią kulturalną" i „złym miastem" stało się jednym z najważniejszych w kraju ośrodków artystycznej awangardy. Miało to ścisły związek z powstaniem i działalnością w Łodzi grupy literacko-artystycznej „a.r.". Z ugrupowaniem tym związany był również Karol Hiller. Najtrwalszymi wartościami, najlepiej świadczącymi o znaczeniu tego ugrupowania dla kultury polskiej są: międzynarodowa kolekcja sztuki nowoczesnej oraz biblioteka „a.r.".

Prace związane z powstaniem tej kolekcji w Łodzi zostały sfinalizowane w lutym 1931 r., kiedy to podpisana została odpowiednia umowa między Zarządem Miejskim w Łodzi a grupą „a.r.". Tak więc już na początku lat trzydziestych w łódzkiej kolekcji znalazły się prace naj-

PESTKI DYNI

We Francji i Stanach Zjednoczonych ukazała się biografia **„Picasso createur et destructeur" Arianny Stassinopulos-Huffington"** — „pięćset stron żółci". Arianna kreśli postać Picassa jako niszczyciela, człowieka ponurego, prześladowanego lękiem przed śmiercią, przykrego i pełnego pogardy dla otoczenia. Okrutnego i nieuczciwego wobec najbliższych. Sadystę, paranoika i obsesjonata w stosunku do kobiet. „To był zły człowiek. Tak jak Malraux czy Sartre, czy Picasso to sejsmograf XX wieku. Nie będzie jednak nieśmiertelny jak Mozart czy Szekspir. Przyszłość oceni go jako zjawisko interesujące dla archeologów. To wszystko".

Przypomina mi się książka **Evy C. Keuls: „The Reign of the Phallus".**

Uważa się Ateny Peryklesa za kolebkę tego, co najbardziej godne zachwytu w cywilizacji Zachodu: sztuki i architektury, tragedii i filozofii, triumfu męstwa małej demokracji nad potężną wschodnią tyranią... Eva C. Keuls ze swej strony widzi sprawy całkiem odmiennie.

Ateny są dla niej symbolem despotycznego prawa fallokratów, opętanych przez libido i bezlitośnie eksploatowanych niewolników obu płci. Mają oni w pogardzie swe własne żony i nie okazują im nawet minimum tych względów, jakimi darzą swe kochanki, hetery. Jak twierdzi prof. Eva Keuls pomiędzy sposobem, w jakim fallokraci ateńscy wykorzystują niemiłosiernie młodych chłopców, niewolników i kobiety oraz brutalnym traktowaniem przez nich innych miast-państw greckich istnieje logiczny związek. Upojeni własną siłą i w konsekwencji wyznawanymi przez siebie wartościami, owładnięci imperialistyczną agresywnością, mieli ateńscy fallokraci dokonać przede wszystkim zbrodni świadomego ludobójstwa na bezbronnych mieszkańcach wyspy Melos (Milo), a następnie doprowadzić do upadku same Ateny, angażując się w niedorzeczną i bezmyślną, fatalną w skutkach wyprawę sycylijską. Na poparcie swych tez załącza autorka aż 345 ilustracji, na większości których widzimy wizerunki fallusa w stanie erekcji.

Miss Eva Keuls posuwa się jeszcze dalej: Zeus jest w jej oczach władcą — gwałcicielem, świątynie greckie czymś w rodzaju kobiecych vaginae, otoczonych fallusami kolumn. Ba, nawet kiesa pełna pieniędzy staje się dla niej ekonomicznym fallusem, opłacanie zaś pieniędzmi względów kobiet gwałtem z pomocą pieniądza.

Pani profesor pała nienawiścią do Ateń, cieszy ją zwycięstwo Sparty nad nimi w 404 r. p.n.e. i w związku z tym wydarzeniem stwierdza sardonicznie: „Geniusz attycki postradał był swego penisa".

Arianna pisze o zbrodniach Picassa: „Olga, jego pierwsza żona, umarła w obłędzie. Dora Maar, jego kochanka, popadła w głęboką depresję, Jacqueline, jego druga żona, popełnia samobójstwo, tak samo jego wnuk, a Marie-Therese Walter, jego długoletnia faworyta, powiesiła się..."

Eva Keuls interpretuje kulturę grecką w kategoriach wyłącznie fallicznych; penis w stanie erekcji jest dla niej symbolem wszystkiego, co pochodzi z Aten...

Porównać można obie książki...

Porównać można także obie panie...

ANDRZEJ GRUN

P.S. Można w ogóle nic z niczym nie porównywać, a obie książki po prostu przeczytać. (Korzystałem: „PRZEKRÓJ" nr 2397 i „LITERATURA" nr 64'88).

40 lat minęło...

JANUSZ JANYST

...jak jeden dzień od założenia łódzkiej **Orkiestry PR i TV**, nazywanej na ogół po prostu orkiestrą **Henryka Debicha**. Planowany na grudzień jubileuszowy koncert w Teatrze Wielkim, niestety, nie doszedł do skutku, gdyż na przeszkodzie stanęły za wysokie koszty. W tej sytuacji zastępczą rolę jubileuszu spełnić musiał poranek zorganizowany w niedzielę, 25 lutego, w Sali Lustrzanej Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Sala nie jest zbyt duża, dlatego też orkiestra nie mogła nawet wystąpić w pełnym składzie. A stanowi ona dziś przecież rozbudowaną formację, złożoną — poza grupami instrumentów smyczkowych i dętych — ze sporej sekcji perkusyjnej, sekcji gitar oraz instrumentów elektronicznych, z komputerowymi włącznie. Czy mamy tu do czynienia wyłącznie z zespołem rozrywkowym? Oczywiście — nie, bowiem w repertuarze nagraniowym i koncertowym znajduje się wiele arii operowych, operetkowych i musicalowych. Są też miniatury symfoniczne z epoki romantyzmu i klasycyzmu, a nawet kompozycje barokowe. Niedawno nagrana została seria najnowszych utworów **Henryka Czyża**, który — jak powiedział mi Henryk Debich: „jest niemal naszym etatowym kompozytorem".

Obchodzący również swój własny jubileusz 40-lecia pracy z radiową orkiestrą jej współzałożyciel i dyrygent dodał zarazem, że problem sali nadającej się na występy jest tak samo palący, jak w wypadku filharmoników czy orkiestrantów z „Odeonu". W tej chwili Orkiestra PR i TV nie ma gdzie grać i nie jest w pełni wykorzystana. W trybie pilnym przydaliby się sponsor i manager z prawdziwego zdarzenia. Tak, aby po 40 latach — stwierdził z żalem mój rozmówca — muzycy nie musieli już pracować na dodatkowych posadach, ledwo „dociągając" do pierwszego...

Niewesołe to, jak na taką okazję, refleksje, przeto powróćmy do wspomnianego poranku. Był urozmaicony. W programie przewidziano przede wszystkim efektowne arie i pieśni w wykonaniu współpracujących stale z zespołem solistów operowych. Sopranistka **Roma Owsińska** śpiewała arie z **„Traviaty"** i **„Lombardczyków"**, kontratenor sopranowy **Dariusz Paradowski** odtworzył Largo z **„Xerxesa"**. Tenor **Bogusław Morka** wybrał fragmenty z **„L'Arlesiany"**, **„Napoju miłosnego"** i **„Traviaty"** (ostatni tytuł odnosi się do wykonanej z blaskiem z R. Owsińską pieśni toastowej z I aktu). Baryton **Zbigniew Macias** interpretował **„Pieśń hebrajską" Ravela** oraz piosenki ze **„Skrzypka na dachu"** i **„Południowego Pacyfiku"**. Wszyscy śpiewacy zaprezentowali znakomitą formę wokalną. Podobały się również, włączone do programu kompozycje instrumentalne, niejednokrotnie opracowane zresztą aranżacyjnie przez H. Debicha: **„Humoreska" Dworzaka, Walc A-dur Brahmsa, Pieśń polska Wieniawskiego** (tu solistką była uzdolniona młoda skrzypaczka, uczennica podstawowej szkoły muzycznej — **Beata Dziekańska**), ponadto — wyjątek z **Suity staropolskiej Panufnika, „Canzona romantica" Czyża** (solo fortepianowe: **Mariusz Debich**) i... **„Yesterday" Beatlesów**. W tym jakże obszernym koncercie tylko jeden punkt programu wypadł wyraźnie słabiej, jeśli idzie o orkiestrową precyzję — **Allegro z concerto grosso „Alexanderfest" Haendla**. Ale jeden punkt programu to w sumie niewiele.

Architekt słowa i dźwięku

MARIOLA KNAGA

Któż z nas nie zna piosenek **Marka Grechuty**, słuchamy ich z płyt, pamiętamy ich wykonawcę z telewizyjnych recitali czy licznych występów na krajowych scenach muzycznych (chociaż ostatnio jakby mniej o nim słychać), tak się jakoś dziwnie do tej pory składało, że trasy jego artystycznych wędrówek zawsze omijały Łódź głębokim zakolem. Nie dziwi przeto ogromne zainteresowanie zorganizowanym ad hoc w Teatrze Nowym koncertem tego wykonawcy, przygotowanym w tempie iście ekspresowym. Sprawa organizacji przedstawia się dość nieprawdopodobnie, spoczęła bowiem w rękach nie jakiejś dochodowej spółki czy zacnej instytucji, ale jednego człowieka. Tym rzutkim menażerem okazał się łodzianin, **Sławomir Bednarek**, który w ciągu zaledwie kilku dni, debiutując w tej roli, uzyskał w UMŁ koncesję na zorganizowanie koncertu, wynajął salę i, co najważniejsze, dogadał się z artystą, który przyjechał do Łodzi w zupełnie innym celu. Marek Grechuta nagrywa bowiem w Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym z udziałem łódzkich aktorów swój najnowszy recital — **„Krajobraz pełen nadziei"**, którego emisja przewidziana jest najprawdopodobniej w okresie Świąt Wielkanocnych, i to był główny powód jego przyjazdu do naszego miasta. Organizator koncertu Marka Grechuty bezbłędnie wyczuł koniunkturę i chyba finansowo nie stracił, gdyż publiczność wypełniła widownię Teatru Nowego tak szczelnie, że przysłowiowej szpilki nie dałoby się wsadzić.

Marek Grechuta ma swoją wierną publiczność, ku memu zaskoczeniu nawet bardzo młodą, gdyż taka właśnie przeważała na łódzkim koncercie. Wokół jego postaci narosła już pewna legenda. Zalicza się on do panteonu sław związanych z krakowskim środowiskiem artystycznym i cała jego twórczość tkwi korzeniami głęboko w klimacie tego historycznego miasta, miasta, które wydało **Stanisława Wyspiańskiego i St. Przybyszewskiego, Piotra Skrzyneckiego i Wiesława Dymnego, Ewę Demarczyk i Zbigniewa Seiferta**. Takie dziedzictwo zobowiązuje, nawet gdy się jest z urodzenia zamościaninem, a z zawodu architektem, tak jak w przypadku Grechuty. Poetycki duch **„Piwnicy pod Baranami"** czy **„Teatru STU"** jest wszechobecny w utworach nagranych i wydanych na dziesięciu już płytach długogrających artysty, takich jak **„Marek Grechuta, Anawa"**, **„Korowód"**, **„Droga za widnokres"**, **„Magia obłoków"**, **„Szalona lokomotywa"**, **„Wiosna, ach to ty"**, że ograniczę się do tych najważniejszych.

Swój łódzki recital poeta, kompozytor i wykonawca w jednej osobie, rozpoczął od zaprezentowania fragmentów najnowszej płyty pt. „Krajobraz pełen nadziei", która niebawem u że się na rynku. Następnie wykonał trzy piosenki z autorskiego programu **„Sztandary"**, inspirowanego twórczością plastyczną **Władysława Hasiora**. Nie zawiódł też oczekiwań publiczności która, sądząc z reakcji, czekała przede wszystkim na te najstarsze, liryczno-filozoficzne piosenki krakowskiego twórcy: **„Będziesz moją panią"**, **„Niepewność"** (do słów liryku Adama Mickiewicza), **„Ocalić od zapomnienia"**, **„Dzikie wino"**, **„Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy"**, czy zaśpiewaną na bis **„Świecie nasz"**.

Charyzma tego utalentowanego wykonawcy pozwoliła też przymknąć oko (a może raczej ucho) na pewne niedostatki zorganizowanego pośpiesznie koncertu. Najpoważniejszym mankamentem był brak zespołu akompaniującego, a więc występ z tzw. półplaybacku, co wydatnie obniżyło jakość dźwięku. Z kolei utwory, w których Grechuta akompaniował sobie jedynie na fortepianie, brzmiały dość ubogo harmonicznie i bardzo przydałaby się im aranżacja, taka jak na płytowych oryginałach. Cóż, widać w kryzysie jesteśmy skazani na „teatry jednego aktora" i „ludzi-orkiestry".

Hiller

— 1939)

wybitniejszych twórców światowej awangardy jak: **Jean Arpe, Pablo Picasso, Fernand Leger, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Leon Chwistek, Tytus Czyżewski**. Łódzkie środowisko plastyczne reprezentowały w niej prace **K. Kobro, W. Strzemińskiego** oraz **K. Hillera**.

Zofia Baranowicz w publikacji pt. **„Polska awangarda artystyczna 1918—1939"** tak pisze o fakcie zorganizowania kolekcji w naszym mieście: „Należy podziwiać odwagę i dalekowzroczność ówczesnych władz miejskich w Łodzi. To kapitalistyczno-robotnicze zbiorowisko miejskiej biedoty i garstki fabrykantów... nazywane było w całym kraju „złym miastem". I właśnie to miasto stało się siedzibą kolekcji sztuki najbardziej intelektualnej w owym czasie, uznanej wtedy za awangardową".

W 1933 roku przeprowadzona została weryfikacja w szeregach łódzkich plastyków. Z inicjatywy Hillera powstał wówczas **Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków**, pod egidą którego zaczęło się ukazywać czasopismo **„Forma"**. W tym znakomicie redagowanym piśmie przez sześć lat, tj. do wybuchu wojny ukazywały się artykuły upowszechniające nową sztukę. Karol Hiller był przez pewien czas redaktorem naczelnym tego pisma. Zamieszczał też tam własne esesje i artykuły o sztuce np. **„Malarstwo nowoczesne wobec epigonizmu" czy „Heliografika jako nowy rodzaj techniki graficznej"** i inne.

Działalność społeczna — obok pracy artystycznej — pochłaniała Hillera właściwie przez całe życie. Jego mieszkanie przy ul. Srebrzyńskiej było miejscem spotkań lewicowych działaczy łódzkich, twórców kultury, młodzieży. Był też Karol Hiller członkiem Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, organizacji, na której czele stał w latach 1936—1937 **płk dr Antoni S. Więckowski**, założyciel SD. Nic więc dziwnego, że kiedy w końcu 1937 r. odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie Klubu Demokratycznego Hiller znalazł się wśród jego członków.

Nie zaniedbywał jednak pracy artystycznej. W styczniu 1938 r. z inicjatywy Muzeum Historii i Sztuki im. J. K. Bartoszewiczów odbyła się duża wystawa jego prac w Warszawie.

Wybuch wojny i pierwsze dni okupacji hitlerowskiej stanowiły zapowiedź późniejszych, tragicznych losów wielu łodzian. 9 listopada 1939 r. miasto włączone zostało do tzw. Kraju Warty. Zaczęły się masowe aresztowania, zwiększył się terror okupanta. Jako jeden z pierwszych łodzian otrzymał Hiller wezwanie do stawienia się w gestapo. Okupantowi dobrze znana była zarówno jego awangardowa twórczość, jak i lewicowe poglądy oraz działalność społeczna. Podczas przesłuchania przedstawiono mu więc te zarzuty jasno i bez niedomówień. Jako Polakowi legitymującemu się niemieckim pochodzeniem stworzono mu jednak szansę na przetrwanie proponując podpisanie volkslisty. Hiller odmawia — i ta decyzja ostatecznie przesądza o jego dalszych losach. 7 grudnia 1939 r. wraz z pierwszym transportem łódzkiej inteligencji wywieziony został w lasy lućmierskie i tam rozstrzelany. Nie pozostała po nim nawet mogiła. W 1946 r. Miejska Rada Narodowa przyznała Karolowi Hillerowi pośmiertnie nagrodę plastyczną miasta Łodzi. O fakcie tym Marian Minich, ówczesny dyrektor Muzeum Sztuki pisał na łamach łódzkiej prasy: „Za późno, o wiele lat za późno przyznana została nagroda m. Łodzi człowiekowi, który w życiu naszego miasta odegrał wybitną rolę jako artysta i jako szermierz idei socjalistycznych, o najwyższych kwalifikacjach moralnych". Potem, na długie lata pamięć o Karolu Hillerze w łódzkim środowisku przycichła.

W 1967 r. Muzeum Sztuki w Łodzi urządziło pośmiertną wystawę prac artysty. Dzieła jego są obecnie eksponowane na stałej wystawie malarstwa XX wieku. Wielokrotnie też reprezentowały polską awangardę artystyczną na wystawach sztuki nowoczesnej w Europie, a także w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Nieuchronny upływ czasu zaciera jednak ślady działalności tego wybitnego artysty i społecznika — i mieszkańcom Łodzi stosunkowo mało znana jest ta postać. Trudno się zresztą nawet temu dziwić, skoro w jego rodzinnym mieście nie ma nawet ulicy jego imienia. Również żadna ze szkół, ani placówek kulturalno-oświatowych nie obrała go sobie za patrona, brak także najskromniejszej choćby tablicy na budynku przy ulicy Srebrzyńskiej 93, gdzie artysta mieszkał do wybuchu wojny.

Dziś, gdy mija 50 lat od jego śmierci, nie można się oprzeć refleksji, że dług pamięci wobec Karola Hillera — wybitnego artysty — społecznika i nieprzeciętnego człowieka nie został jeszcze w pełni spłacony.

BOŻENNA KRZEMIŃSKA

Kronika

W Muzeum Historii Miasta Łodzi 9 bm. otwarta została ciekawa wystawa fotograficzna pn. „Zginęli w Katyniu". Część prezentowanych eksponatów pochodzi ze zbiorów zgromadzonych przez Muzeum Historii Fotografii w Krakowie. Ta niezwykle wzruszająca ekspozycja, która zdobyła już duży rozgłos w kraju, czynna będzie do końca marca br. ► Ożywioną działalność rozwija w Łodzi Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Izraelskiej, stawiające sobie za cel pogłębianie więzów między oboma tak ciężko doświadczonymi przez ostatnią wojnę narodami. W tych dniach ukonstytuowały się władze tego towarzystwa. Prezesem został adw. Janusz Rusiniak, wiceprezesem — mgr Ryszard Podlatowski, sekretarzem — mgr Barbara Skierniewska. Tymczasowa siedziba towarzystwa mieści się przy ul. Buczka 18 (tel. 78-81-00, wew. 91). W każdą środę (w godz. 16—18) pełnią tam dyżury członkowie zarządu TPPI. ► W Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina, która otwarta zostanie w Muzeum Historii Miasta Łodzi 20 kwietnia br., eksponowanych będzie w trzech salach ok. 2000 pamiątek po wybitnym artyście. Wśród nich znajdzie się odlew dłoni Mistrza, wykonany w 1950 r. Większość eksponatów stanowić będą dary przekazane muzeum przez żonę artysty — Anielę Młynarską-Rubinstein. ► Łódzki Teatr Wielki został zaproszony na festiwal twórczości dramaturgicznej Sławomira Mrożka, który odbędzie się w drugiej połowie czerwca w Krakowie. Pokaże na nim „Kynologa w rozterce", zrealizowanego na scenie kameralnej przez Henryka Czyża. ► Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi wzbogaciło się o nowe bardzo cenne eksponaty numizmatyczne, które otrzymało w darze od British Museum. Są to m.in.: półgrosz Henryka VII, grosz Henryka VIII i moneta szkocka — tzw. ćwierć-merka — Jakuba VI. Wszystkie te monety wybite są w srebrze. ► Kolejny wieczór z cyklu „Sagi łódzkie", któremu patronuje TPŁ, odbył się 12 bm. w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Poświęcony był on tym razem wybitnym postaciom łódzkiej medycyny: Jonscherowi, Sterlingowi, Popławskiemu, Tomaszewiczowi, Trenkerowi — w kontekście bogatej, a mało znanej historii łódzkiego lecznictwa. ► Ukazał się pierwszy numer tygodnika Konfederacji Polski Niepodległej „Opinia". Otwiera go artykuł wstępny Leszka Moczulskiego. Nakład tego nowego czasopisma wynosi 22,5 tys. egzemplarzy, cena zaś 1200 zł. ► Nakładem Przedsiębiorstwa Wydawniczo-Usługowego „Bałtyk" w Koszalinie ukazało się Pismo Nieobyczajne — „Sex Specyalik". Mamy więc już dla panów — za 2900 zł — polskiego „Penthause'a", choć od poziomu skandalizującego, zachodniego magazynu bardzo daleko odbiega. ► W Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego odbyła się 3 bm. III Giełda Wydawnictw Niezależnych. ► W dniach od 15 do 17 lutego br. w Muzeum Sztuki w Łodzi, odbyły się eliminacje okręgowe XIV Olimpiady Artystycznej (Sekcja Plastyki). Wzięła w nich udział młodzież szkół licealnych okręgu łódzkiego. W pracach pisemnych i wypowiedziach ustnych uczniowie wykazali wysoki poziom wiedzy z historii sztuki. Do eliminacji ogólnopolskich w Warszawie zakwalifikowali się: Ewa Górniak (I LO im. M. Kopernika) — I miejsce, Katarzyna Wesołowska (IV LO im. E. Szczanieckiej) — III miejsce oraz wyróżnione: Aleksandra Pilarz (III LO im. T. Kościuszki), Olga Podfilipska (I LO), Aleksandra Walczak (IV LO), Agata Wąsowska (IV LO), Katarzyna Michalak (IV LO).

Opracował: JAK

Galeria pisarzy

KAZIMIERZ ARENDT

Rys. Sławomir Arabski

Jest i taka wśród wielu różnych sił politycznych...

Tylko w koalicji ze społeczeństwem

Rozmowa z JERZYM PIANKO — rzecznikiem zarządu Rzeczypospolitej Partii.

— Nazwa „Rzeczpospolita Partia" jest — przyzna pan — odbiegająca od stylistyki nazw powstających partii, a jednocześnie bardzo nawiązująca do nazwy państwa.

— „Rzeczpospolita" — wskazuje na związek z polską państwowością i ogólną dostępnością. Rzeczpospolita Partia to partia dostępna dla wszystkich. Jesteśmy partią centrową, nie nawiązujemy do jakiejkolwiek tradycji historycznej, bo jesteśmy przekonani, że myślenie o przyszłości jest teraz jedyną szansą dla Polski. Korzeni partii należy doszukiwać się gdzieś w komitetach domowych i osiedlowych. Rokiem, który uznajemy za jej początek, jest 1978. Powstał wtedy zarząd liczący 20 osób i każdy z tej dwudziestki „werbował" kolejną dwudziestkę, następne dwudziestki — następne osoby i tak dalej. Dzisiaj — na razie — trudno jest określić liczbę naszych członków. Partia nie jest ideologiczna!!!

— ?!

— Każda ideologia oparta jest na jakiejś filozoficznej nauce, natomiast każda filozofia jest fantazją a my nie opieramy się na żadnej z filozoficznych nauk. Mamy natomiast program gospodarczy i polityczny. Najpierw o tym drugim. Przez kilkadziesiąt lat — załóżmy 45 — była w Polsce próżnia polityczna, bo nie można traktować byłej PZPR i jej satelickich partii jako przejawu życia politycznego. Nasze działania chcą zmierzać do pomocy w tworzeniu stabilizacji politycznej do której jest tylko jedna droga — kilka partii mających swobodny dostęp do środków masowego przekazu, a to po to, żeby społeczeństwo mogło wybierać spośród nich najlepsze.

— Czy to znaczy, że nie ma jeszcze w Polsce pluralizmu politycznego?

— Oczywiście!!! Przy wyborach do parlamentu mogliśmy wybierać — to dopiero dziś się okazuje — między diabłem a antychrystem. Wybory do samorządu mogą powtórzyć tę sytuację.

— A teraz o programie gospodarczym.

— Społeczeństwo powinno wypowiedzieć się na temat modelu państwa, bo nie może o tym decydować mała grupa ludzi zwana rządem. My widzimy Polskę jako państwo kapitalistyczno-socjalistyczne. I tylko w takim państwie może powstać zdrowa konkurencja. Większość państw wysoko uprzemysłowionych jest w rzeczywistości socjalistyczna, bowiem tak naprawdę rządzi w nich silnie rozwinięta klasa robotnicza, która jest głównym wytwórcą dóbr materialnych.

Bardzo ważnym elementem naszego programu gospodarczego jest niedopuszczenie do prywatyzacji przemysłu. Należy dążyć do zmiany ludzkiej mentalności na taką, która będzie obligować do dobrej pracy. Natomiast rolę „kapitalisty", który ma do Polski przyjść i wymuszać dobrą pracę za dobre pieniądze powinno spełniać państwo. Jedyną, dopuszczalną przez nas, inną niż państwowa formą własności są spółki i spółdzielnie, ale o wszelkiego rodzaju tego typu zmianach w istniejących już zakładach powinny decydować ich załogi.

— A jaką widzicie możliwość uregulowania wszystkich spraw związanych z polskim zadłużeniem?

— W tej chwili opowiadanie społeczeństwu o długach jest straszeniem Babą Jagą, bo Polskę stać na to, aby spłacić je w ciągu roku. Jak to zrobić? Powiemy dopiero wtedy, kiedy zostaniemy dopuszczeni do ogólnopolskiej TV i tam będziemy mogli przedstawić cały nasz program gospodarczy i polityczny.

— Wróćmy na chwilę do programu politycznego. Proszę o kilka słów na temat polityki zagranicznej i ściśle z nią związanej kwestii zjednoczenia Niemiec.

— Uważamy, że polityka zagraniczna jest już ustabilizowana, natomiast zjednoczenie Niemiec jest ich problemem i nie widzę dla nas zagrożenia. Jedyne możliwe sojusze, to współpraca gospodarcza. My, Polacy, „skazani" jesteśmy na przyjaźń z ościennymi państwami.

— Wkrótce wybory do samorządów lokalnych...

— W tych wyborach nie będziemy brać udziału — jeszcze! Poza tym, trzeba pamiętać, że wybierani będą ci, którzy chcą dobra Polski i dlatego mnie jest teraz istotne, czy będzie to ktoś z lewej czy prawej strony.

— W takim razie, w przyszłości, z kim możecie wejść w koalicję, a kogo będziecie zwalczać?

— Nie mamy zamiaru walczyć z jakąkolwiek partią czy ugrupowaniem. Nie jesteśmy także od tego, aby zajmować się ocenami innych programów od tego jest społeczeństwo. Natomiast koalicję chcemy tworzyć jedynie ze społeczeństwem.

Rozmawiał:
BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Po 22 latach ponownie w Polsce i w Łodzi

Wrota Polski były przede mną zatrzaśnięte

Rozmowa z JÓZEFEM LEBENBAUMEM, światowym koordynatorem Conference of Solidarity Support Organizations.

W roku 1968 usunięto cię z pracy w prasie i ogłoszono banitą bez ojczyzny, a nawet niebezpiecznym „wrogiem ludu". W jakim nastroju opuszczałeś wtedy Łódź i kraj?

— To była tragedia i nie skończyła się ona po przekroczeniu granicy i dotarciu na Zachód, gdzie już nie mogły mnie dosięgnąć szykany i poniżenia. Mój osobisty dramat trwał jeszcze co najmniej dwa lata, w wielu obcych krajach i miastach, ponieważ byłem chory na Polskę, śniła mi się, ledwie zmrużyłem oczy, widziałem nocami znajomych, przyjaciół, ludzi bliskich, Łódź, nawet Klub Dziennikarzy, którego bywalcem byłem tyle lat. Mieszkałem w Wiedniu, Rzymie, Sztokholmie, Göteborgu, ale głowę miałem zwróconą wstecz, w moją młodość.

— Nie była to więc turystyka, te podróże?

— Nie było to radosne zwiedzanie świata. Słuchałem polskiego radia, tego z Warszawy, prenumerowałem gazety, wiedziałem nawet kto wygrał Wyścig Pokoju, lecz wszystkie te wiadomości nie były dla mnie pocieszające. Opuszczając Łódź mówiłem otwarcie, że rozstanie z PZPR i jej gazetą było dla mnie ulgą, okupioną jednak straszliwą tragedią — koniecznością opuszczenia Polski. Uważam zresztą za swój błąd, że wcześniej nie wypowiedziałem wojny komunizmowi, lecz przed krokiem tym powstrzymywała mnie perspektywa wygnania. Nie mówię tego dlatego, że teraz łatwo jest to powiedzieć: moi przyjaciele wiedzieli, jakie mam poglądy. Po prostu nie wyobrażałem sobie rozstania z Polską.

— A dlaczego w swojej pielgrzymce wybrałeś ostatecznie Szwecję?

— Sprawa była stosunkowo prosta. Z Wiednia czy Rzymu można było wtedy, cierpliwie czekając wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, Kanady i Australii, zaś bez czekania do Izraela. Można było także na własną rękę pojechać do RFN. Potem otworzyła się jeszcze jedna możliwość, kiedy do Latiny, pod Rzymem przyjechała komisja szwedzka robiąc rozpoznanie wśród uchodźców. Z miejsca zapisałem się na wyjazd do Szwecji, za którą wiele przemawiało. Raz, bo to kraj neutralny, sądziłem więc, że łatwiej będzie mi się tam odnaleźć. Dwa, że leży tak blisko Polski, gdzie została moja córka. Nie było wtedy wiadome, kiedy i jak z nią się zobaczę, po ilu latach, wątpiłem bowiem, czy władze ją wypuszczą kiedykolwiek. A rozdzielał nas tylko Bałtyk.

— Czy adaptacja w tym nowym kraju była łatwa?

— Łatwiejsza niż przypuszczałem, bo Szwecja nie jest krajem trudnym dla banitów. Uchodźcy, uciekinierzy, a ja dostałem azyl polityczny, korzystają ze wszystkich uprawnień socjalnych. Ma się dach nad głową, bezpłatnie uczą języka. Przystosowanie do nowego życia jest więc tu łatwiejsze niż w wielu innych krajach, nikt nie chodzi głodny. Stosunek miejscowego społeczeństwa do obcych jest na ogół życzliwy, ale Szwedzi są narodem niewylewnym. Jest to społeczeństwo dość monolityczne w odróżnieniu od takich krajów jak Stany, Kanada i Australia, dlatego też, mimo wszystko, wcale niełatwo w nie wejść. Emigranci bronią się przed asymilacją fobiami, twierdzą, że Szwedzi są mniej rzutcy i głupsi od nas, co oczywiście nie jest prawdą. To tylko różnice mentalne. Ja zresztą nigdy nie starałem się w to społeczeństwo wejść, nikt tego nie wymaga. Mieszkam w Szwecji, otrzymuję wynagrodzenie w koronach, mam szwedzkich znajomych i paszport, znam język, oglądam miejscową telewizję, czytam szwedzkie gazety, pozostałem jednak myślami raczej w świecie i oczywiście w Polsce. Był to jednak świadomy wybór, taki model życia mi odpowiada, choć mógłbym w to społeczeństwo wejść, gdybym się postarał.

— A nie czujesz się osamotniony?

— Czułem się osamotniony, brakowało mi tego wszystkiego, do czego przyzwyczaiłem się w ciągu 38 lat życia w Polsce. Człowiek przecież obrósł przyjaciółmi ze szkoły, z pracy. I tego mi właśnie nagle zabrakło. Ale po pewnym czasie, już tam, w Szwecji, poznałem nowych przyjaciół.

— Czy da się to odnieść również do Polonii w Szwecji?

— Do Szwecji trafiłem na początku 1969 r. Sytuacja naszych rodaków jest tu różna, wyznaczają ją kolejne fale emigracji. Jedni urządzają się lepiej, inni gorzej, ale wszystkim żyje się nieźle, gdyż nie ma tam biedy. Polonia jest bardzo specyficzna właśnie ze względu na bliskość kraju. Na ogół z Polską utrzymywane są częste kontakty, wiele osób ma rodziny w kraju, jeździ na wakacje. Słucha się też polskiego radia, co w takich Stanach, ze względu na odległość, nie jest możliwe.

— Jednakże ty byłeś w nieco innej sytuacji, przyklejono ci przecież etykietkę: persona non grata...

— Tak, właściciele PRL zemścili się, wrota Polski były przede mną zatrzaśnięte na długie lata. Kiedy w 1969 r. zmarła moja matka, odmówiono mi wizy wjazdowej po raz pierwszy. Musiałem użyć argumentu, że na pogrzeb matki puszcza się nawet przestępcę, takie są międzynarodowe obyczaje. Po bardzo ostrej wymianie zdań z ambasadą w Sztokholmie, kiedy zagroziłem, że postaram się, aby placówka polska miała nieco przykrości za swoje postępowanie, dostałem wreszcie zapewnienie, że w Malmo będzie czekała na mnie wiza ważna 72 godziny. Później czułem się co najmniej jak John Foster Dulles, byłem bowiem w kraju eskortowany, śledzony i w ogóle kręciło się koło mnie dużo podejrzanych ludzi. To była jawna, niemal demonstracyjna obstawa. Wykorzystałem tę wizę niemal w całości. Później próbowałem wjechać do Polski, dostałem jednak stanowczą odprawę, choć w tym czasie nie obowiązywały wizy. Szwedzka TV zrobiła nawet reportaż o tym incydencie. Później już się nie starałem, gdyż odmowy nawet nie uzasadniano stwierdzając tylko, że jestem osobą niepożądaną, mimo że byłem obywatelem szwedzkim.

— A co na to władze sztokholmskie?

— Władze szwedzkie interweniowały, chociaż nie w mojej sprawie, tylko generalnie. Protestowały przeciw dyskryminowaniu pewnych grup byłych obywateli polskich, jednakże jakichś poważniejszych nacisków na ambasadę nie wywierały. Warszawa zasłaniała się interesami państwa polskiego. Szeroko rozpisywała się na ten temat skandynawska prasa. Później już się o wjazd nie starałem, gdyż byłem zajęty „działalnością antypolską", jak to określały władze reżimowe. Zajmowałem się przemytem na dużą skalę: farba, papier, maszyny drukarskie. Osiągnęliśmy na tym polu spore rezultaty, dzięki takim jak my rozwinęła się w Polsce opozycyjna prasa i wydawnictwa. Oczywiście w kraju więcej ryzykowano. To opozycja demokratyczna w Polsce zadecydowała o rozmiarach i formach oporu, myśmy ją tylko wspomagali. Sądzę, że wyniosłem z tej działalności doświadczenia, które pozwoliłyby mi bez trudu sprostać obowiązkom prezesa Głównego Urzędu Ceł.

— To była konspiracja. A czym jawnie naraziłeś się Warszawie?

— Permanentnie wypowiadałem się przeciw komunizmowi, piętnowałem to, co się dzieje w Polsce na łamach prasy szwedzkiej, w audycjach telewizyjnych oraz na różnych zebraniach. Komuniści mieli wtedy monopol na polskość. Kto występował przeciw nim, szkodził Polsce, była to ich stara śpiewka. Prócz tego, mniej więcej od 1977 r., kiedy w Polsce zaczęły narastać ruchy protestacyjne w rodzaju KOR i ROPCiO, wciągnąłem się do współpracy z tymi organizacjami. Polegało to głównie na zbiórce pieniędzy, które szły albo na pomoc dla represjonowanych, albo na poligrafię dla kraju, na którą było coraz wieksze zapotrzebowanie. Śmiać mi się chce, gdy pomyślę, że przemyciłem do Polski jeden z pierwszych powielaczy. A ile wszystkich? Dużo, bardzo dużo, doprawdy nie znam dokładnych danych. Wysyłaliśmy także na masową skalę książki. To już nie było to chałupnictwo, kiedy zaszywaliśmy pod podszewkę komuś, kto chciał zaryzykować prozę Herlinga-Grudzińskiego. Zaczęliśmy organizować całe transporty, które docierały do różnych ośrodków w kraju. Wzrastało także zapotrzebowanie na materiał poligraficzny. A potem wybuchł stan wojenny. Zmusiło to nas do wiekszej konspiracji i do działania na jeszcze wiekszą skalę.

— Twoje nazwisko łączono przez pewien czas z premierem Szwecji Olofem Palme...

— Miałem z nim tylko jeden kontakt. Rok po tym jak Lech Wałesa dostał nagrodę szwedzkiego pisma „Arbetet", premier przyjechał do Malmö na wreczenie kolejnej nagrody. Laureatem był wtedy Bruno Kreisky, kanclerz Austrii, socjalista. I wtedy zorganizowaliśmy ogromną demonstrację, łącznie z wystawieniem portretu Wałęsy i napisem: rok 1981 — nagroda „Arbetet", rok 1982 — internowany. Wszystkim przypięliśmy znaczki z podobizną przywódcy „Solidarności". Na sali znalazło się ze 200 osób z emblematami „Solidarności". Przygłuszyliśmy trochę tę uroczystość na cześć Kreisky'ego. Palme był bardzo zagniewany, nie chciał wtedy mówić o Polsce, natomiast parę słów wypowiedział kanclerz Austrii.

— Aby działać społecznie, trzeba mieć zapewnione podstawy egzystencji. Jak sobie radziłeś?

— Od początku postanowiłem sobie, że nie będę korzystać z żadnej pomocy socjalnej. Był to mój wybór, bo nic nie stało na przeszkodzie, aby czekać na stosowne zajęcie i pobierać zasiłki. Wyciąganie ręki po pieniądze odrzuciłem. Przez sześć lat pracowałem jako robotnik w różnych fabrykach, jako pomocnik na basenie. Aby żyć, imałem się podrzędnych zajęć i wcale się tego nie wstydzę, przeciwnie. Później dostałem pracę na uniwersytecie i wtedy poświęciłem się działalności społecznej. Zajmowało mi to wiele czasu, aż za dużo. Później założyliśmy Independent Polish Agency, czyli Niezależną Polską Agencję. Wyspecjalizowała się ona w rozprzestrzenianiu materiałów z Polski: pism podziemnych, zdjęć, taśm magnetowidowych z zapisem różnych demonstracji potrzebnych telewizjom zachodnim, prasie.

— A więc, tym samym, wróciłeś do dziennikarstwa?

— Wróciłem, to najlepsze słowo. Dochody z tej działalności były przeznaczone na zasilanie podziemnych organizacji w kraju i to w bardzo szerokim zakresie. Pomagaliśmy nie tylko „Solidarności". Od r. 1985 IPA korzystała również z pomocy National Endowment for Democracy. Z tego samego źródła finansowane było częściowo brukselskie biuro „Solidarności".

— Czy utrzymujesz kontakt z Jerzym Milewskim w dalszym ciągu?

— Miałem i mam kontakt z tym Biurem. W r. 1983 lub rok później z inicjatywy organizacji amerykańskich zostało założone CSSO — Conference of Solidarity Support Organizations. Takie porozumienie różnych organizacji popierających „Solidarność". Było ich wtedy na świecie bardzo dużo. Są to działające społecznie grupy w różnych krajach, złożone nie tylko z Polaków. To zrzeszenia ludzi dobrej woli, którzy określili się jednoznacznie, że chcą pomagać „Solidarności". W różny sposób: protestami przed ambasadami, kampaniami prasowymi przeciwko represjom, demonstracjami, zbiórkami pieniędzy. Zostałem wybrany europejskim koordynatorem tych organizacji, dzięki temu sekretariat został powołany w Lundzie przy IPA, tam, gdzie mieszkam. Od dwóch lat jestem światowym koordynatorem tego społecznego ruchu poparcia dla „Solidarności". Dlatego też byłem w kontakcie zarówno z Biurem Brukselskim, jak też wieloma politykami w różnych krajach i uczestniczyłem w wielu konferencjach.

— Jak przyjąłeś wiadomość o obradach „Okrągłego stołu"? Informacje na ten temat docierały chyba do Szwecji?

— Oczywiście, pilnie śledziliśmy wszystko, co się dzieje. Przyznaję, że przyjmowałem to z ogromnym sceptycyzmem, po prostu w to nie wierzyłem. Traktowałem wszystko jako manewr komunistów, bardzo zręczny manewr wymuszony na reżimie, który znałem zbyt dobrze i dlatego sądziłem, że to tylko manewr. I uważałem, że rację mają raczej ci, którzy postanowili nie zasiadać przy tym stole. Nie chcę wdawać się w szczegóły: przyznaję, że tym razem pomyliłem się. Ustępstwa komunistów poszły dalej, niż można to było założyć. I życie poszło dalej. Błyskawicznie, szybciej niż ktokolwiek, w tym rzędzie i ja, mógł przypuszczać, doszło do załamania się totalitarnego systemu. Nie wiem, czy o tym załamaniu zadecydował „Okrągły stół". System musiał upaść, choć prawdopodobnie odbyłoby się to inaczej, z większymi bólami dla społeczeństwa. Przyznaję, że generalnie pomyliłem się w ocenie perspektywy. Sądziłem, że wszystko zatrzyma się na granicy „bujania", taktycznego manewru, przy zachowaniu PZPR, aparatu represji i mocnego obsadzenia przez reżim istotnych punktów strategicznych, pozwalających kontrolować sytuację. Pod tym względem się omyliłem. Na szczęście.

— Kolejnym szokiem były chyba czerwcowe wybory, a właściwie ich wynik?

— Wynik już nie. Okazało się, że naiwna była druga strona. Komuniści przecież nawet latem 1989 roku nie orientowali się w nastrojach społecznych. Było to dla mnie oczywiste, że tego rodzaju referendum musi się zakończyć druzgocącą porażką komunistów.

— Czy uprzytomniłeś sobie, że ten rezultat otwiera ci wreszcie drogę do Polski?

— No tak, najlepszym tego dowodem fakt, że tu przyjechałem na zaproszenie Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym „Solidarności".

— Mam nadzieję, że tym razem wjazd do kraju odbył się bez szykan?

— Jeszcze nie. Na promie oznajmiono mi, że nie dostanę wizy, radzono zejść z pokładu.

— Czy to stwierdził kapitan statku?

— Nie, jakiś taki dziwny człowiek pływający z ekipą marynarzy, prawdopodobnie z MSW, który obok panienki z okienka bardzo interesuje się paszportami. „Figuruje pan na liście", powiedział i radził zejść na ląd szwedzki, zanim prom odcumuje. Po prostu gość nie chciał narażać mnie na koszty. Zdecydowałem się wszakże pozostać i jechać na własne ryzyko. Z pokładu nadałem iskrówkę do Warszawy, do Komitetu Obywatelskiego. Prom dobija do Świnoujścia o siódmej rano. Oficerowie WOP, bardzo zresztą sympatyczni, powiedzieli, że już dzwonili do MSW, ale na razie muszę czekać na decyzję. Formalnie bowiem jestem w dalszym ciągu osobą niepożądaną. Potem przyszła wiadomość, że otrzymuję wizę na 14 dni.

— Czy za swymi plecami czułeś oddech konwoju?

— Tym razem nie. Mam duże uznanie dla tych oficerów z WOP. Częstowali mnie wódką kawą i umilali czas rozmową tłumacząc się, że nie są niczemu winni, co ja doskonale rozumiałem. Nie sądzę także, aby tu ktoś mnie pilnował i dbał o moje „bezpieczeństwo" jak poprzednio, w 1969 r.

— Jakie masz plany pobytu w Polsce?

— Jeszcze do końca nie wiem. Wybieram się do Warszawy, gdzie na pewno spotkam się z prof. Bronisławem Geremkiem. Chciałbym sprecyzować plany działania organizacji popierających w świecie „Solidarność". Teraz niczego nie trzeba szmuglować, nie trzeba niczego robić potajemnie, ale wciąż jest potrzebna Polsce pomoc.

— Jak oceniasz nasze szanse wyjścia z kryzysu?

— Kryzys jest niesłychanie głęboki, a czas potrzebny na dojście do jakiegoś przyzwoitego poziomu życia chyba dłuższy niż to na ogół zakłada zmęczone społeczeństwo. Jedno jest pewne: zawrócono Polskę z drogi wiodącej do przepaści. Ale kiedy nastąpi odczuwalny postęp, to naprawdę trudno przewidzieć.

— Skoro skreślono cię z „czarnej listy", będziesz teraz częstym gościem w Polsce?

— Chyba tak. Spełniło się jedno z moich marzeń, mogłem tu przyjechać. Zadziwiające, jak wiele osób mnie pamięta po tych 22 latach rozłąki.

— Cóż, byłeś dobrym dziennikarzem. Dziękując za tę rozmowę, życzę ci jednocześnie jak najlepszych wrażeń w starym kraju.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Zagadka kryminalna, której do dziś nikt nie rozwiązał.

Piękna Meg i tajemniczy mordercy

JAN BĄBIŃSKI

Wczesnym rankiem ze snu wyrwał komisarza Bachotte ostry dźwięk telefonu. W miarę jak wysłuchiwał raportu z ekskluzywnej dzielnicy Vaugirard twarz zalewał mu rumieniec i trupia bladość na przemian. Sprawa była pierwszorzędnej wagi. Wyskoczył z pościeli i bez zwłoki połączył się z Hammardem, dyrektorem „Sureté". Hammard wysłuchał relacji w milczeniu. Po czym oznajmił:

— *Będę na miejscu, zabieram paru inspektorów i lekarzy.*

Policyjne samochody zatrzymały się przy zaułku Rousin w niewielkiej odległości od Lasku Bulońskiego. W małych ogródkach stały tu szykowne jednorodzinne domostwa. W jednym z nich, należącym do znanego malarza Steinheila, rozegrała się w nocy 31 maja 1908 r. wstrząsająca tragedia.

Pierwsze zeznanie przed komisarzem złożył Remi Couillard, służący w tym domu.

— *Przed szóstą rano zszedłem schodami na dół. Patrzę a tu drzwi wszystkich pokoi stoją szeroko otwarte. Natężam słuch i słyszę jakieś zawodzenie. Co to może być? Wleciałem do pokoju mojej pani. Madame Steinheil leżała w łóżku naga z tamponem waty w ustach. Była przywiązana sznurami. Zaparło mi dech. Na szczęście pani żyła, przewracała oczami i krztusząc się szeptała, duszę się, duszę, powietrza, powietrza. Coś mnie tknęło i pobiegłem zaraz do pokoju, gdzie nocowała matka mej pani, madame Japy. Poprzedniego dnia zjechała do córki w odwiedziny. Staruszka miała watę w ustach i sznur na szyi. Jej twarz była martwa, już nie oddychała. Złapały mnie mdłości i poleciałem do łazienki. A tam na posadzce leżał na wznak pan Steinheil odziany tylko w nocną koszulę. Już nie żył.*

Do komisarza podszedł lekarz Levevre.

— *Wydaje się, że ktoś tu coś sfingował* — zciszył głos do szeptu. — *Nikt nie oddaje życia bez walki, a na łóżku śladu jakiejkolwiek szarpaniny. Pościel jest idealnie wygładzona.*

Wysokie czoło komisarza pokryło się zmarszczkami.

— *Nie pańska rzecz wyciągać wnioski, doktorze. Niech pan lepiej powie, co było przyczyną śmierci pana Steinheila.*

— *Wybicie szczęki, a potem uduszenie.*

— *A pani Japy?*

— *Chyba ją uduszono. Ale śmierć mogła też nastąpić wskutek ataku serca. Niezbędne są dodatkowe badania.*

Madame Steinheil po mocnej kawie z koniakiem szybko się odnalazła.

— *Och, to było okropne, komisarzu, nie znajduję słów, żeby opisać. Zbudziłam się o pierwszej w nocy. Nade mną stał jakiś mężczyzna w czarnym kapeluszu i wrzeszczał, gdzie pieniądze, gdzie biżuteria, gdzie osobiste papiery, gadaj, ale już, bo ci łeb ukręcę. Obok stało trzech innych jeszcze drabów, mieli długie, czarne brody i wyglądali mi na lewitów. Zaczęli walić mnie i dusić tak że straciłam przytomność. Gdy ją odzyskałam, bałam się ruszyć i czekałam aż zjawi się służący.*

Komisarz słuchał z niedowierzaniem. Coś tu nie trzymało się kupy. Jeśli to byli członkowie jakiejś sekty i węszyli za gotówką, to mieszkanie dokładnie by splądrowali, poprzewracali meble i wybebeszyli szuflady. Tymczasem nie zauważył nigdzie śladu jakiegokolwiek rabunku. Dom świecił czystością, ładem i porządkiem. Wszystko stało na swoim miejscu, nikt tu niczego nie ruszał. Albo wejściowe drzwi. Służący Couillard stwierdził, że jak zwykle zamknął je wieczorem na klucz. Tymczasem rano były otwarte, choć nikt ich nie wyważał, ani nie posługiwał się wytrychem. Komuś drzwi dyskretnie uchylono? Stało się widoczne, że madame kręci, zmyśla bajeczki i blaguje. Czyżby kogoś ochraniała?

Po dwóch dniach madame Steinheil sama zgłosiła się do dyrektora „Sureté".

— *Muszę się przyznać, dyrektorze* — przybrała wyraz powagi na twarzy — *że przechowuję manuskrypt pamiętników prezydenta Faure. Bandyci go nie odnaleźli.*

Dyrektor Hammard uniósł się zza biurka. Miał nerwy jak ze szwedzkiej stali, jednak przeszedł go dreszcz.

— *Prezydent spisywał pamiętniki?*

— *Tak, panie dyrektorze, są w moim posiadaniu.*

Zza binoklów wyzierały czujne, badawcze oczy Hammarda.

— *Jak do pani trafiły?*

— *Prezydent Faure był łaskaw wręczyć mi je na pamiątkę tuż przed swym nieoczekiwanym zgonem.*

Hammard opadł ciężko na fotel.

Jeśli to prawda, nie ma wątpliwości, że ktoś usiłował pamiętniki wykraść, żeby w oczach świata ochlapać dobre imię Francji i ośmieszyć ich przywódców. Może na scenę wkroczyła tajna służba jednego z mocarstw? Oczami wyobraźni widział ogromne gazetowe nagłówki, obleśny prezydent oddaje ducha podczas miłosnych igraszek z osławioną damą z półświatka. Podziękował damie za wizytę i zaraz połączył się z ministrem spraw wewnętrznych. Był nim wtenczas nie kto inny tylko wielki Georges Clemenceau. Uzgodniono, że dalsze śledztwo w tej aferze pociągnie wybitnie uzdolniony sędzia Leydet.

Już po tygodniu Leydet uzmysłowił sobie, że wdepnął w głębokie bagnisko. Niby śladów nie brakło, lecz wiodły wszystkie donikąd. Coś konkretnego zeznał tylko jeden z sąsiadów pana Steinheila. Widział w nocy elegancki samochód zaparkowany przed domem malarza. Kiedy wyjrzał przez okno nad ranem, samochodu już nie było. To wszystko. Poza tym, mrok i żadnego światełka w ciemnym tunelu. Nie, tego węzła tak łatwo się nie rozwikła.

Sprawa ucichła i wielkie dzienniki przestały się nią zajmować. Komisarz Bachotte broni wszakże nie złożył. Mord przy zaułku Rousin nie przestał go intrygować. Naciskał go też Hammard. Polecił więc jednemu z tajniaków, by nie spuszczał z madame Steinheil oka. Niech kroczy za nią jak cień. Koszty nie odgrywają roli. Wkrótce tajniak doniósł, że madame spotyka się z panem Borderel. To bogaty właściciel ziemski, posiada wspaniały château w Ardenach. Uchodził za multimilionera. Coś wygląda na to, że madame zagięła na niego parol.

— *Od jak dawna się znają?* — zapytał komisarz.

— *Madame poznała tego pana mniej więcej rok przed zamordowaniem jej męża. Pan Borderel przyjeżdża każdej soboty do jej posiadłości „Le Vert Logis".*

Komisarz zatopił się w rozmyślaniach. Może madame pozbyła się męża, by zawrzeć małżeństwo z tym millionerem? Ale po cóż miałaby uśmiercać własną matkę? Niby jest motyw zbrodni i go nie ma. Sprawa się wikła i tropy znów się rozchodzą. Gdyby komisarz miał tego dnia czapkę niewidkę na głowie i przysiadł przy marmurowym stoliku w restauracji „Quai Tournelle", z której roztacza się niezrównany widok na katedrę Notre-Dame i Sekwanę, usłyszałby taką oto rozmowę.

— *Więc kiedy się zaręczamy, kochanie* — głos madame Steinheil był miękki i czuły.

Monsieur Berderel odstawił szampana i cicho westchnął.

— *O niczym częściej nie marzę.*

— *Więc kiedy?*

— *Bardzo mi przykro, ale na razie nie widzę możliwości. Nie mogę się przecież narażać na kompromitację.*

Poderwała się jakby ją ukąsiła żmija. Jej oczy rozbłysły przejmującym blaskiem.

— *Jak śmiesz, chcesz powiedzieć, że cię okrywam hańbą?*

— *Ależ uspokój się, nie idzie o ciebie, tylko o to przeklęte morderstwo w twojej willi. Wlecze się za nami jak zmora. Nie daje mi spać po nocach. Dopóki ta zagadka się nie wyjaśni, nie może być mowy o ślubie. Pomyśl, jak byśmy wyglądali.*

Po tej rozmowie madame Steinheil postanowiła przyspieszyć bieg wypadków. Opublikowała list otwarty w „L'Echo de Paris". Z niesłychaną pasją zaatakowała policję. Zarzuciła, że śledztwo prowadzi się ospale, leniwie i chaotycznie. Żółw uwiesił się komisariatu i ślimak zaszył się tam w skorupie. Na drugi dzień list przedrukowały wszystkie liczące się gazety. Wywołał sensację. Jeden z dziennikarzy, Gustin, skierował podejrzenie na służącego Couillarda. Trzeba bliżej mu się przyjrzeć. Czy ujawnił całą prawdę? Madame Steinheil zaprosiła dziennikarza do swej willi.

— *Jakiś kłopot, madame?* — Gustin ucałował jej rączkę — *Czy mógłbym w czymś pomóc? A może byśmy przeszukali pokój tego huncwota?*

Madame klasnęła w dłonie.

— *Świetny pomysł, że też sama na to nie wpadłam.*

Zaprowadziła reportera do izby, gdzie mieściły się rzeczy służącego. Coś nieprawdopodobnego, z kieszeni spodni rzuconych na krzesło wystawał pękaty portfel, a w nim spoczywał duży brylant promieniujący silnym blaskiem. Z mojej kolekcji, krzyknęła madame, poznaję, pomyśleć, że takiego bandytę trzymałam we własnym domu. Zaraz powiadomię komisarza.

— *Co teraz robić?* — komisarz Bachotte wolał przed podjęciem decyzji poradzić się dyrektora Hammarda.

Hammard z natury nieufny, odparł zimno.

— *Zbyt to proste, by mogło być prawdziwe. Złodziej nigdy kradzionych rzeczy nie upycha po kieszeniach. Myślę, że całą willę trzeba będzie dokładniej przeszukać.*

Już po godzinie wytrawni szperacze wykryli ukrytą za belkami na strychu pieduża paczuszkę, pełną drogich kamieni najczystszej wody. Stało się oczywiste, że służący niczego nie podkradł. Nie poprzestałby przecież na jednym brylancie. Ktoś mu to podrzucił. Tym kimś mogła być tylko madame. Pani Steinheil zaniosła się rozdzierającym szlochem. Sama nie wie, co ją napadło. Och, ma pauvre tete, moja biedna i skołowana głowa już mnie nie słucha, robię same głupstwa. Naraz opanowała się.

— *Pewnie Aleksander, syn mojej kucharki, dokonał zabójstwa. Ten hulaka zawsze popatrywał na męża spode łba.*

Węzeł zdecydowanie przeciął prokurator Leblanc. Nie będzie dłużej wysłuchiwał takich bredni. Madame Steinheil została aresztowana pod zarzutem dokonania mordu z premedytacją. Dalsze śledztwo przejął sędzia Mercel Andre, niski, impulsywny choleryk, wywodzący się ze społecznych dołów i pełen związanych z tym kompleksów. Madame Steinheil była dlań uosobieniem tego co zepsute, zgniłe, amoralne i zatęchłe. W głębi duszy pogardzał nią. Wstrętna ladacznica i gangrena. Pokazuje się w ekwipażu, a on nie może sobie pozwolić nawet na dorożkę.

Utwierdził się w swym obrzydzeniu po zapoznaniu się z drogą życiową zatrzymanej. Od tego zaczynał zresztą każde śledztwo. Dowodził, że z księgi czyjegoś życia więcej się wyczyta niż z zeznań nie budzących zaufania świadków.

Ojciec madame, Edourd Japy pławił się w dostatku. Pracowały nań liczne grona fabrycznych robotników. Zamieszkiwał w château w Beaucourt koło Belfortu. Własnym jachtem żaglował po morzach i odległych oceanach. Młodej Marqueritte, rodzice wołali na córkę „Meg", nie zbywało na niczym. Gdy podrosła, zaczęła stroić się jak księżna. Nie opuszczała żadnego balu, rozkochując w sobie wszystkich młodych oficerów miejscowego garnizonu. Jej uroda zniewalała. Na cześć prześlicznej panienki wyśpiewywano peany.

W 1889 r. siostra zabrała młodziutką „Meg" do Paryża, wystrojonego odświętnie na Światową Wystawę. Miasto, pępek ówczesnego świata, oszołomiło dziewczynę. Oświadczyła, że odtąd nie wyobraża sobie życia poza Paryżem. Na wakacjach w Biarritz poznała pana Steinheila. Zrobił na niej piorunujące wrażenie. Zawieszony hen wysoko pod sklepieniem zabytkowej katedry, kładł na świeżym i mokrym jeszcze tynku cudownie kolorowe freski. Wkrótce młodzi się pobrali. Ledwie przeleciał rok i „Meg" odtrąciła męża. Brzydziła się nim. Zostanie, jeśli mu tak bardzo na tym zależy, ale żadnych więcej intymności.

Otworzyła w Paryżu własny salon. Gościł u niej często Bartholdi, Gounod, Ferdinand de Lesseps, Emile Zola, Pierre Loti, Anatole France, wiele innych znamienitości tamtych czasów. Śliczna pani o wielkich niebieskich oczach podbiła Paryż i miała wielki świat u swych stóp. Grała na skrzypcach i pianinie. Olśniewającym głosem śpiewała operowe arie. Zabawiała gości wartką, pełną polotu i finezji konwersacją. Jej dowcip, umiejętność błyskotliwej riposty budziły podziw i zachwycenie.

Potem, już na procesie, jej krawcowa zeznała.

— *Madame nieraz prosiła mnie z rana, żebym uszyła jej na bal nową suknię. Była piękna jak królewna z bajki i nie mogłam jej odmówić, choć musiałam potem siedzieć i pracować całą noc.*

Latem 1897 r. pan Steinheil wyjechał z żoną na wypoczynek w Alpy. Zdarzyło się, że w pobliżu ich hotelu prezydent Francji Felix Faure obserwował na przełęczy Mont-Cenis manewry strzelców alpejskich. Nie wiadomo jakich madame użyła sztuczek, lecz swego dopięła. Udało się jej zamienić z prezydentem parę słów. Faure, oczarowany urodą młodej damy, zaprosił ją na pożegnalny bankiet w Luslebourgu. Tam zaczęła się idylla, która przeszła do historii, kończąc się niebywałym skandalem.

Sędzia Andre odsunął dokumenty na bok i popadł w zadumę. Felix Faure liczył wtenczas 57 lat. Jego kariera wprawiła w zdumienie całą Europę. Ten energiczny czeladnik u garbarza w Amboise, a potem hurtownik w Hawrze, wybił się w wolnych wyborach na prezydenta republiki. Patrzcie, nie tylko w Ameryce czyściciele butów sięgają po najwyższe godności. Stał się niezwykle popularny. Elegancki, zakochany w koniach i ekwipażach z galonowymi stangretami na kozłach, budził sympatię jowialnością, swobodą bycia i wielkim poczuciem humoru. Mówiono o nim „President Le Soleil", prezydent słońce.

Paryż znał liczne słabostki prezydenta, który wyszedł z ludu. Wiedziano, że przepada za dobrym trunkiem i pięknymi kobietami. Wpuszczał je do Pałacu Elizejskiego tylnym wejściem. Młode ślicznotki dreptały cichutko mozaikowym korytarzykiem do „niebieskiego saloniku". Stały tam dwa fotele, niewielki stolik, a pod oknem widniał rozłożysty tapczan na angielskich sprężynach.

Paryż nie miał tych miłostek prezydentowi za złe. Niech mu idzie na zdrowie. Ludwik XIV również nie stronił od pięknotek, a do jakiej potęgi wydźwignął Francję. Broń nas Boże przed wyplutym jakimś wymoczkiem na tronie. „President Le Soleil" też już zdobył Madagaskar dla kraju i jest za pan brat z carem Wszechrosji. Niech ci przeklęci Prusacy spróbują w swych podkutych buciorach znów pomaszerować na Paryż, a runą na nich znad Donu niezliczone sotnie bitnych kozaków.

Sędziego Andre przeszedł zimny dreszcz. Jeśli madame Steinheil ujawni na procesie, co zaszło w niebieskim saloniku, cały Berlin będzie pokładał się ze śmiechu. A Kaizer oznajmi, że Francja jest zdegenerowana do szpiku kości i dni jej chwały dawno się skończyły.

Sięgnął po papiery. Po spotkaniu w Alpach pani Steinheil stała się faworytą prezydenta i pierwszą damą republiki. Aż doszło do tragicznego zgonu. Był 16 lutego 1899 r. Prezydent przyjął kardynała Richarda, a potem Alberta, księcia Monaco. Książę nakłaniał go, by spotkał się z Kaizerem, sprawa była do zaaranżowania. Prezydent słuchał jednym uchem. Jego głos był tego dnia dziwnie słaby i zmęczony. Po obiedzie prezydent przeszedł do niebieskiego saloniku. Tam już czekała roześmiana pani Steinheil.

Wtem w gabinecie sekretarza odezwał się ostry dzwonek. Sekretarz skoczył wystraszony do saloniku. Czyżby prezydentowi coś się przytrafiło? Istotnie Felix Faure leżał bez ruchu na tapczanie. Już nie oddychał. Obok stała w negliżu blada i przerażona pani Steinheil. Sekretarz opadł bez tchu na fotel. Co za katastrofa. Było dlań jasne, że prezydent przeliczył się z siłami i oddał ducha w ramionach kochanki.

Po śmierci prezydenta salon pani Steinheil stracił blask, a do jej męża przestały napływać urzędowe zamówienia na obrazy. Madame naraz pojęła na jak kruchym i cienkim lodzie był zbudowany dobrobyt jej domu. Odpływ pieniędzy stał się większy niż ich przypływ. Do willi zajrzała nędza. Jednak pani nie straciła głowy. Jej największym kapitałem pozostawała nadal uroda, wrodzony wdzięk i wielki talent owijania sobie wysoko postawionych mężczyzn wokół paluszka. Otworzyła „Le Vert Logis", własny dom schadzek. Do łoża dopuszczała fabrykantów jedynie, bankierów, książąt dworu i dyplomatów z grubą gotówką. Pan Steinheil cierpiał i milczał, udając ślepego. Służba zauważyła, że nocami tłukł się po sypialni zalany łzami. Wciąż kochał swoją żonę.

Sędzia Andre odłożył dalsze akta z odrazą i złością. Do tego doszło, że krajem rządzą rozpustne kokoty. Ale jeszcze tej damulce pokaże, gdzie raki zimują. W rzeczy samej madame Steinheil nie szczędzono w więziennej celi żadnych poniżeń, złośliwości i udręczeń. Strażniczki nieustannie zapędzają ją do szorowania posadzek i mycia ubikacji. Lżono ją i znieważano. Gnębiono i nękano na każdym kroku. Przeleżała do rozprawy okrągły rok w zimnej i wilgotnej celi nakryta jednym tylko kocem.

Proces rozpoczął się 3 listopada 1909 roku. Na widok oskarżonej sala zamarła w nabożnej ciszy. Madame Steinheil w celi odmłodniała. Jej wielkie modre oczy tchnęły niewinnością i czystością serca. Twarz jaśniała pełnym blaskiem. Nigdy jeszcze nie była tak piękna i wyszlachetniona cierpieniem. Rozprawa przeciągnęła się nad miarę. I od pierwszego dnia unosił się wielki znak zapytania. Co naprawdę wydarzyło się majowej nocy w willi przy zaułku Rousin? Przecież tak delikatna istota o wyglądzie madonny z katedry Notre-Dame nie mogłaby sama bez niczyjej pomocy zadusić męża i uśmiercić własną matkę. Ktoś współdziałał. Ale kto? Miała wielu niezwykle wpływowych kochanków. Widywano ją w towarzystwie księcia Walii. Kogo więc kryła? Kim był ten prawdziwy morderca? Przywiązał ją celowo do łóżka, żeby upozorować napad? Możliwe, ale gdzie dowody? Przypuszczenia, hipotezy i domniemania niewiele znaczą w oczach trzeźwych i zimnogłowych sędziów. Akt oskarżenia upadł. Po długich naradach, dopiero o pierwszej w nocy, sąd uwolnił madame Steinheil od winy i kary. Sala przyjęła werdykt długim i gorącym aplauzem.

Po latach jeden z dziennikarzy londyńskiego „Daily Express" zapytał lady Abinger.

— *Dlaczego poślubiła pani Anglika?*

Starsza pani, elegancka i dostojna, bez śladu siwizny we włosach, odparła chłodno.

— *Bo Anglicy nigdy nie pytają o przeszłość.*

Tą panią była madame Steinheil.

Otóż wkrótce po zakończeniu rozprawy pani Steinheil w pośpiechu wyjechała do Anglii. Niebawem poznała lorda Abingera i po roku wyszła za niego. W 1912 r. opublikowała swe „Memoirs". Powtórzyła w nich historyjkę o pamiętnikach prezydenta Faure i wspomniała o tajemniczych lewitach, którzy tragicznej nocy mieli rzekomo dokonać w willi napadu i morderstwa. Dała do zrozumienia, że byli to na pewno wysłannicy Kaizera w przebraniu. Prawdopodobnie szukali pamiętników prezydenta. Zmarła w 1954 r. Żyła namiętnie, pełną piersią i skończyła jako angielska lady w zabytkowym zamku lorda Abingera.

Zastanawiające, na pamiętnym procesie nie napomknęła słówkiem o swym romansie z prezydentem i jego nagłym zejściu w niebieskim saloniku. Pewne światło na tę zagadkę rzucił niedawno dziennikarz paryski Jean Noskowski. Dotarł do rodzinnych pamiątek po Dealis de Saujeau, który w 1908 r. pełnił w Paryżu funkcję sekretarza prefekta policji. Z zostawionych przez sekretarza zapisków wyczytał, że późną nocą 31 maja 1908 r. do prefekta wpadł rozjuszony jakiś i nadzwyczaj pewny siebie mężczyzna o długich bokobrodach. Mógł mieć około pięćdziesiątki. Twarz wydała mu się znana, choć tak od razu nie umiał jej z nikim powiązać. Po tej wizycie prefekt wezwał sekretarza i oświadczył groźnym tonem.

— *Nikt tu nie był i nikogo pan nie widział, zrozumiano? To sprawa państwowej wagi.*

Kim był ów tajemniczy pan?

Wtenczas, jeszcze przed śmiercią pana Steinheila, rozeszły się po Paryżu pogłoski, że madame Steinheil spotyka się potajemnie z wielkim księciem rosyjskim Władimirem Aleksandrowiczem. Prawda, wielki książę przebywał wtedy nad Sekwaną. Działał na rzecz dalszego umocnienia sojuszu Rosji z Francją. Czyżby auto, które stało tamtej nocy przed willą pani Steinheil należało do wielkiego księcia? A może ktoś przez niego nasłany ukatrupił malarza, nadbiegła pani Japy i widząc trupa, dostała ataku serca i też padła martwa?

Prawdopodobnie za kulisami procesu stał minister spraw wewnętrznych Georges Clemenceau. Być może doszło do cichej umowy. Pani Steinheil słówkiem nie zahaczy na rozprawie o prezydencie Faure, a w zamian zwolni się ją od kary i zapewni bezpieczny azyl w Anglii. Georges Clemenceau zbyt dalekowzrocznym był politykiem, by zadzierać z Sankt-Petersburgiem. I to w obliczu narastającej groźby ze strony Berlina. Gdy głos zabiera interes państwa, zamiera prawo i milknie paragraf. Na ołtarzu wyższych racji stanu składano już nie takie ofiary.

Collage: Grzegorz Gałasiński

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

15 marca 1990 r. — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

22 marca 1990 r. — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z 8.03.1990 R.

DOBRA WIADOMOŚĆ: na apel sprzed tygodnia w sprawie leku o nazwie „Debelizyna" odezwały się dwie osoby gotowe ów specyfik odstąpić. Pani Z.S. może się kontaktować w tej sprawie z panią Grażyną S. (nr telefonu — 55-70-16) lub z panem Zdzisławem Węglarczykiem, którego najłatwiej zastać na budowie „Wizametu" przy ulicy Wodnej.

Pan **Lucjan Polakowski** stwierdził, że o mało go szlag nie trafił, gdy przeczytał w „Dzienniku Łódzkim" o zmniejszeniu przystanków linii pośpiesznych i planowanej podwyżce cen biletów tramwajowych. — Czy oni tam poszaleli?! — perorował Czytelnik — przecież to kolejna, nieodpowiedzialna decyzja. Kierownictwo MPK jedyną drogę do uzdrowienia firmy widzi w permanentnych podwyżkach. Czy w MPK istnieje jakiś plan uzdrowienia przedsiębiorstwa?

Nieprawdopodobną, wręcz makabryczną historię opowiedział mi pan **Stanisław Ch.** Mieszkał w 1946 roku na ulicy Łagiewnickiej i w trakcie zabaw wraz z gronem kolegów w wieku 10—12 lat dokonał szokującego odkrycia. Chłopcy zauważyli — rzecz działa się latem — jak w bramę posesji przy ulicy Łagiewnickiej 1/3 (przy Wojska Polskiego) wszedł ich rówieśnik i — zniknął. Nie wracał dobrą godzinę. Zawiadomili komisariat milicyjny przy ulicy Dworskiej 1 (dziś ulica Władysława Bytomskiej). Dwuosobowy patrol, wraz z wyrostkami, zaczął przeszukiwać parterowe pomieszczenia dokonując makabrycznych odkryć. W domu tym, według relacji Stanisława Ch. — mordowano dzieci. W jednym z pomieszczeń znaleziono okaleczone zwłoki dziewczynki, w innym — związanego, zakneblowanego chłopca, który tak tajemniczo zniknął, godzinę wcześniej. Milicjanci — jak twierdzi nasz Czytelnik — aresztowali wówczas dwóch mężczyzn, natomiast w piwnicach budynku dokonano jeszcze innego, koszmarnego znaleziska: odkryto ludzkie zwłoki ukryte w drewnianych beczkach...

— Minęło wiele lat, ale jakoś nie sprzyjały one rozwikłaniu tej makabrycznej zagadki. — kończył swą opowieść pan Stanisław — ani ja, ani żyjący mój kompan z tamtych lat — Jan J., z którym tego feralnego dnia popędziliśmy po milicyjny patrol nie znamy żadnych szczegółów, nie wiemy nawet, czy był jakiś dalszy ciąg tej szokującej sprawy. Byliśmy wówczas chłopakami goniącymi wyłącznie za piłką, starsi nie wtajemniczali nas w żadne makabryczne szczegóły. Ale chyba żyją świadkowie tamtych wydarzeń, starsi chłopcy, znani mi wówczas wyłącznie z imienia, pracownicy milicyjnego komisariatu, może prokuratury, ktokolwiek... Może odezwie się uratowany wówczas młody chłopak, może jego rodzice. Myślę, że warto wyjaśnić i tę dramatyczną zagadkę, chciałbym też przeznaczyć jakąś skromną kwotę na ufundowanie w tym miejscu choćby skromnej tablicy pamiątkowej...

Czekamy!!!

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

BRAK WYCZUCIA

Jerzy Urbankiewicz, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Łodzi ma za sobą piękną kartę okupacyjną — za działalność w szeregach wileńskiej AK otrzymał Krzyż Srebrny Virtuti Militari i Krzyż Walecznych. Aresztowany przez NKWD spędził dwanaście lat w łagrach. Od 1956 r. mieszka i działa w rodzinnej Łodzi, której poświęcił wiele kart swoich popularnych książek napisanych w stylu gawędy. Wierny przekonaniom przeciwstawiał się rozwiązaniu Związku Literatów Polskich i w okresie stanu wojennego skupił wokół siebie grupę pisarzy, którzy z determinacją wytrwali w oporze.

Marcowy „Kalejdoskop" zamieścił króciutką rozmówkę z Jerzym Urbankiewiczem. Zarówno bombastyczny tytuł („Łódzki Sołżenicyn"), jak i wątpliwy komplement użyty przez redakcję dla scharakteryzowania życiowej postawy pisarza („wieczny konspirator") nie mogą przysłonić prawdy, że „Kalejdoskop" zlekceważył autora „Listu z Workuty" poświęcając mu ledwie trzy szpalty. Zwięzłość nie zawsze bywa cnotą. Dramatyzm spraw, o których usiłuje powiedzieć Jerzy Urbankiewicz, wymagała odstąpienia od zasady przykrawania myśli na miarę stosowaną rutynowo przez redakcję. Tego nie można się nauczyć, to trzeba po prostu czuć.

skr.

ZŁOTY INTERES „JAGIELLONII"

Wszystko się w Polsce zmienia — tak przynajmniej głoszą w telewizji — ale w sporcie nic się nie zmienia. Żołnierz Dariusz Czykier otrzymał przepustkę na 48 godzin, aby mógł wziąć udział w podpisaniu w Białymstoku umowy o przejściu z „Jagiellonii" do „Legii" w Warszawie. Za ten transfer „Jagiellonia" otrzymała... 500 milionów złotych. W Białymstoku radość. Pozbyli się zawodnika, który w całym regionie znany był ze swoich rozrywkowych skłonności.

Żołnierz i piłkarz Dariusz Czykier uczcił udany transfer wraz z kolegami, a skutek był taki, że polonez wylądował na ul. Swobodnej na... dachu. Ofiar nie było. Milicja stwierdziła 2,56 promille alkoholu we krwi uczestników zabawy. WSW zabrała żołnierza Dariusza Cz. i odtransportowała go do Warszawy. W najbliższych meczach „Legii" Dariusz Czykier nie wystąpi.

BMW

Rozmyślania pani woźnej.

Z gaju Akademosa

1.

„Jeżeli przyjdzie taki jeden, jak się należy, a będzie miał państwo uległe, to przeprowadzi wszystko, w co się dziś ludziom wierzyć nie chce" — nauczał Platon w gaju Akademosa.

„Taki jeden" to filozof. Bo: *„Dopóki ród filozofów nie uzyska władzy, dotąd nie ustaną nieszczęścia ani dla państwa, ani dla obywateli"*. Uniwersalne państwo Platona, jego idealną Rzeczpospolitą miały tworzyć trzy hierarchiczne stany. Pierwszy, nieliczny, wybrany, na miarę bogów, to owi filozofowie, na czele z tym *„takim jednym"*, który potrafi *„przeprowadzić wszystko"*, czyli stan rządzących, stan polityków. W zakresie sprawowania władzy wolno im wszystko. Mają prawo być *„chytrzy"* i *„przebiegli"*, dla dobra państwa wolno im kłamać, natomiast inni: *„niech nawet tego nie próbują"*. Nie podlegają krytyce, żaden z obywateli *„nie ma prawa o nic obwiniać — los może"*, ale tylko los. Polityk, ponieważ jest filozofem, reprezentuje sobą najwyższą cnotę: mądrość i dlatego jest ponad wszelką niedoskonałość.

Strażnicy państwa, cała ich armia, w hierarchii Platona zajmują niższy szczebel drabiny. Męstwo jako cnota ustępuje mądrości. Lecz męstwo jest siłą, bez której mądrość obejść się nie potrafi, mądrość musi mieć więc swoją armię, aby cel nadrzędny, idealne państwo mogło istnieć i trwać.

2.

W państwie uniwersalnym, zdążającym do dobra, jako najwyższej, wyłącznej idei, jeden cel obowiązuje wszystkich, nikt nie powinien dążyć do osobistego dobra, zadania człowieka spełniają się wyłącznie w życiu społecznym. Więc te dwie najważniejsze kasty podlegają ścisłym rygorom, ani prawa do majątku, ani do uczuć. Sztuka: muzyka i poezja dla nich też tabu. Podobnie rodzina, nie wolno im zakładać rodzin. *„Kobiety wszystkie"* powinny być *„własnością wspólną"*. I dzieci, rodzące się z tej wspólnoty, także wspólne. I *„nie znające swego rodzica"*. A i *„rodzic też niech nie zna swego potomka"*. Więź uczuciowa jest szkodliwa dla dobra państwa, bo: *jeżeli trzoda ma być pierwszej klasy"*, to należy ją tak organizować, żeby *„najlepsi mężczyźni jak najczęściej obcowali z najlepszymi kobietami, a najlichsi z najlichszymi jak najrzadziej"*. Gorliwym i młodym strażnikom należą się nagrody: *„częste pozwolenie na stosunek z kobietą"* — tu też idzie o dobro państwa, o tę *„trzodę"*, niech będzie zdrowa, silna, wyselekcjonowana. A *„ktokolwiek ma zostać dzielnym człowiekiem w jakimkolwiek zawodzie, ten powinien już od dziecięcych lat zajmować się tym, co do zawodu należy, w zabawie i na serio. Na przykład ten, co ma zostać rolnikiem albo jakimś budowniczym, ten powinien bawić się stawianiem jakichś domków, a drugi powinien uprawiać ziemię. Obaj powinni mieć małe narzędzia..."*

3.

Małe narzędzia — w zabawie i na serio. Wszystko zaplanowane, kontrolowane, od momentu poczęcia poprzez wychowanie poza rodziną, dorosłe życie aż po śmierć. *„Poprosimy Homera i innych poetów, żeby się na nas o to nie pogniewali, bo to nie dlatego, żeby one nie były poetyczne i niemile szerokim kołom do słuchania, ale im bardziej poetyczne, tym mniej się nadają do słuchania dla dzieci i ludzi dojrzałych"*.

Bo w wychowaniu młodzieży idzie o to, że *„mają nam wyrość strażnicy bogobojni i do bogów podobni — o ile to u człowieka możliwe — w najwyższym stopniu"*.

4.

Rzemieślnicy jako stan trzeci i najniższy, nie dążący do osiągnięcia doskonałości, pospólstwo, ani mądre, ani mężne, *„pożywienie będą robić, i wino, i ubrania, i buty. Pobudują sobie domy i latem będą pracowali przeważnie nago i boso, zimą ubrani i obuci"*.

Zadanie stanu trzeciego jest proste: ma obowiązek wytwarzać przedmioty materialne. Dozwolone mu przyjemności godne pospólstwa: *„będą popijali wino, wieńce mając na głowach i śpiewając na chwałę bożą, i rozkosznie obcowali ze sobą, nie robiąc dzieci ponad stan, bo będą się bali ubóstwa i wojny"*.

A jeśli się zdarzy dziecko ułomne, słabe lub po prostu *„niedozwolone"*, wtedy strażnicy z nadzoru małżeńskiego zabiorą je, zaniosą *„w takie miejsce, o którym się nie mówi"*, i *„położą tak, żeby nie było dla takiego pożywienia"*.

5.

Niedawno TV emitowała słynny film amerykański „1984", nakręcony według powieści G. Orwella pod tym samym tytułem. Wielki Brat, stojący na czele totalitarnego państwa, stosując terror psychiczny i fizyczny, przy pomocy armii strażników, zamienia obywateli w zbiorowisko bezwolnych kukieł. System, stworzony przez Wielkiego Brata zabiera człowiekowi wolę, myśl, pamięć, uczucie, nawet śmierć odziera z wszelkiej godności, zamieniając ją w akt pokory i wiernopoddaństwa. Ze wszystkich uczuć pozostawia jedynie nienawiść do wymyślonego zresztą przez siebie wroga; nienawiść jako jedyną motywację działania (poza działaniem na rzecz dobra systemu, oczywiście).

6.

Ta przerażająca wizja totalitaryzmu na mnie nie zrobiła wrażenia. Totalitaryzm (lub jak kto woli: totalizm) nie został wymyślony w dwudziestym wieku. Różni Wielcy Bracia na przestrzeni wieków przy pomocy siły swoich strażników usiłowali zamienić społeczeństwa — zawsze w imię najwyższych ideologii — w posłuszne stada, a przecież ludzkość trwa do dziś z tym wszystkim, co w niej złe, a co dobre i szlachetne; więc na koniec rozmyślam, że chociażby z tego powodu Papież mógł kanonizować Maksymiliana Kolbego, którego świętość nie polegała na robieniu cudów, ani na objawieniach. Świętość Kolbego wywodziła się wprost z człowieczeństwa — a tego nie potrafił Mu odebrać nawet Oświęcim, stworzony przez innego Wielkiego Brata.

EWA OSTROWSKA

FAKTY

Zdzisław Najder, przewodniczący Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie do współpracy w komitecie zaprosił Andrzeja Słowika.

W Zgierzu, przy NSZZ RI „Solidarność" ukonstytuował się Gminny Komitet Obywatelski.

Łódzkim oddziałem Izby Lekarskiej kieruje znany działacz „Solidarności" dr Marek Nalewajko.

Powołany 25 lutego 1990 roku Gminny Komitet Obywatelski z Ozorkowa został przyjęty do Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego.

Obywatelski Komitet Wyborczy będzie miał swój lokal przy ulicy Piotrkowskiej 39. Opłaty za czynsz i telefon wyniosą około 2 milionów złotych. Jeżeli czynsz będzie obliczany tak, jak dla organizacji politycznych, społecznych i stowarzyszeń, to wyniesie on około 600 tysięcy. W przeciwnym razie około miliona.

Senat amerykański wyasygnował około 700 tysięcy dolarów na rzecz rozwoju demokracji lokalnej w Polsce. Trwają zabiegi — także w Waszyngtonie — aby część tej kwoty trafiła do Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego, a nie tylko Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego.

W związku z tragiczną sytuacją łódzkiej służby zdrowia Okręgowa Izba Lekarska w Łodzi postanowiła spośród około pięciu tysięcy lekarzy pracujących w naszym mieście wysunąć własnych kandydatów do rady narodowej.

J.D.T.

MANIPULACJA?

Lokalny dodatek „Gazety Wyborczej" w Łodzi zamieścił dwie spore rozmowy: ze Zdzisławem Najderem i Bronisławem Geremkiem. Zadano im tzw. słuszne pytania. I na czasie, bo dotyczą zbliżających się wyborów do samorządu terytorialnego. A jednak odnoszę wrażenie, że zadano je tylko po to, aby uzyskać upragnioną odpowiedź — Komitety Obywatelskie mają prawo zachować nazwę „Solidarność". A właśnie w Łodzi toczy się o to spór. Ciekawe jest, co mieliby na ten temat do powiedzenia właściciele — związkowcy z łódzkiej „Solidarności". Ale im takiego pytania nie zadano. Na wszelki wypadek.

kof.

ŁDK

Jak poradzić sobie z kryzysem?

Jakie są szanse przetrwania i istnienia domów kultury, jakie są szanse największego z nich, Łódzkiego Domu Kultury.

Mówi ELŻBIETA KRAWIEC:

— ŁDK od dawna uzupełnia swój budżet dochodami z imprez, kursów, dyskotek i usług poligraficznych. Obecnie zamierza natomiast poszerzyć swoje oferty, a jednocześnie źródło dochodów o kolejne usługi min. w dziedzinie wykorzystywania techniki wideo.

Zlikwidowano działające ponad 20 lat studio nagrań, w którym przygotowywano audycje dla zakładowych rozgłośni i radiowęzłów. Zrezygnowano także z usług lalkarskich, krawieckich i scenograficznych, które wykonywane były dla zespołów amatorskich, szkół i przedszkoli. Pociągnęło to za sobą „cięcia" personalne i tym sposobem uzyskano również pewne pieniądze.

ŁDK będzie zmuszony także do podnoszenia opłat za imprezy i zajęcia. Ceny nie mogą być wygórowane, pracownicy ŁDK mają bowiem świadomość i liczą się z możliwością wystąpienia bariery popytu, ponieważ już teraz zmniejszyła się frekwencja na imprezach kulturalnych.

Teoretycznie istnieją jeszcze inne możliwości pozyskiwania pieniędzy na działalność. ŁDK może np. wchodzić w spółki. W rzeczywistości nie ma takich możliwości ze względu na brak funduszy, ponieważ przyznana dotacja wypłacana jest w systemie co najmniej miesięcznym i wystarcza tylko na płace. Również teoretycznie ŁDK może ubiegać się w Ministerstwie Kultury i Sztuki o dotacje celowe. I wreszcie również teoretycznie istnieje możliwość sponsorowania działalności ŁDK przez przedsiębiorstwa, instytucje czy osoby prywatne. Wiadomo jednak, że nikt obecnie nie spieszy z inwestowaniem w kulturę. Tak więc Łódzki Dom Kultury próbuje „pomóc sobie sam". Może liczyć tylko na własne siły.

ŁDK będzie współorganizatorem i gospodarzem mającego odbyć się w tym roku festiwalu szkół artystycznych, a także współorganizatorem pierwszego etapu międzynarodowego projektu teatralnego „Droga do Delf". Będą to na pewno ważne imprezy w życiu kulturalnym Łodzi, zasługujące na zainteresowanie i wsparcie finansowe mieszkańców i władz miasta.

Zanotowała:
BEATA K.

Lombard w Łodzi

Od czerwca ubiegłego roku działa w Łodzi Lombard - własność „EGIDY WESTY", spółki z o.o. Zajmuje on duże pomieszczenie przy ul. Nowotki 8, zaopatrzone w cztery pancerne szafy. W tej chwili - prawie pełne! Zatrudnia trzech pracowników z wykształceniem technicznym. I ochronę – strzegącą jego bezpieczeństwa przez 24 godziny na dobę.

— Na czym polega działalność Lombardu? — pytam jednego z pracowników, **KRZYSZTOFA JAGUSIAKA.**

— Udzielamy pożyczek pod zastaw ruchomości na okres 15, 30 i 60 dni. W momencie udzielania pożyczki Lombard pobiera opłaty za przechowanie zastawionej ruchomości. Wysokość opłat zależy od deklarowanego terminu spłaty i jest ustalona procentowo w stosunku do wartości udzielonej pożyczki. Wynosi: za pierwsze 15 dni — 20 proc., a potem za każde 30 dni — 30 proc. W przypadku wcześniejszego zwrotu, rachunek rozliczany jest na korzyść klienta. Pożyczki udzielamy w wysokości 75 proc. wartości szacunkowej przedmiotu.

— Co można u was zastawić?

— Przyjmujemy pod zastaw sprzęt RTV, audiowizualny, fotooptyczny, drobny sprzęt AGD, maszyny oraz walory dewizowe. Na dzień dzisiejszy przyjmujemy dolary USA, australijskie, kanadyjskie, franki francuskie i szwajcarskie, funty angielskie oraz DM. Wypłacamy 75 proc. od kwoty 9 tys.

— Jakich przedmiotów pod zastaw nie przyjmujecie?

— Nie przyjmujemy złota, zegarków, garderoby, dzieł sztuki, samochodów i nieruchomości. Mamy zamiar poszerzyć zakres naszych usług, już wkrótce będziemy przyjmowali wyroby ze złota, a później — antyki.

— Jaka była najdroższa rzecz, którą przyjęliście pod zastaw?

— Najwyższa pożyczka, jakiej do tej pory udzieliliśmy to 5 mln złotych, pod zastaw ośmiu maszyn — stebnówek „Minerwa". Wartość zastawionego przedmiotu nie może być mniejsza niż 135 tys. zł. Ludzie przynoszą nam tu różne rzeczy. Ostatnio mieliśmy propozycję wzięcia pod zastaw Orderu Lenina z pełnym kompletem dokumentów. Order wykonany był ze złota i platyny, wysadzany rubinami. Z propozycji tej nie skorzystaliśmy — choćby dlatego, że — jak już mówiłem — wyrobów ze złota nie przyjmujemy. Nie byliśmy również zainteresowani rzeźbionym kłem słonia, ani też pudełeczkiem ze złotych zębów. Z przymrużeniem oka potraktowaliśmy propozycję pewnego polskiego „biznesmena", który usiłował zastawić u nas szyby naftowe znajdujące się w Związku Radzieckim...

— Czy wszyscy klienci wykupują zastawione rzeczy?

— W większości tak. A jeśli nie — wówczas przedmiot przechodzi na własność naszej firmy i zostaje sprzedany. Dajemy oczywiście jeden dzień rękojmi na wykup w przypadkach losowych. Zawsze istnieje przecież możliwość przedłużenia umowy. Można tego dokonać wpłacając określoną kwotę. Czasem zdarza się, że klient przychodzi po odbiór zastawionego przedmiotu z kilkudniowym czy kilkunastodniowym opóźnieniem. Jeśli ów przedmiot jest jeszcze u nas, nie został do tej pory sprzedany — jego były właściciel ma prawo pierwokupu, oczywiście po cenie znacznie wyższej, ustalonej przez nas.

— Czy obowiązuje was tajemnica zawodowa?

— Oczywiście. Lombard zobowiązuje się do zachowania tajemnicy dotyczącej treści umowy w zakresie danych personalnych z wyłączeniem jednak przypadków, gdy żądanie ujawnienia pochodzi od sądu lub prokuratury. Lombard ma również prawo niezawierania umów bez podania przyczyn.

Zanotowała:
MARZENA MRÓZ

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

GDZIE ZOSTALI POCHOWANI?

Po ukazaniu się w „Odgłosach" w 1989 r. „Ballady o Jędrusiu" kilka osób zwracało się do mnie, czy przypadkiem nie zetknąłem się w więzieniach (Kielce, Rawicz, Sztum i Gdańsk) z ich bliskimi. Chodzi o tych, którzy torturowani w czasie śledztwa zmarli, zostali straceni na podstawie wyroków lub zmarli w czasie odbywania kary. Rodziny chcą się dowiedzieć, gdzie spoczywają ich bliscy. Wątpię, aby zachowały się jakieś ślady, gdzie spoczywają ich ciała, a mordercy się nie przyznają.

Pragnę opisać jeden wypadek wykonania wyroku śmierci w 1945 r. w Wojewódzkim UB w Kielcach, który dzięki zbiegowi okoliczności udało mi się dość dokładnie poznać.

Po rozprawie sądowej 29 i 30 czerwca 1945 r., która odbyła się w siedzibie Wojewódzkiego UB przy ul. Focha w Kielcach, przewieziono nas, kilkanaście osób skazanych na śmierć, do więzienia przy ul. Zamkowej. (Podaję ówczesne nazwy ulic). Po około 10 dniach od chwili rozprawy sądowej, około godziny 10, wywołano z celi jednego skazańca. Po kilku minutach dowiedzieliśmy się, że został ułaskawiony na 10 lat i jest w celi wyrokowych. Wieczorem tego samego dnia, już po apelu, wywołano następnego skazańca i w kilka minut po tym słychać było serię strzałów z pistoletu maszynowego. Prawdopodobnie wyrok wykonano w więzieniu. Nie będę opisywał, jakie było nasze samopoczucie, kiedy czekaliśmy, kto będzie następny.

Sądził nas Sąd Wojskowy i w związku z tym podania o łaskę pisaliśmy do Naczelnego Dowódcy Michała Roli-Żymierskiego. Jak się później okazało, odpowiedzi na nasze podania przychodziły sukcesywnie co kilka dni. Zasada była taka, że jak rano ktoś został ułaskawiony, to wieczorem zabierano kogoś na śmierć. Wreszcie z tych kilkunastu skazanych na śmierć zostało nas pięciu. Rano zabierają trzech do ułaskawienia, zostajemy dwaj i jesteśmy przekonani, że wieczorem już będziemy „wąchać trawę od spodu". Tym bardziej, że około godz. 12 przyszedł zastępca (bardzo porządny człowiek, nazwiska nie pamiętam, wkrótce zwolniony ze służby więziennej) i powiedział nam, że w innej celi siedzi dwu z karą śmierci z późniejszej rozprawy sądowej. Oświadczył, że tamci siedzą za współpracę z okupantem, wobec czego byłoby ujmą dla nas, gdyby siedzieli w jednej celi z nami. Po paru godzinach dwaj za współpracę, weszli do naszej celi. Za chwilę przyszedł zastępca i powiedział, że to jest decyzja UB i on nic na to nie może poradzić. Oczywiście, ci dwaj nie wiedzieli, o co tu chodzi. Za dwa dni do naszej celi wchodzi jeszcze jeden z karą śmierci z następnej rozprawy. Jest nas znowu pięciu, z tym że dwaj czekamy już kilka tygodni.

W sierpniu 1945 oddział „Szarego" — Antoniego Chedy rozbił więzienie w Kielcach. Nie uwolnił swoich dwu braci, jeden zatłuczony w czasie śledztwa, drugi siedzi w piwnicach UB przy ul. Focha. My z naszej celi nie wychodzimy, drzwi zostały wyłamane, ale w drzwiach naszej celi była olbrzymia żelazna krata. Oddział „Szarego" nie zdobył kluczy do krat.

Rano, całą naszą piątkę przewieziono do UB przy ul. Focha. Umieszczono nas w piwnicy od strony ulicy. Okno równo z ziemią, zabite blachą, w której jest masę otworków celem dopływu powietrza. Dniem i nocą świeci się światło. Pewnego dnia wartownik wywołuje z naszej celi ppor. Konrada Suwalskiego. Stajemy przy oknie i przez otworki w blasze obserwujemy ulicę. Z bramy wyjechał samochód osobowy, w którym siedział kierowca „Rudy Kwasek" (oficer śledczy — niesamowity sadysta) oraz ppor. Konrad Suwalski. Po upływie około 30 minut wchodzi z powrotem do naszej celi — Suwalski. Opowiada, że „Rudy Kwasek" zawiózł go przed więzienie i kiedy naczelnik wyszedł do bramy, kazał go do rana zamknąć w więzieniu. Naczelnik nie zgodził się tłumacząc, że drzwi jeszcze nie wyremontowane, może uciec i kto będzie odpowiadał. W czasie opowiadania zastanawiałem się, jak należało reagować. Pytam więc Konrada Suwalskiego:

— *Skuty pan był?*
— *Nie.* — odpowiada.
— *Rudy miał pistolet maszynowy?*
— *Nie, chyba miał zwykły pistolet, ponieważ cały czas trzymał prawą rękę w kieszeni.*
— *To na co pan czekał?*
— *A co miałem robić?*
— *Rąbnąć pięścią między oczy i uciekać. Przecież już jest szarówka, więzienie usytuowane jest w parku, są drzewa, krzewy i była szansa. W najgorszym wypadku wyrok byłby wykonany parę godzin wcześniej.*

Całą noc leżał na betonie obok mnie i nie mógł się pogodzić z tym, że nie wykorzystał ostatniej okazji.

Konrad Suwalski prosił mnie, jeżeli przeżyję, abym powiadomił jego siostrę, jaki los go spotkał. Niestety nie uczyniłem tego, ponieważ po moich przeżyciach i dziesięcioletnim pobycie w więzieniu, zapomniałem już adres.

Następnego dnia, wczesnym rankiem ciężarowy samochód zatrzymał się obok naszego okna. Za chwilę wartownik zabrał Konrada Suwalskiego. Obserwujemy przez okno ulicę. Po chwili wychodzi z bramy Suwalski, za nim dwaj wartownicy z pepeszami, oraz „Rudy Kwasek" z pistoletem w ręku. Samochód bez plandeki, tylna klapa puszczona. Suwalski wchodzi na skrzynię samochodu, wartownicy zarzucają pepesze na ramię i z dwu stron podnoszą klapę, aby ją zamknąć. Suwalski skacze na ziemię i zaczyna uciekać. Aby uciec z pola strzału, skręca w najbliższą ulicę. Tu zderza się z patrolem UB, który wracał z nocnego obchodu miasta. Zostaje przyprowadzony do samochodu, ręce związano mu drutem, wrzucono na skrzynię i wraz z „Rudym Kwaskiem" i dwoma wartownikami samochód odjechał.

Nocną służbę na korytarzu w piwnicach UB pełnił strażnik, który rano zabierał ppor. Konrada Suwalskiego. Przy wydawaniu kolacji podszedłem po moją porcję ostatni i przeprowadziłem z tym wartownikiem następującą rozmowę:

— *Kiedy nas tak wykończycie?*
— *A za co siedzicie?*
— *Za AK.*
— *To was nie, bo my tylko likwidujemy żandarmów i gestapowców.*
— *A rano zabrał pan akowca?*
— *Nieprawda, to był gestapowiec.*
— *Niech pan w to nie wierzy, to był oficer AK.*
— *A nam mówią, że to są żandarmi i gestapowcy.*
— *Niech pan w to nie wierzy.*

Następna sprawa dotyczy więzienia w Rawiczu.

Wczesną wiosną 1946 r. wyszliśmy jako pierwsza grupa na plac spacerowy obok czerwonego pawilonu. Obok ścieżki spacerowej wystawała ludzka ręka, odkopana przez psy, które biegały w nocy po placu. Wszyscy przechodzący więźniowie patrzyli w tym kierunku. Strażnik prowadzący spacer, kiedy się zorientował natychmiast odprowadził nas do cel więziennych. Następnego dnia, kiedy wyszliśmy na spacer, ręki już nie było widać, ziemia była wyrównana. Razem ze mną siedział prawnik z Krakowa, o nazwisku Korwin-Piotrowski. Po powrocie ze spaceru powiedział:

— *Panowie! Ktokolwiek z nas przeżyje, pamiętajcie, aby o tym, co widzieliśmy zameldować, gdzie należy. Moim zdaniem teren ten należy przekopać, być może ziemia ta kryje nieznane ciała ludzi niewinnie pomordowanych.*

W „Polityce" nr 1 z 6.I.90 r. w rubryce „Listy do Redakcji", p. Franciszek P. z Gdańska pisze, że znajoma jego, pani W. wiosną 1950 r. widziała jak czterech żołnierzy przywiozło samochodem trumnę przed cmentarz rakowiecki w Krakowie. Na trumnie tej zobaczyła tabliczkę z napisem „Kazimierz Pużak". Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Kazimierz Pużak po procesie „szesnastu" w Moskwie, po powrocie do kraju został aresztowany, osądzony ponownie i odbywał karę w więzieniu w Rawiczu. W czasie spacerów pozwolono mu, aby chodził osobno, gdyż nie nadążał w marszu w tak zwanym „kółku", gdzie chodzili inni więźniowie. Spacerował więc osobno wzdłuż budynku. W pewnym momencie zasłabł i w niedługim czasie zakończył życie. Śmierć ś.p. Kazimierza Pużaka nastąpiła jeszcze w tym czasie, kiedy władze więzienne nie pozwoliły zabierać zwłok swoich bliskich. Trudno sobie wyobrazić, aby ówczesne władze zadały sobie tyle trudu, aby ciało ś.p. Kazimierza Pużaka transportować z Rawicza aż do Krakowa.

W czasie mojego pobytu w Rawiczu w białym pawilonie od strony podwórza, niejednokrotnie widziałem przez okno jak dwaj starsi wiekiem więźniowie wywozili trumny ze zwłokami. Według krążących wówczas pogłosek w więzieniu, trumna ta miała spód na zawiasach z zasuwą. Więźniowie trumnę trzymali nad dołem, strażnik odmykał zasuwę, zmarły wpadał do dołu, a trumna wracała po następnego nieboszczyka. Bardzo wątpię, aby ktoś prowadził jakąkolwiek ewidencję, czyje zwłoki spoczywają, w którym miejscu.

W późniejszym czasie rodziny mogły zabierać zwłoki swoich najbliższych.

STANISŁAW WIĄCEK

ŚMIERĆ POETY

Zmarły 8 grudnia 1989 w Warszawie Marian Piechal został pochowany na cmentarzu łódzkim na Zarzewie. W odczuciu wielu czytelników bibliotek publicznych w Łodzi Marian Piechal był najwybitniejszym obok Juliana Tuwima poetą łódzkim. Łódzkim nie dlatego, iż związany z Łodzią do r. 1968, ale poprzez „łódzką tematykę", którą odnajdywali w Jego zbiorach wierszy. Odnajdywali także w 20 Piechalowych zbiorach poezji dedykacje dla łódzkich pedagogów; p. Stefanii Skwarczyńskiej, p. Janinie Gastmanowej, p. Wandzie Kosińskiej-Lorentzowej. W pięknie wydanym w 1976 r. przez Wydawnictwo Łódzkie poemacie „Ogień i popiół" zwraca uwagę dedykacja „Michałowi Kunie i Łódzkim bibliofilom autor".

Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego zorganizowała 3 czerwca 1980 r. Wieczór Jubileuszowy Mariana Piechala i wydała przy współpracy Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki piękny druk bibliofilski „Motyw Księgi w poezji Mariana Piechala" — Ziemowita Skibińskiego dedykowany *„Marianowi Piechalowi w czas siedemdziesięciopięciolecia i półwiecza twórczości poety"*. Z tej okazji w kronice Biblioteki widnieje wpis: *„W serdecznej podzięce Bibliotece im. L. Waryńskiego, jej personelowi i najżyczliwiej mi bliskiemu przyjacielowi Romanowi Kaczmarkowi"*.

Śmierć poety uczciły wszystkie większe biblioteki sieci, z MBP na czele, wystawami autorskimi, eksponując często biogram poety ze słownika Tadeusza Błażejewskiego „Współczesna Łódź literacka". A co prasa łódzka? Obok 2 skromnych nekrologów mały artykuł Henryka Pustkowskiego w „Odgłosach" (nr 1), a w „Kalejdoskopie" Marian Piechal na rysunku satyrycznym, daty biograficzne i fragment wiersza „Wyznanie". Cieszy więc wiadomość podana w Kronice „Odgłosów", iż Muzeum Historii Miasta Łodzi planuje otwarcie ekspozycji literackiej poświęconej spuściźnie po Marianie Piechalu.

IZABELA NAGÓRSKA

ODPOWIADAMY PRASIE I CYKLISTOM

Po jakże efektownym wniosku p. Konrada Turowskiego („Odgłosy" nr 10), że *„wszystkiemu winna jest prasa i cykliści"*, zabieramy raz jeszcze głos w sprawie księgozbioru złożonego w Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Śródmieście.

Zespół, któremu tak przygania Polemista, przyszedł zaproszony 24 stycznia 1990 r. do magazynu książek, obejrzał je i napisał, co widział tego dnia, nie wnikając w okoliczności towarzyszące powstaniu nienormalnego stanu prawnego zbioru zdeponowanego w Urzędzie. Nie broniliśmy aktu bezprawia, nikogo też nie oskarżaliśmy, bo nas do tego nikt nie upoważnił: ani właściciel zbioru, ani jego tymczasowy dozorca, ani tym bardziej żaden cyklista, nie mówiąc już o redaktorze Konradzie Turowskim. Dziennikarze i cykliści łatwo zapominają, że nie każdy zespół bywa kompromitujący, boć przecież i teraz dla dobra Pospolitej Rzeczy tyle działa różnych zespołów i innych gremiów przedstawicielskich. Nie wiemy, od kogo pobierał nauki nasz Adwersarz w zakresie przyklejania etykiet, ale jak widać umiejętność tę posiadł doskonale.

Uważamy po prostu, że komisja, podejmując się charakterystyki księgozbioru, nikomu nie ubliżyła, nikogo nie zelżyła, dziwi więc iście dobry smak Autora, tak dosadnie swój niesmak wyrażającego. *„Zdarzenie błahe na pozór"*, jakby powiedział Julian Tuwim o notatce p. Konrada Turowskiego, ma o tyle wartość, że autorzy zbyt słabo uprzednio wyartykułowali tę trudność, której zespół od początku był świadom — barierę językową. Nie kryjąc tego zespół pozostawił (gdyby zaszła taka potrzeba) wyrokowanie o rzeczywistej wartości merytorycznej zbioru znawcom przedmiotu — hebraistom. Natomiast z tekstu p. Konrada Turowskiego wynika, że niektórzy dziennikarze, cykliści i on sam nie wiedzą, że na zespół cech określających materialną wartość ksiąg składa się jeszcze coś więcej niż zawarta w nich treść. Zainteresowanych tą problematyką odsyłamy do odpowiedniej literatury dostępnej nie tylko w obydwu łódzkich bibliotekach naukowych. Myślimy też, że zarówno uczony jak i bibliotekarz z plemienia Bongo (jeśli nie są cyklistami) z równym jak my szacunkiem odnieśliby się do ksiąg, nawet gdyby nie znali alfabetu łacińskiego. Natomiast szacunek dla innych ludzi jest cechą osobowości, obcą naszemu Polemiście.

Bibliotekarze zawsze ratowali książki przed grożącą im zagładą, nie są jednak w stanie odpowiadać za ich eksmisję z mieszkania podczas nieobecności właściciela. To oni przed laty wyrywali dosłownie książki z rąk hitlerowskich i ubeckich „krzewicieli kultury", to oni ostatnio chomikowali w zakamarkach bibliotek bezdebitowe wydawnictwa emigracyjne i publikacje wydawane poza zasięgiem cenzury przed i po 13 grudnia 1981 r. Tym bardziej więc czuli się zobowiązani do stwierdzenia stanu przechowywania kolekcji *„ważniejszej zapewne dla kultury żydowskiej aniżeli polskiej"*. W swoim oświadczeniu powiadomiliśmy opinię publiczną, właściciela zbioru, a pośrednio i naszego Adwersarza, że tymczasem dostojnym księgom nic złego nie grozi. Nie ukrywaliśmy, że właśnie ze względu na barierę językową zbiór nie byłby (nawet gdyby zaistniała taka możliwość) interesujący dla obydwu reprezentowanych w zespole bibliotek. Opinia złożona w Urzędzie szerzej określa stosunek zespołu do tych kwestii.

Mogą nam mieć za złe przedstawiciele prasy, że wykazaliśmy troskę jedynie o bezpieczeństwo zbioru, który w sposób niegodny wymknął się spod kontroli właściciela. Przyczynami skandalu niech zajmie się ten, kto jest do tego powołany. Niech spali się ze wstydu ten, dla kogo doszło do wywłaszczenia prywatnego mienia. Nam — bibliotekarzom — zostawcie panowie dziennikarze i cykliści, prawo do wypowiadania się w sprawach książek i innych materiałów bibliotecznych. Dodamy tylko, że różnica pomiędzy nauką a publicystyką jest taka, że ta ostatnia zbyt często kieruje się emocjami.

JERZY ANDRZEJEWSKI, ANDRZEJ KEMPA

ZOSTAŁO JESZCZE 10 MIESIĘCY

Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miasta Łodzi przypomina, że 31 grudnia 1990 r. mija termin składania wniosków o zaliczanie wartości mienia nieruchomego pozostawionego za granicą (obecnie tereny Białoruskiej, Litewskiej i Ukraińskiej SRR) dla repatriantów, którzy powrócili do kraju przed 23 maja 1957 r. Prawo do zaliczenia wartości mienia przysługuje jego właścicielowi lub spadkobiercom.

Osoby zainteresowane winny wystąpić z wnioskiem o zaliczenie wartości mienia nieruchomego pozostawionego za granicą **z terenu m. Łodzi do Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami wspólnego dla wszystkich dzielnic m. Łodzi, ul. Solna 14, tel. 32-53-85**, z pozostałych terenów województwa łódzkiego do wydziałów lub referatów geodezji i gospodarki gruntami terenowych organów administracji państwowej stopnia podstawowego.

W razie niezłożenia wniosku do 31 grudnia 1990 r. uprawnienia wygasają.

ROZSTRZYGNIE SĄD

Nawiązując do artykułu Bogumiła A. Makowskiego zatytułowanego „Dlaczego nie można zbudować domu?" zamieszczonego w nr 3 „Odgłosów" z 4 lutego 1990 r. — zawiadamiam, że sprawa budowy domu przy ul. Szpaczej nr 8a w Łodzi — będąca przedmiotem artykułu — została zakończona ostateczną decyzją nr 108/89 z 13 listopada 1989 r. Wydziału Architektury i Urbanistyki Urzędu Miasta Łodzi. Na powyższą decyzję — strony w sprawie tj. Barbara Łuczyńska-Zatorska i Janusz Zatorski — wniosły skargę do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie.

Wydział Architektury i Urbanistyki Urzędu Miasta Łodzi przekazując skargę do NSA nie znalazł podstaw do zmiany bądź uchylenia wydanej decyzji. O tym zaś czy zaskarżona decyzja jest zgodna z prawem czy też nie — ostatecznie rozstrzygnie orzeczenie Naczelnego Sądu Administracyjnego.

inż. ZBIGNIEW LEWANDOWSKI
(Zastępca naczelnika dzielnicy Bałuty)

FLAKI U „WITUSIA"

W garmażeryjnych sklepach PSS „Społem" są flaki po 9 tys. zł/kg. Jest to danie gotowe do spożycia po podgrzaniu i ewentualnym przyprawieniu do smaku; w cenie zawarta jest już marża detaliczna. W barze „Wituś" u zbiegu ul. Gabriela Narutowicza i Stefana Kopcińskiego też można dostać flaki, bez przypraw za to w cenie 4131 zł za porcję 200 g. Oto recepta na biznes: wystarczy kupić za 1800 zł w sklepie, a już się jest do przodu o 2331 zł. I więcej, ponieważ można kupować u producenta. Jeszcze bardziej do przodu jest się szafując kranówką — jak flaki w „Społem" są w miarę zawiesiste, tak flaki u „Witusia" są wodniste.

Inne dania u „Witusia" są też „słone" (chociaż soli z mikroelementami tam nie ma). Zgłodniałym sugeruję omijać „Witusia", nadłożyć trochę drogi i pożywiać się w stołówkach akademickich przy ul. Kopcińskiego, Buczka, Nowotki, ostatecznie u „Sindbada", parę kroków od „Witusia". „Sindbad" nie jest najtańszy, ale serwuje dobrze przyprowione dania orientalne, na tackach i ze sztućcami jednorazowego użytku. Stołówki zaś akademickie oferują dobre obiady za „grosze". Zdzierców gastronomicznych trzeba tępić, aby wreszcie móc coś zjeść.

J. S. KNYPL

KOMUNIKATY, OŚWIADCZENIA, STANOWISKA

Łamy codziennych gazet pełne są różnych komunikatów, oświadczeń, stanowisk, protestów. Ich kopie docierają do „Odgłosów". Nie możemy publikować tych tekstów natychmiast, poza tym nie zawsze jest sens powtarzać je po prasie codziennej. Z dziennikarskiego obowiązku powinniśmy je odnotować. Służyć temu będzie niniejsza rubryka.

I tak:

Otrzymaliśmy **„List otwarty"** do marszałków Sejmu i Senatu RP grupy funkcjonariuszy SB WUSW w Łodzi, którzy protestują przeciw stosowaniu odpowiedzialności zbiorowej i przedstawianiu ich **„jako grupy wykolejeńców i przestępców"**, gdyż działają **„w oparciu o obowiązujące prawo"**, o którym nie decydowali.

Zarząd Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy RP przesłał protest przeciwko posądzeniu, iż „dysponował listami weryfikacyjnymi z 1982 roku". Protest adresowany był do **Łódzkiego Ośrodka Telewizji Polskiej.**

Mgr BRONISŁAWA ROGOZIŃSKA zawiadamia wszystkich za naszym pośrednictwem i tych gazet, które jej protest opublikowały, że rezygnuje z funkcji ławnika **Sądu Rejonowego w Łodzi.** Jej decyzja jest protestem przeciw orzeczeniu SN, który skazał M. Trynkiewicza na 25 lat pozbawienia wolności. Jej zdaniem jest to **„naigrawanie się z elementarnych zasad ludzkiej sprawiedliwości oraz tragedii matek i ojców bestialsko pomordowanych dzieci".**

Pan **KAZIMIERZ ZYSKOWSKI z Kutna** znalazł w nr **2** „Konfrontacji" stwierdzenie: „Poglądy prezentowane również w tym miejscu nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji". Jego zdaniem: „nie muszą i nigdy nie powinny być zgodne. Pismo istnieje dla autorów, a nie dla redakcji". Nie komentujemy. Ale gwoli prawdy warto pamiętać, że Adam Michnik z trybuny sejmowej, odpowiadając na zarzut jednego z posłów, że nie wydrukował pełnego tekstu jego listu, odpowiedział, że nigdzie na świecie nie ma takiego pisma, które drukowałoby wszystko, co autorzy napiszą i im przyślą.

Szef zespołu ekologicznego Towarzystwa Przyjaciół „Powściągliwość i Pracy" w Łodzi — B. PORWISIAK przesłał nam protest przeciwko tym ekologom, którzy domagają się „natychmiastowej likwidacji lunaparku na Zdrowiu". Ekolodzy z TP „PiP" w Łodzi do nich nie należą. Mają swoją koncepcję, ale **nikt ich o to nie pytał.** W związku z tym — pisze — ż ą d a m y ujawnienia się tych bojowych „ekologów". W przeciwnym wypadku sprawę należy uznać jako nieporozumienie i błąd w sztuce dziennikarskiej".

Sprawa Pałczewa w sądzie — Komu dać parki?

Pokochajmy środowisko!

Jak powiedział Bogusław Porwisiak, problem Pałczewa istnieje już od 14 lat i przypomina kręcenie się wokół własnego ogona. Bezsilni w walce z władzami rolnicy zwrócili się o pomoc do Zespołu Ekologicznego. Odbyły się spotkania, wizje lokalne. Rozgoryczeni chłopi nie chcieli już rozmawiać z urzędami i upoważnili „Powściągliwość i Pracę" do wystąpienia do sądu w tej sprawie.

Problem był już bliski rozwiązania jakiś czas temu, ale polubowny projekt zakończenia sporu został podobno storpedowany przez byłego wiceprezydenta Łodzi Stanisława Żałobnego. Zdaniem B. Porwisiaka, nieufność rolników jest uzasadniona, jest jednak nadzieja, że konflikt zostanie zażegnany, gdyż obecny wiceprezydent Grzegorz Palka jest żywotnie zainteresowany jego zakończeniem, zdaje sobie bowiem sprawę, czym to może grozić w przyszłości.

28 lutego 1990 r. odbyło się pierwsze posiedzenie, na którym sąd rozeznał sprawę. Dużo uwagi poświęcono wydatkom, które już „utopiono" w wysypisku. 800 mln zł pokryło podobno koszty betonowego płotu, wyrównania terenu i wodociągu (który jest tam już od 20 lat). Wiele pieniędzy pochłonęły kilogramy dokumentacji. Kontrowersyjna okazała się odległość wysypiska od źródeł Wolbórki. Sąd został poinformowany o 2,5 km, mieszkańcy Pałczewa utrzymują, że wynosi ona tylko 300 m.

Według relacji B. Porwisiaka sąd polecił uzupełnić dokumentację. MPO ma dostarczyć stosowne analizy z biur geodezyjnych i komunalnych. Na sali sądowej rozpatrywano również udział „Anilany" w układzie eksploatacji wysypiska. Potrzebna będzie analiza dotycząca odpadów I stopnia stwarzających zagrożenie dla środowiska oraz eliminacja ścieków. „Anilana" asekuruje się twierdząc, że nie jest jedynym „dostawcą" ścieków, współudziałowcami są m. in. GS i „Transmlecz". Konflikt trwa.

Druga sprawę którą podjął ZE „Powściągliwości i Pracy" jest próba rozbicia monopolu Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego. W Zespole z przerażeniem obserwują poczynania ŁPO na terenie miasta i nie wahają się nazwać ich ekologicznym sabotażem. Na skutek interwencji ludzi, powołano komisję, która dokonała przeglądu parków oraz zieleńców i potwierdziła ten stan rzeczy.

Jak stwierdził B. Porwisiak: — **ŁPO szaleje, rzuciło się na wycinanie i koszenie, robi pieniądze gdzie się da.** Zdaniem ekologów sposób uzdrowienia sytuacji jest jeden — trzeba zlikwidować monopol ŁPO. Nie jest to jednak zadanie proste, ponieważ nomenklaturowe powiązania są jeszcze bardzo silne.

Obecnie na terenie Łodzi są dwa parki oddane pod opiekę prywatną — park 3 Maja i park im. Worcella. ZE „Powściągliwości i Pracy" uznał, że jest to idealne rozwiązanie. Niedługo w dzielnicowych urzędach braknie pieniędzy, trzeba więc działać szybko. Wycelowano w Śródmieście jako obszar najbardziej prestiżowy i eksponowany. Zastępca naczelnika dzielnicy Aleksander Sowa prawie zaakceptował projekt przejęcia śródmiejskiej zieleni z rąk ŁPO pod prywatny zarząd, niestety na drugim spotkaniu, już w szerszym gronie ekspertów, wycofał się. W zamian zaoferował jeden pasaż albo zieleniec — na próbę. ZE uznał to za jawną obronę ŁPO, a naczelnik nawet nie zaprzeczył.

Na Widzewie są zadowoleni z wyglądu parku 3 Maja, więc naczelnik Andrzej Krawczyk nie widzi przeszkód, żeby zieleń w całej dzielnicy pielęgnowało prywatne przedsiębiorstwo. B. Porwisiak ma nadzieję, że na Widzewie dotrzymają obietnicy. Problem w tym, że trudno znaleźć chętnych do opiekowania się miejską zielenią. W momencie podjęcia decyzji o oddaniu widzewskich terenów zielonych w ręce prywatne ZE „Powściągliwości i Pracy" ma wskazać odpowiednią firmę, która by podjęła się tego zadania. Gdyby nie było odpowiedniego kandydata, ekolodzy obiecują uruchomić własną ekipę.

MONIKA MATUSZAK

WYSOKIE CZYNSZE

Nikt już nie zaśpiewa o małym mieszkanku...

— *To skandal!* — mówi starsza kobieta — *Za 42 m² płacę 63 tys. zł! Mieszkam sama. Dostaję 160 tys. emerytury. Jak tu wyżyć?!*

— Ja muszę pobrać bony — dodaje jej rozmówczyni — żeby zapłacić komorne. Mieszkam na Retkini. Za 53 m² płacę 95 tys.!

Takie rozmowy można usłyszeć wszędzie. W sklepie, tramwaju, na ulicy. Padają zarzuty pod adresem spółdzielni mieszkaniowych, że nie robią nic, aby obniżyć czynsze, że nie dbają o interesy swoich członków. Spółdzielnie bronią się przed tymi zarzutami. Uważają, że robią wszystko, aby obniżyć koszty. Ale niestety niewiele zależy od nich samych. Ceny windują inni.

Odwiedziłem dwie łódzkie spółdzielnie mieszkaniowe, by wyjaśnić w jaki sposób ustalone są tak wysokie czynsze. Spółdzielnia „Osiedle Młodych" obejmuje około 12 tys. mieszkań na Dąbrowie, Karolewie, Osiedlu „Pojezierska", Kopernika, przy ul. Pienistej. W tym roku ze względu na rosnące ceny ujednolicono tam stawki za m² (do tej pory różnice między poszczególnymi osiedlami wynosiły 30—20 zł za m²). Ci, którzy mieszkają w wieżowcu płacą 1500 zł za m², a w pozostałych budynkach 1300 zł za m². Na sumę tę składa się opłata w wysokości 110 zł za eksploatację i remont wind, ustalana przez Miejskie Przedsiębiorstwo Remontów Dźwigów oraz 390 zł za dopływ ciepłej wody i centralne ogrzewanie, określone przez Ministra Finansów. Pozostałą kwotę stanowi tzw. stawka eksploatacyjna, która w tej spółdzielni wynosi 1000 zł. Składają się na nią: 150 zł odpisu na remonty węzłów hydrofonicznych, malowanie klatek schodowych, konserwacje różnych instalacji itp., 115 zł ustalone przez MPO za wywóz nieczystości, 335 zł za zimną wodę i odpływ ścieków (określą tę kwotę Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi), 10 zł za energię elektryczną potrzebną do oświetlenia klatek, budynków itp., 15 zł, za opłaty lokalne i podatek od nieruchomości, 1 zł z tytułu opłat za użytkowanie terenu, 6 zł pochłaniają koszty lokalu, zarządu, adm., rad osiedla, 158 zł wynagrodzenia pracowników (zatrudnionych jest w sumie 215 osób na administrowane 233 budynki), a 30 zł stanowią koszty zarządu i administracji osiedla.

Spółdzielnia „Osiedle Młodych" znajduje się w o tyle dobrej sytuacji finansowej, iż udało się jej przed końcem roku 1989 uregulować w zasadzie wszystkie zobowiązania. Z wyjątkiem 375 mln zł, które stanowią kredyt lokatorski tych członków spółdzielni, którzy nie wykupili mieszkań na własność (jest ich około 5 tys.).

— *Są to w większości ludzie starzy, emeryci i zagubieni* — mówi prezes „Osiedla Młodych" — Edward Zając. — *Dlatego postanowiliśmy im pomóc. Spółdzielnia wykupi za nich ten kredyt, aby uchronić ich od płacenia bardzo wysokich odsetek.*

Spółdzielnia będzie chciała otrzymać te 375 mln z powrotem. Ludzie ci będą spłacać tę kwotę po 500—1000 zł, w zależności od możliwości, bez naliczania odsetek, które liczono by w tysiącach.

Inna sytuacja jest w największej łódzkiej spółdzielni mieszkaniowej RSM „Polesie". Tam płaci się najdrożej.

— *Tak jest rzeczywiście* — tłumaczy prezes Jerzy Izbiński. — *Ale za parę miesięcy może okazać się, że właśnie u nas płaci się najtaniej. Okazuje się bowiem, że gdy inne spółdzielnie znając tylko szacunkowe ceny za wodę, wywóz śmieci itp. ustaliły swoją stawkę eksploatacyjną na 1000 zł, RSM „Polesie" poczekała kiedy ceny zostały ustalone i urealniła swoje stawki. Tak więc kiedy inne spółdzielnie będą drastycznie podnosiły czynsze, RSM „Polesie" nie będzie musiała tego robić.*

RSM „Polesie" dysponuje około 27 tysiącami mieszkań na osiedlach im. M. Reja, M. Fornalskiej oraz osiedlach retkińskich. Stawki eksploatacyjne ustalane są osobno dla każdego z osiedli. Od roku, pięć osiedli retkińskich (Retkinia „Piaski", „Śródmieście", „Zagrodniki", Północ, Południe) znajduje się na pełnym wewnętrznym rozrachunku. Czynsze ustala się tu na podstawie faktycznie poniesionych kosztów. Dla poszczególnych osiedli retkińskich wyznaczono następujące tzw. stawki eksploatacyjne (nie licząc opłat za windę, CD, CW, i spłaty kredytu) „Piaski" — 1235 zł za m², „Śródmieście" — 1215 za m², „Zagrodniki" — 1335 zł za m², „Południe" — 1415 zł za m² i „Północ" — 885 zł za m² plus.... No właśnie....

Na tym osiedlu eksperymentalnie ustalono, że opłaty za zimną wodę i odprowadzenie ścieków nie będą liczone za m², ale zależeć będą od ilości zameldowanych osób. Tak więc za każdą „duszę" trzeba płacić po 7800 zł miesięcznie.

RSM „Polesie" uważa, że robi wszystko, żeby czynsze były jak najtańsze. Ostatnio stwierdzono, że bardzo dużym obciążeniem są gospodarze domów. I nie chodzi tu o samo ich wynagrodzenie. Ale przede wszystkim o zajmowane przez nich lokale służbowe. Koszty ich remontów. Toteż, jeśli członkowie spółdzielni wyrażą na to zgodę przekwalifikuje się ich z gospodarzy domów na omiataczy.

ANNA GRONCZEWSKA

Wyznanie komputera

„To nie moja wina"

Czy można bić leżącego i już po wielekroć skopanego? W zasadzie bić w ogóle nie należy, ale czasami wyczerpuje się moja cierpliwość i żałuję, że nie mogę nikomu przyłożyć, bo jestem komputerem w dworcowej kasie. Nadążając za Europą i wychodząc naprzeciw potrzebom klientów, Polskie Koleje Państwowe postanowiły skomputeryzować się. Od dawna wiadomo, że biednych nie stać na tanie zakupy. Kolej, widać niepomna tej zasady, postanowiła zaoszczędzić. Efekt jest taki, że kasjerka ciągle zdejmuje ze mnie obudowę i bezradnie grzebie w moim mechanizmie. Czasami zacinam się.

Trudno rozstrzygnąć, czy pomysłodawca komputeryzacji kolejowych kas zapomniał o przeszkoleniu kasjerek, czy też uczennice wagarowały na kursie. Ekran zaczyna mi sam świecić, kiedy widzę, że ręczne wypisanie biletu trwa krócej niż znalezienie odpowiedniego przycisku na mojej klawiaturze. Praktyka jednak robi swoje i na przykład bilet do Warszawy można kupić bez trudności, a nawet zażyczyć sobie miejscówkę w przedziale dla niepalących. Tylko przez drobne niedopatrzenia czasami bywa odwrotnie.

Gorzej, gdy krnąbrny pasażer na złość kasjerce wymyśli skomplikowaną trasę i zażąda biletu jednocześnie na wąskotorówkę, osobowy i ekspress. Och, gdybym potrafił uruchomić się sam! Bardzo lubię trudne zadania. Niestety muszę znosić niekompetencję pań obsługujących mnie i to, co one wyczyniają. Klawisze mi zgrzytają, robi się bałagan w programie, zaczynam głupieć, w końcu niedouczona panienka z okienka stwierdza, że wydanie takiego biletu jest niemożliwe. Tylko dlatego, że jestem dobrze izolowany, kasjerki w tym momencie nie razi prąd.

Od pewnego czasu na Dworcu Fabrycznym i Kaliskim można kupić bilety i miejscówki na pociągi odjeżdżające z Warszawy, a omijające Łódź. Teoretycznie. Dla mnie to żaden problem, wystarczy mnie podłączyć do pojemniejszego kolegi w stolicy, ale — kliencie, zapamiętaj! — nic bardziej złudnego niż wiara w PKP.

Połączenie Łodzi na przykład z Zieloną Górą nie jest najwygodniejsze i niektórzy pasażerowie korzystają z ekspresu „Lubuszanin", do którego wsiadają w Kutnie. Przynajmniej raz w miesiącu przychodzi do mojej kasy pewna dziewczyna i prosi o bilet do tej samej stacji. Tylko raz obsługiwała mnie kasjerka, która potrafiła bezbłędnie wydać bilet i miejscówkę. Dziewczyna nauczona doświadczeniem przynosi nawet stary bilet na wzór, a mnie trzęsie bezsilna złość, kiedy widzę, jak pani w kasie „na piechotę" liczy kilometry, taryfy i nie wiem jeszcze co. Rzecz ciekawa — w tamtą stronę wychodzi jej zawsze o 10 km mniej niż jej koleżance wydającej bilet na powrót.

Kiedyś obsługując tę dziewczynę kasjerka zamiast zapytać mnie o wolne miejscówki, w swej głębokiej bezmyślności zadzwoniła na stację w Kutnie! Nakrzyczała przy tym na moją znajomą pasażerkę, że ta wprowadza „fachowca" w błąd, kiedy twierdzi, że w mojej pamięci jest informacja, które miejsca są jeszcze wolne

Mam kolegę po sąsiedzku za szybą, którego zawsze wyłączają na pół miesiąca, kiedy przychodzi pora sprzedawania znaczków do biletów miesięcznych. Nie sądzę, aby inni moi koledzy nie byli zaprogramowani na taką usługę, ale ich opiekunki przepędzają pasażerów do mojego okienka. Tylko czasami, w drodze wyjątku, pozostałe komputery dostępują zaszczytu wydania biletu niestandardowego. Cieszą się wtedy jak dzieci, bo ciągle Koluszki i Koluszki każdemu mogą się znudzić. To nieprawda, że „takiej stacji nie ma w komputerze". Nie wierzcie, gdy opowiadają wam takie bzdury. My, komputery wiemy wszystko, tylko niefachowe siły nie potrafią tego od nas wyegzekwować.

Polskie Koleje Państwowe wciąż czują się dobrze, więc wcale nie mam zamiaru ich żałować, kiedy je krytykują, choć to mój pan. Nie narzekajcie na nas, komputery, bo to nie nasza wina, że denerwujecie się w kolejkach do kas, w których siedzą.... (lepiej nie nazywać po imieniu). Współczujemy wam, że PKP ma do zaoferowania swym pasażerom jedynie coraz wyższe ceny.

DWORCOWY KOMPUTER

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-29-65. 13431-g

ZAPEWNIAM opiekę za zakwaterowanie 33-77-84. 19854-g

USŁUGI

FOTELE samochodowe, naprawa, przeróbka na rozkładane. Regulacja drzwi, zamków. Ulica Kolumny 390. 19211-g

SZYJEMY: smokingi, garnitury, spodnie, spódnico-spodnie. Rewolucji 18. 33-77-84. 19854-g

ZGUBY

UNIEWAŻNIAM pieczątkę: Bogusława Dembowska lekarz medycyny Buczek koło Łasku tel. 15-29. 20158-g

ARTUR Urbański zgubił legitymację studencką 64963 PŁ. 2004-g

ZAGUBIONO pieczątkę Kierownik Robót Sanitarnych Wiesław Siurek. 19896-g

IRENEUSZ Rąkoski zgubił leg. studencką 65479 PŁ. 19802-g

UNIEWAŻNIAM zagubioną pieczątkę: Krawiectwo Jaworski Krzysztof Zaolziańska 47/12 95-545 Łódź. 19731-g

AGATA Dryzek zgubiła leg. studencką PWSSP. 51-80-40. 19566-g

TOMASZ Wiliński zgubił legitymację studencką 502 UŁ. 20166-g

WIOLETTA Jaruga zgubiła leg. studencką 16411/L AM. 9318-g

ANNA Fortale-Koper zgubiła leg. studencką 5/LH AM. 9320-g

DOROTA Strzelecka zgubiła legitymację studencką 16502 AM. 9245-g

KAZIMIERZ Lichniak zgubił legitymację studencką 6029 WAM. 9068-g

JOANNA Czajkowska zgubiła legitymację studencką 16731 AM. 9278-g

PAWEŁ Kubala zgubił legitymację studencką 68614/S/UŁ. 9636-g

BEATA Janasik unieważnia prawo wykonywania zawodu położnej 502/88. 9752-g

ANDRZEJ Akacki zgubił leg. studencką 6158 WAM. 10046-g

JAROSŁAW Skowroński zgubił legitymację studencką 61310 PŁ. 9773-g

KACPRZAK Robert zgubił indeks 62253 PŁ. 9863-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

TURBINĘ, sterylizator, amalgamator sprzedam. Łódź 34-96-10. 19616-g

RÓŻNE

ODBIORCÓW garniturów, spodni, spódnico-spodni. Szyjemy smokingi, garnitury. Rewolucji 18 33-77-84. 19854-g

● OGRODNIK ZAWODOWY ●
umiejący podlewać

— w ogrodnictwie przy kolei Łódź-Stryków

P O T R Z E B N Y

Oferty „19685", Biuro Ogłoszeń, Sienkiewicza 3/5.

Spółka „TOMI" zaprasza na:

● KURS TAŃCA NOWOCZESNEGO ●

DISCO SOLO i DISCO W PARACH. MAMBA, LAMBADA

i inne według życzeń uczestników kursu.

Program kursu oparty na jazzie i modernie.

Materiały pomocnicze w postaci muzycznych filmów wideo.

Zajęcia odbywać się będą w Ognisku TKKF „Osiedle Jagiełły", Łódź, ul. Wspólna 6, w niedziele, godz. 15 i środy, godz. 19. Pierwsze zajęcia 18 marca, ul. Wspólna 6, godz. 15.

Szczegółowe informacje Spółka „Tomi" i w sekretariacie Ogniska TKKF, ul. Wspólna 6, tel. 34-33-05.

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA 14.03.1990 R.

PROGRAM I

8.15 Express gospodarczy
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Wybaczam ci, tatusiu" — czech. film fab.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.13 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
17.55 Telew. Inform. Wydawn.
18.15 Nad Niemnem, Piną i Prypecią (1)
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Od A do Z
19.30 Wiadomości
20.05 „Dreszcze" — polski film fab.

Film Wojciecha Marczewskiego stanowi najpełniejszą i najbardziej udaną próbę pokazania mechanizmów polskiego stalinizmu. Trzynastoletni Tomek Żukowski — „czarna owca" wśród wszechobecnej czerwieni. Pod wpływem wychowawców na centralnym obozie szkoleniowym harcerzy dokonuje się w nim zasadnicza przemiana: zaczyna wierzyć w istnienie wrogów klasowych.

21.55 Sport
22.05 LEX — mag. społ.-prawny
22.50 Wiecz. wiad.
23.05 „Mariszka Band" — jug. film dok.
23.40 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 ABC — telet.
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Marc i Sophie" — odc. 3 franc. ser. pt. „Nieproszony gość"
19.30 Studio sport — Puchar Europy w Koszykówce mężczyzn (w przerwie meczu program muzyczny)
21.00 Ze wszystkich stron
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" — odc. ser. TVP
22.25 Telewizja nocą
23.10 Komentarz dnia
23.15 Express gospodarczy

CZWARTEK 15.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Policjanci z Miami" — odc. ameryk. ser. krymin.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Militaria, obronność, nowoczesność
17.55 „Poza rok 2000" — austral. film dok.
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — odc. ameryk. ser. krymin. pt. „Jesteś już dorosła"
20.50 Interpelacje (2)
21.30 Sport
21.40 Pegaz
22.25 Wiad. wiecz.
22.40 Wódko, pozwól żyć
23.15 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie" — odc. ser. TVP
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Wzrost i ruchy roślin"
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspress reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Perły z lamusa: „U progu tajemnicy" — ang. film fab.

Jest to niesamowita opowieść o stykaniu się dwóch światów: sennych marzeń i rzeczywistości.

23.20 Komentarz dnia

PIĄTEK 16.03.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.05 Przybysze z Matplanety
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Sławne historie zbójeckie" — odc. 6 (ostatni) czech. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.20 Dla młodych widzów: Rambit — telet.
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 Program publ.
18.25 Rzeczpospolita samorządna
18.45 Weekend w Jedynce
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Mały Cezar" — ameryk. film fab.

To jeden z pierwszych klasycznych filmów gangsterskich z początków kina dźwiękowego. Akcja rozgrywa się w okresie wielkiego kryzysu. Król podziemia — Rico Bandello działa bezwzględnie, walcząc o władzę... Rola Małego Cezara przyniosła Edwardowi G. Robinsonowi prawdziwą sławę i stanowiła przełom w jego karierze. Reż. Mervyn LeRoy.

21.25 Sport
21.35 Moda i styl
21.55 Spór o jutro — Otwarte studio (1)
22.55 Wiad. wiecz.
23.15 Spór o jutro — Otwarte studio (2)

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 O czym się mówi
18.50 Artyści Wrocławia dla Rzeczypospolitej
19.30 Dookoła świata: We wschodniej Afryce
20.00 Opowieści przy fortepianie — recital Adama Makowicza
20.50 Magazyn Piątek
21.30 Panorama dnia
21.45 „Delikatny mężczyzna" — franc. film obycz.
23.10 Komentarz dnia
23.15 Express gospodarczy

SOBOTA 17.03.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Dla dzieci: Ziarno
9.00 Drops — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Heidi"
10.30 Wiad.
10.40 Azjatycka mozaika: „Echa z Tybetu" — odc. 7 franc. ser. dok.
11.10 Kalejdoskop
11.40 Z Polski rodem
12.10 Koncert życzeń
12.40 „Polski Montresor" — film dok.
13.00 Telew. Teatr Prozy: William Faulkner — „W domu z powrotem"
14.45 Być reporterem
15.10 Filmy o miłości: „Deszczowy lipiec" — reż. L. Buczkowski
16.40 Rewizja nadzwyczajna (Wrzesień 1939 w Wilnie)
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „King Kong" — ameryk. film fab.

Nowa wersja filmu o gigantycznym gorylu King Kongu. Twórcą obrazu jest John Guillermin, który do roli towarzyszki małpy zaangażował Jessicę Lange znaną choćby z filmu „Tootsie"..

22.15 Sport
22.35 Tydzień w polityce
22.45 Szafa — progr. rozrywk.
23.30 Telegazeta
23.40 Kino sensacji: „Ślepa uliczka" — ameryk. film fab.

Ten amerykańsko-angielski film sensacyjny opowiada o dwuletnim chłopcu, który jest przypadkowym świadkiem zbrodni.

PROGRAM II

13.15 Konkurs 5 milionów
14.00 Bariery
14.25 Matka Ziemia
14.30 Przeszłość przyszłości: W kraju
15.00 Dżungla Amazonii
15.10 „Lwy afrykańskiej nocy" — ameryk. film przyrodn.
15.35 Spektrum
15.50 Skażenia w Hongkongu
15.55 Meandry architektury: Skala
16.15 Pingwiny
16.25 Studio sport
16.55 Program dnia
17.00 Program muz.
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra — telet.
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Wokół „Quo vadis" Feliksa Nowowiejskiego
21.00 Dwa plus 2 — drugi obieg w drugim programie
21.30 Panorama dnia
21.45 Film dok.
22.15 „Znowu w Brideshead" — odc. 11 ang. ser.
22.40 Alfabet Kisiela
22.55 Komentarz dnia

NIEDZIELA 18.03.1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Po gospodarsku
8.10 Tydzień
8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film z serii „Emil z Lönnebergi"
10.30 Wiad.
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody" — odc. 4 ser.
11.05 Kraj za miastem
11.35 Koncert życzeń
12.20 Teatr dla dzieci:: „Królewna kukułeczka"
13.15 Sportowa niedziela
14.50 Morze — mag.
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka" — odc. brazyl. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Telew. Teatr Rozmaitości: M. Schisgall — „Zawiść"
18.20 Piknik Country — Mrągowo 89
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — południe" — odc. 5 ameryk. ser.
21.40 7 dni — świat
22.10 Sportowa niedziela
22.50 „Eurofani" film dok.

PROGRAM II

8.30 Przegląd tygodnia
8.55 „Północ — południe" — odc. 5 ameryk. ser.
10.30 Azymut
11.00 Koncert życzeń
11.25 Jutro poniedziałek
11.55 Powitanie
12.00 Polska Kronika Filmowa
12.10 „Kane i Abel" — odc. 4 ameryk. ser.
13.05 100 pytań do...
13.45 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — odc. 3 ameryk. ser.
14.35 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem
14.50 „Polacy — Witold Lutosławski" — film dok.
15.35 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr" — odc. 4 ser.
16.30 Biografie — „Marguerite Yourcenar" — ang. film dok.
17.30 Bliżej świata
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria Dwójki: Wiktor Gajda
20.00 Studio sport
21.00 Łazienki królewskie w Warszawie — Biały Dom
21.30 Panorama dnia
21.45 „Kane i Abel" — odc. 4 ameryk. ser.
22.35 Komentarz dnia
22.40 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 19.03.1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 „Jak gniazdo orła białego" — film dok.
18.30 Szkoła mistrzów — Piotr Szulkin
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV: Mykoła Kulisz — „Reformator"
22.20 Sport
22.30 Wiad.
22.45 Kontrapunkt
23.20 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 „Zmagania o Polskę" — post scriptum serialu
19.30 Muzyczne wizyty
20.00 Auto — Moto Fan Klub
20.30 Osądźmi sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat" — odc. ser. RFN pt. „Hermanek"
22.55 Komentarz dnia

WTOREK 20.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Dolina nadziei" — odc. 1 franc. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik — Tak oraz kino Tik-Taka: „Opowieści Byczka"
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 Program publ.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Spotkanie z min. J. Kuroniem
20.15 „Dolina nadziei" — odc. 2 franc. ser. pt. „By nikomu nie być dłużnym"
21.10 Sport
21.20 Listy o gospodarce
21.55 Fleks — program baletowy
22.25 Wiad.
22.40 Film dok.
23.15 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Publicystyka
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego: Łańcut, moja miłość
20.45 Rzecznik Praw Obywatelskich prof. Ewa Łętowska
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mistrz i Małgorzata" — cz. 1 filmu TVP pt. „Seans czarnej magii"

---

lewym okiem

Z niewygodnej pozycji

Kilogram bananów na ulicznym straganie kosztuje 15.000 zł. Nie wiem dlaczego tak tanio, skoro za kilo ogórków trzeba zapłacić 20.000 zł. Już podobno nasi pijaczkowie nie piją ćwiartki pod kiszonego ogórka, tylko zagryzają kwaszonym bananem.

W Warszawie od 1 marca pasażer tramwaju lub autobusu miejskiego, przyłapany na jeździe bez biletu, płaci karę czterdziestu tysięcy złotych. Nie wiem, dlaczego tak mało. Można by przecież brać na przykład 400.000 złotych i jeszcze uciąć delikwentowi rękę, niech raz popamięta. Może też należałoby pomyśleć o jakiejś konkurencji, o pluralizmie w komunikacji miejskiej. Puścić w ajencję „5" jednej firmie, „6" innej, „19" jeszcze innej — niech każda z nich stara się w jak największej czystości utrzymać swoje wozy i jak najniższe pobierać ceny. Można by też coś pokombinować z wysokością mandatów. Nie jest to wcale takie absurdalne, bo na przykład w Łodzi do konkurencji zabrały się już urzędy pocztowe — w jednym urzędzie znaczek na list do Meksyku kosztuje 1.500 złotych — w innym 1.900.. W obydwóch panie biorą opłatę za znaczki po dłuższej naradzie z kierowniczką urzędu. Koniec, kropka, płacić.

Od pewnego czasu przestały wychodzić takie czasopisma jak: „Życie Literackie", „Poezja", „Kultura" — no i dobrze. Przynajmniej zwolniło się miejsce, papier i pieniądze na nowy miesięcznik „Moda dziecięca" zapowiedziany już w Gdańsku. Moda dziecięca to właśnie to, co było nam potrzebne, nie tam „Życia Literackie" i „Kultury".

Słyszę w radiu jak pewien gospodarz spod Warszawy skarży się, że dostarczał do niedawna do spółdzielni 200 litrów mleka dziennie, a ostatnio otrzymał zawiadomienie z tejże spółdzielni, że więcej od niego mleka odbierać nie będzie. No i co ja teraz z tym mlekiem zrobię — skarży się naiwnie gospodarz. Mówię „naiwnie", bo przecież jest proste wyjście: zarżnąć krowy i koniec. Jest jeszcze przecież dopłata ze skarbu państwa dotująca skup żywca. Jest jasne i pewnie słuszne, że najbardziej opłaci się zarżnąć jak najszybciej wszystko co się da, zamiast na przykład trzymać krowiny przy życiu, doić je codziennie i wylewać mleko do rowu. Jest to też najprostsza metoda na zlikwidowanie nadwyżek mleka i jego przetworów. Tymczasem margaryna jest droższa od masła, co — w porównaniu ze wszystkimi rynkami świata stanowi uroczy wyjątek. Masło jest tańsze, a i tak jest go za dużo i sklepy nie chcą go od mleczarni odbierać. A skoro jest za dużo, to otrzymujemy jeszcze tysiące ton w ramach pomocy z zagranicy, co skrzętni zagraniczni buchalterzy odliczają skrupulatnie jako udzieloną nam pomoc w wielkiej, polskiej biedzie.

Wszystkie podane tu wiadomości pochodzą z pierwszego tygodnia marca, trzeba to zaznaczyć, bo sytuacja zmienia się błyskawicznie i za parę dni już może okazać się, że banany są tańsze od chleba, bilety tramwajowe droższe od mandatów, a skupu żywca nikt nie dotuje, bo i tak mięsa nie ma gdzie kłaść. Wszystko to dzieje się w ramach stawiania na nogi tego, co stało na głowie. I tylko moją bardzo osobistą sprawą jest, że chwilami wydaje mi się, iż to ja sam stoję na głowie i z tej niewygodnej pozycji patrzę na rzeczywistość.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

„Sadzawka"

Teraz można już wreszcie wprost powiedzieć, co się o kimś myśli. I widać wyraźnie, jak mocno skłócone są poszczególne środowiska. Pękła bowiem cienka skorupa stagnacji, która przykrywała społeczeństwo od wielu, wielu lat i wszystko wylało się na zewnątrz. W tej chwili ludziska muszą się odreagować, poopluwać nawzajem, pokrzyczeć, to poniekąd normalne, uważam nawet, że to dopiero początek nowej fali. Tym bardziej, że wchodzimy w okres „walki o stołki", który bywa wyjątkowo nieciekawy, ponieważ króluje w nim często oszczerstwo, insynuacja i plotka. Dlatego trzeba się również liczyć z tym, że wiele różnych stanowisk zajmą ludzie, którzy owymi środkami potrafią operować najlepiej.

O ile jednak o konfliktach w poszczególnych środowiskach wiemy stosunkowo niewiele (jeżeli oczywiście sami do niego nie należymy), o tyle o różnicach, jakie istnieją w kręgach dziennikarskich, ludzie mogą dowiedzieć się najwięcej. Wynika to po prostu stąd, że ta grupa zawodowa ma nieograniczony dostęp do wszelkiego typu publikatorów (to takie brzydkie, ale modne teraz słowo). Rzecz jasna trudno sobie wyobrazić, żeby w gazetach pisali na przykład kominiarze i dlatego zresztą o zatargach wśród kominiarzy wiemy tak mało. Natomiast w telewizji i gazetach pełno jest teraz oświadczeń, sprostowań, mniej lub bardziej niewybrednych ataków ludzi pióra. Stowarzyszenia dziennikarzy (są dwa) wydają ciągle jakieś komunikaty, które brzmią jak doniesienia z frontu. I zastanawiam się tylko czasem, dlaczego właściwie nie powstało jeszcze jedno (trzecie) stowarzyszenie, wszak wielu jest piszących, którzy nie chcą należeć ani do jednej, ani do drugiej istniejącej organizacji. A poza tym byłoby wtedy jeszcze ciekawiej, jak pluralizm, to pluralizm.

Tylko... no właśnie... tylko kogo spoza środowiska te spory tak naprawdę interesują!? Otóż, dziennikarzom wydaje się, że są najważniejsi i oczy całego społeczeństwa są na nich skierowane, w rzeczywistości ludzie żyją własnymi sprawami, które są zwykle bardziej dla nich istotne niż wiadomość podana w telewizji i prasie, że redaktor Iksiński to wyjątkowy drań, co może być akurat prawdą (drani u nas dostatek), ale nie musi. A już Adolf Nowaczyński ostrzegał przecież, że:

„Kłamstwo, oszustwo czy oszczerstwo dziennikarskie, wypuszczone przez lekkomyślnego błazna grudką śnieżną, spada w społeczeństwo lawiną".

Dlatego też proponowałbym stworzyć zupełnie nowe czasopismo w minimalnym nakładzie (bo iluż wszak jest dziennikarzy w mieście), na łamach którego dopuszczalne byłoby obrzucanie wszelkimi inwektywami. Każdy przecież ma jakiś haczyk na drugiego.

Powinien to być tygodnik, w którym co miesiąc musiałby się zmieniać redaktor naczelny, by dać szansę każdemu. Jak wielu wtedy mogłoby zrealizować swoje marzenia, przez miesiąc co prawda, ale jednak. Tytuł jest oczywiście do uzgodnienia, proponuję nazwę: „Sadzawka", a redakcja powinna mieścić się w Klubie Dziennikarza.

Sądzę, że owa inicjatywa mogłaby być niezwykle ciekawa, taka oczyszczająca, a tematów na pewno starczyłoby przynajmniej na kilka albo kilkanaście miesięcy. Do ataku więc mości panowie, szable w dłoń!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

---

nagłe zastępstwo

Wojna między-wojewódzka

Jak dotąd w Łodzi jeszcze nie wystąpiło zjawisko przemianowywania nazw ulic. Nadal mamy i „Nowotki", i „Dzierżyńskiego", a nawet „plac Komuny". Już niedługo! Ktoś czujny to zauważył, prace są w toku. Dziennikarz łódzkiej TV obliczył, że do zmiany kwalifikuje się aż 50 nazw! Niektóre wymienił. Między innymi ulicę... „Moczarową"! Idę w ślad uważnego przeglądacza planu miasta i apeluję do stosownych organów, żeby nie zapomniały — w pośpiechu — o takich wrednych nazwach jak „Ruska" i „Radziecka". Pod rozwagę poddaję takie nazwy jak „Albańska" i „Bułgarska". Ta druga... no, niech będzie, ale „Albańska"? Uchowaj Bóg! Albo taka „Lewa". Czy to wynika z jakiegoś jej szczególnego położenia? Chyba nie, chyba jest to cyniczny pseudonim ulicy „Lewicowej"! Podobnie niewinnie brzmi nazwa „Bezpieczna". Niby taka sobie bezpieczna, a w gruncie rzeczy niebezpieczna. No bo o jakie bezpieczeństwo tu chodzi, no jakie? Wiadomo, co w nowomowie komunistycznej oznaczało słowo „bezpieczeństwo". Ona jest ubecka ta ulica, ot co! I jeszcze jedna — „Kąkolowa". O jakieś tam polne kwiatki chodzi czy też o znienawidzonego prominenta starych ekip? Na wszelki wypadek — do wymiany, tak jak „Moczarowa".

Czym prędzej zmieniam temat, bo wszedłem na śliski grunt. Znów z pozycji quasi-centrysty robię sobie śmichy chichy, a jeszcze przy okazji zaczepiam naszą TV, która jest (jak była) państwowa, choć państwo już jakby inne. Wysiłki byłej opozycji, żeby TV odpaństwowić, a tzw. radiokomitet uspołecznić, spełzły na niczym?

Zbliżamy się szparko do wyborów municypalnych, czyli gminnych i wojewódzkich. Z ogromnym prawdopodobieństwem można założyć, że przyniosą one walne zwycięstwo komitetom obywatelskim i że ludzie przez te komitety rekomendowani zdobędą przytłaczającą większość w radach i samorządach. No i dobrze, bo spróbujmy sobie wyobrazić co by się działo, gdyby tak w jednym mieście wygrali socjaliści, a w sąsiednim — liberałowie. Ale by się narobiło — jedni reprywatyzują, uspołeczniają, kapitalizują (od „kapitalizm" nie od „kapitał") itd., itp. A sąsiedzi? Wprost przeciwnie — upaństwowią co mogą, zunifikują co się da, rozszerzą do granic prawnych możliwości ingerencji władz lokalnych w przemysł, handel, usługi, kulturę i oświatę. Ot, w radomskim kapitalizm, a w kieleckim — socjalizm. To by się mogło źle skończyć, nawet konfliktem zbrojnym między województwami. A już zamknięciem granic na pewno.

PS. Winien jestem parę słów przeprosin łódzkim działaczom Unii Polityki Realnej. Napisałem lekkomyślnie, że unici (uniści?) są golcy, nie pomyślałem, że posądzenie ideologa burżuazji o brak pieniędzy to jak posądzenie antysemity o żydowskie pochodzenie. Stokrotnie przepraszam. Zwłaszcza przepraszam trzech panów wymienionych w piśmie do redakcji, którzy mają naprawdę pieniądze i jednego, którego dziadek miał. Oczywiście także wszystkich pozostałych dwudziestu czterech unistów (nitarian?).

Pragnę także z całym uszanowaniem zawiadomić mego JO Adwersarza, że jako „bywalec suteren" ani przez chwilę nie liczyłem na potraktowanie mnie wg. zasad kodeksu Boziewicza. Takiego parweniusza jak niżej podpisany można tylko kazać wybatożyć — a tego wolałbym uniknąć ze strony JWPP członków UPR i z czyjejkolwiek strony.

Przesyłam odnośne wyrazy

ANDRZEJ KAROL

— Wiadomo, że są odbierane?
— Tak. Aparatura potwierdza odbiór.
— Nie mogę być odcięty od kraju — powiedział Naczelny do komendanta. — Mamy w odwodzie sygnalizację laserową i kontakt satelitarny.
— Nic nie funkcjonuje — zakomunikował komendant, zachowując postawę zasadniczą, mimo że szef dał komendę „spocznij". — Zbieganon alli. Melduję, że uruchomiłem ekipy awaryjne.
— Na tobie mogę polegać — powiedział zmęczonym głosem szef. — Spiesz się, proszę. Jestem niespokojny.
— Rozkaz.
— Wyślij do Barda teleks, że ma się tu stawić jutro, gdybyśmy nie nawiązali dwustronnej łączności. Powiadom, że panuję nad sytuacją.
— Tak jest.
Komendant Major służbiście wyprężony opuścił gabinet Naczelnego. Naczelnemu odechciało się kart. Opadł w głębiny fotela, obserwując filowanie świec w lichtarzach. Miał za sobą ciężki dzień. Incydent na polowaniu, nerwówa, potem burza, która ciągle nie mogła ustać i wreszcie niepojęty brak łączności.
Elektryczna sygnalizacja nie działała, wezwał Laurę potrząsając dzwonkiem.
— Bolą mnie łydki — poskarżył się. — Daj mi lekarstwa, moje dziecko.
Przyniosła mu zestaw pigułek i sok ogórkowy do popicia.
— Zrobimy masaż — powiedziała. — Bóle szybciutko ustąpią.
Dał się zaprowadzić do sypialni, rozebrać, położyć do łóżka. Laura wyszła na parę chwil i wróciła w stroju masażystki: krótka tunika z dekoltem, pielęgniarski czepek. Przystąpiła do masowania. Pacjent postękiwał, sapał, przygryzał bezkrwiste wargi.
— Jak to jest? — usłyszała. — Jak można uczynić z własnej śmierci widowisko?
— Proszę nie myśleć o tym.
— Podpalić się... Brak wyobraźni. Kiedy byłem mały, na złość mamie wybiegałem zimą na dwór bez czapki, żeby się przeziębić. Dostawałem za to pasem. Ale potem, jeśli udało mi się zachorować, pielęgnowano mnie, pieszczono, byłem najważniejszy w domu.
— Kto tego nie lubi — zaśmiała się Laura, od łydek przenosząc się do ud, coraz wyżej.
— Nigdy jednak nie odebrałbym sobie życia. Ludzi zdolnych do tego nie rozumiem. Desperacja, obłęd... ale z wyrachowania, na zimno? Dla jakichś spraw ogólnych, które dziś są ważne, jutro wychodzą z mody? Tamiza była kloaką, dziś pływają w niej ryby, nikt nie oddał za to życia...
Biust Laury już zbliżał się do twarzy Naczelnego, a jego ramię opuszczone luźno już znalazło się między jej kolanami, już napięło się z lekka i ugięło, aby palce mogły dotknąć wnętrza ud. Laura zacisnęła je odruchowo, przez wrodzoną dziewczęcość, którą szef tak u niej lubił. Nie musiała udawać, była wstydliwa z natury. Palce szefa delikatnie, żeby nie urazić, nie drasnąć, posuwały się w górę. Teraz Laura masowała wolniej, a oddech miała szybszy. Czekała, aż palce osiągną cel.
Kiedy go osiągnęły, uda Laury odprężyły się z ulgą, ułatwiając dostęp i działania. Sprzyjały dłoni, która otarła się o wilgotny meszek i kantem, bardzo delikatnie wykonała jakby podłużne cięcie, przenikając w głąb.
— Nie mogłem postąpić inaczej — szeleścił głos Naczelnego, jakby skierowany do wewnątrz. — Nie przestraszyłem się granatu, to już bywało w przeszłości, śmierć przychodzi, kiedy jest pisana. Zdrowy to fatalizm, moje dziecko. Ma być, co będzie. Nie przewidziałem benzyny, podpalenia, to by jednak niczego nie zmieniło. Polityk nie może się ugiąć wobec terrorysty.
Laura natarła biodrami, zachęcając palce Naczelnego do energiczniejszych poczynań. Pierwszy raz się zawiodła: dłoń zwiotczała, musnęła pożegnalnie szczelinę i obsunęła się po wnętrzu uda. Laurze zrobiło się przykro.
— Już mnie nie kochasz — szepnęła.
Nigdy jeszcze nie zwracała się do szefa w drugiej osobie liczby pojedynczej. Czuła gorycz, prawie gniew.
— Komu zależało, aby zrobiła to na moich oczach? — usłyszała. — Ktoś za tym stoi, moje dziecko...
Ktoś za tym stoi, powiedział rzecznikowi prokuratury, podejrzewam pewnych ludzi z mojego otoczenia, ale niczego nie będę ułatwiał organom, niech prowadzą śledztwo, będą musieli przedłożyć mi wyniki, a wtedy dopiero powiem komu trzeba, co myślę o takich metodach. Nic mi nie wiadomo o zamiarze przyłączenia półwyspu do terytorium Ośrodka, nie obchodzą mnie kwestie administracyjne.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (15)

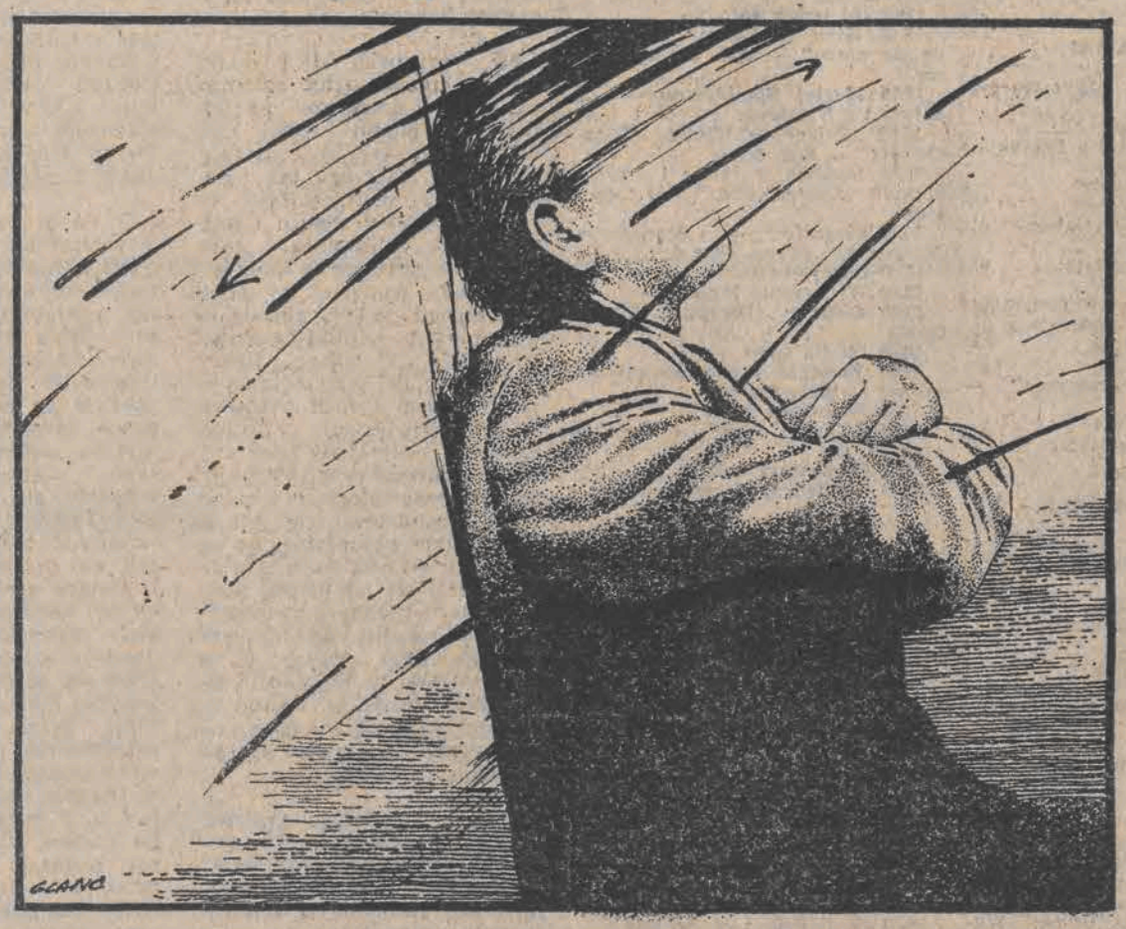

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Regulacja rzeki? To są preteksty, młody człowieku, idzie o sprawy polityczne, ci ludzie od dawna próbują się wedrzeć do mojego parlamentu, nie zamierzam im na to pozwolić. Pan wierzy w akcje społeczne wolne od polityki?
Grzmot wstrząsnął pałacem. Laura zdarła tunikę i położyła się obok Naczelnego.
— Ogrzeję was — wyszeptała.
— Nie jest mi zimno.
— Ale ja się boję burzy.
Oplotła mu szyję ramionami, ugiętym kolanem próbowała łaskotać podbrzusze. Kiedy poczuła jego dłoń na pośladkach była już pewna, że wszystko wraca do normy. Wtedy Naczelny odsunął ją od siebie.
— Dziś chcę być sam — powiedział. — Odejdź.
Sierżant Jaskulska posłusznie wstała, rozgrzane piersi upchała pospiesznie w wykrój tuniki, zaciągnęła zamek błyskawiczny. Rozkazujący ton działał na nią jak hipnoza.
— Przynieść termofor? — zapytała.
— Nie. Powiedz dyżurnemu, że ma mnie natychmiast obudzić, gdyby przywrócono łączność.
— Rozkaz.
Komendant kończył spóźnioną kolację. Był środek nocy, więc rolmopsy można by też nazwać wczesnym śniadaniem.
— Daj kieliszek wódki — poprosił Brygidę.
Przyniosła karafkę, postawiła przed nim. Kieliszki dwa, jeden dla siebie. Na flanelową nocną koszulę nie narzuciła szlafroka i jej bujne kształty kolebały się kusząco pod cienkim materiałem. Lewa pierś, jak ciekawskie zwierzątko, wysunęła się z dekoltu i łypnęła brązowym oczkiem.
Komendant chlapnął do kieliszków, skinął żonie. Wypili bez trącania się, do dna. Brygida zagryzła cebulką z rolmopsa.
— Coś tu zaczyna się dziać — powiedziała.
— Było nieszczęście...
— Ja nie o męczennicy — przerwała mu. — Choć w Bartach całą noc mają się modlić za jej duszę. Podobno pokazała się ojcu Gerwazemu.
— Już zdążyła?
— Nie pokpiwaj, Marian. Byłam w mieście, wiem, co ludzie mówią. Tam gdzie się podpaliła, stanie kaplica.
— W Ośrodku nie stanie.
— Zlikwidują Ośrodek. Ludzie aż kipią z nienawiści do twojego szefa. Rozszarpaliby go żywcem.
— Jeszcze wczoraj gadali o nim z sympatią — powiedział komendant. — Może nie wszyscy, może nie aż z sympatią, ale u niektórych miał mir.
— To było wczoraj.
— Mało zrobił dla Bart? Asfalt, gaz, oczyszczalnia, salceson bruniwicki w każdym sklepie, szpital na sześćdziesiąt łóżek, kościół farny.
— Kościół to nie on.
— Co ty wiesz — mruknął komendant na nowo chlapiąc do kieliszków, które opróżnili natychmiast, równocześnie, niczym już nie zakąszając. — Szef dla kościoła więcej robi niż kościół dla niego.
— Ale się nie modli — powiedziała Brygida ziewając. — Może by do łóżka?
— Masz pewność, że się nie modli? Jedni robią z tego kino i to jest polityka, a inni modlą się ku sobie. Jakby Bogu na ucho szeptali.
— Coś tu zaczyna się dziać — powtórzyła Brygida. — Spotkałbyś się z Remem.
— Naczelny to był wspaniały człowiek.
— Był?
— Powiedziałem, że był? I nigdy się tego nie wyprę, nigdy się jego nie zaprę. Tak mi dopomóż Bóg!

Brygida pochyliła się nad stołem, zajrzała mężowi w oczy:
— Czyś ty nie chory, Marian? Odkąd ciebie znam, nigdy w ten sposób do mnie nie gadałeś.
— W Bogu nadzieja — powiedział cicho komendant, chlapiąc równo do obu kieliszków, choć do swojego odrobinę więcej.
— Na mszę ze mną pójdziesz?
— Pójdę. Ale najpierw sama chodź i niech cię wszyscy widzą.
— Tyś jednak chory, Marianie — stwierdziła Brygida, patrząc na męża z rosnącym niepokojem. — Oczy ci błyszczą, jakbyś miał gorączkę.
— Mam na pewno — zgodził się. — Okropny dzień.
— Już po burzy.

Rzeczywiście ucichło. Nawet deszcz ustał. Cisza zrobiła się taka, że dzwoniła w uszach. W nakrapianej od kropel szybie okiennej pojawił się księżyc.
— Muszę iść — powiedział komendant.
— Do łóżka?
— Do kantoru. Będę teraz dyżurował na okrągło, aż odwołany zostanie alarm.
— Jaki alarm? — zdziwiła się Brygida.
— Nie twoja sprawa, kobieto — odpowiedział komendant.
Wstał. Wyjął z szafy swój oficerski mundur, przebrał się, przytroczył do pasa służbowy pistolet, włożył hełm bojowy, pasek zaciągnął pod brodą.
— Dobrze ci w tym — powiedziała Brygida. — Odmłodniałeś. A w Bartach ludzie gadają, że zbliża się koniec twojego szefa.
— Brednie — oburzył się komendant. — Kto gada?
— Przyjezdni. Miejscowi też, ale przyjezdni wiedzą lepiej. Mówią, że będziemy mieć nowe czasy.
— Każdego ranka są nowe czasy — komendant uśmiechnął się do żony, obciągnął mundurową kurtkę. — Wczoraj nie wraca.
— Szkoda. Jakby wszystko cofnąć od początku, można by całkiem inaczej...
— Ty i polityka? — zdumiał się komendant.
— Jaka polityka?... Ja o nas. Mielibyśmy dzieci.

C.D.N.

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich", Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

1 stycznia, 1940 roku
Lida

WIELKIEMU Stalinowi hura! hura! hura!

Zaczynamy Nowy Rok. Zastanawiałem się nad tym: czego bym ja pragnął dla siebie w Nowym Roku? Otóż największym moim pragnieniem jest: umrzeć dla chwały naszej świętej Rosji, w obecności jej genialnego wodza, Stalina. Wyobrażam to sobie w ten sposób: jestem śmiertelnie ranny w walce z angielskimi, krwiożerczymi pachołkami kapitalistów i leżę w szpitalu... Wiem, że umrę, ale i to wiem, że własnoręcznie zabiłem kilkudziesięciu imperialistów angielskich i zdobyłem sztandar najbardziej zezwierzęconego ich pułku. Tak. Otóż, leżę i umieram... Szkoda mi rozstawać się z życiem, bo — wiadomo — już i dwa zegarki mam, i walizkę, i buty chromowe. Ale wiem, że i po śmierci — gdy nasza potężna Rosja opanuje cały świat i będzie nim rządzić, likwidując systematycznie elementy reakcyjne — moje imię będzie wyryte złotymi literami na marmurowej tablicy, jako bohatera światowego Związku Radzieckiego. Tak.
Otóż leżę ja i kategorycznie umieram. Mnie proponują kotlety i inne takie różne kiełbasy, ale ja nic... nawet uwagi na to wszystko nie zwracam. W tym momencie otwierają się drzwi i na salę wchodzi potężnie uzbrojony oddział NKWD. Obstawiają wszystkie okna i drzwi, i trzymają broń w pogotowiu. Potem zjawiają się sami marszałkowie i generałowie, i robią szpaler od drzwi do mojego łóżka. A ja nic: leżę i umieram... Potem... potem ukazuje się ON!... Mój wódz!... Słońce Rosji i świata... On... towarzysz Stalin... Ja zrywam się z łóżka, staję na baczność i krzyczę: „Wielkiemu Stalinowi hura! hura! hura!". A ON zbliża się do mnie i mówi:
— Połóż się, Michaile Nikołajewiczu. Dość napracowałeś się na chwałę naszej świętej Rosji.
Ściska mi dłoń i siada na łóżku. Potem wyjmuje z kieszeni butelkę „specjalnej moskiewskiej" i nalewa mnie szklankę wódki (sobie też) i powiada:
— Wypijmy, towarzyszu, na zgubę podłej Anglii i za zdrowie naszego wiernego przyjaciela, Adolfa Hitlera.
No, wypiliśmy, przekąsili, a potem ON pyta:
— Jak się czujesz?
— Umieram — powiadam — ojczulku kochany.
— To nic, głupstwo — mówi — ale imię twoje będzie nieśmiertelne. Możesz sobie umierać spokojnie.
— Słucham pokornie — odpowiadam — wodzu mój kochany.
I czuję, że umieram, umieram i umarłem... w obecności Stalina.

Tak... piękne to marzenie, lecz na razie trzeba żyć i utrwalać naszą wielką sowiecką kulturę w tej nieszczęśliwej, wyeksploatowanej przez polskich krwawych panów, Białorusi.
Wczoraj spotkałem ja lejtnanta Dubina. Powiedział:
— Przyjdź do mnie wieczorem. Wypijemy. Spotkamy Nowy Rok. Będzie kapitan Jegorow i jeszcze kilku chłopaków.
— Dobrze — powiedziałem.
I poszedłem. No, naturalnie, ubrałem się odpowiednio i perfum nie pożałowałem. Przychodzę, a tam już wszyscy są i kapitan Jegorow też.
— Od czego zaczniemy? — spytał nas Dubin.
— Wiadomo od czego — powiedział lejtnant Sinicyn. — Od wódki zaczniemy, wódką i zakończymy.
— A może z początku herbaty chcecie?
— Herbata nie wódka: dużo nie wypijesz.
No i dawaj my chlać... Znalazła się gitara. Dubin niczego sobie gra: głośno. Więc my chórem „Moskwę" machnęli. Głos, wiadomo, każdy z nas ma i śpiewa z całych sił, to aż okna się trzęsły i szklanki dzwoniły. Niech burżuazja słyszy i zna, że Czerwona Armia się bawi!
W kącie pokoju pianino stało. Ale grać nie umieliśmy na tym faszystowskim instrumencie. Jednak — kiedy wypiliśmy więcej — to Sinicyn spróbował. I nawet bardzo dobrze wyszło. Więc Dubin na gitarze różnie, my z całych sił „Jeśli zawtra wojna" śpiewamy, a Sinicyn pianino obu rękami po zębach chlaszcze. I tak ładnie nam szło, że my tym sposobem do północy się bawili.
Potem Dubin uroczyście powiedział:
— Drodzy towarzysze! Zaraz będzie Nowy Rok. Zaczniemy go specjalną zakąską do wódki. Jest to najlepsze na świecie burżujskie jedzenie!
Poszedł on do szafki i wyjął dużą papierową torbę. Przyniósł ją i wyrzucił zawartość na stół. Było to coś podobnego do strąków dużego bobu albo do małych ogórków.
— Co to jest? — spytałem.
— Banany — powiedział Dubin. — Nasze chłopaki z NKWD tu u pewnego burżuja, który miał dawniej owocarnię, rewizję robili i dużo tego specjału znaleźli. Więc i mnie trochę dali.
— Dawać tu banany! — krzyczy Jegorow. — Dość burżujom tym się obżerać. Teraz nasza kolej!
No, nic. Dubin banany porządnie w umywalce wymył i kilka z nich plasterkami na talerzu pokrajał, potem, oczywiście, odpowiednio posolił i każdemu wódki nalał.
— Zdrowie piechoty! — powiedział.
Wypiliśmy i bananami zagryzamy. Ale, cholera go wie, jakoś niesmacznie było. Ja nawet wypluć chciałem. A Sinicyn wówczas powiedział:
— Do tych bananów trzeba octu i tak samo pieprzu.
Pieprz był, ale po ocet Dubin do gospodyni poszedł pożyczyć. Zaprawiliśmy banany octem, no i, rzecz jasna, pieprzem. I zupełnie inny smak wyszedł. Ale wszystko jedno nie podobały mi się. Wolę kiszone ogórki, a nawet cebulę. Ale nic: pod wódkę to nawet i banany pójdą. Tylko to było najgorsze, że kapitan Jegorow, nieco za wcześnie, chorować zaczął. Sinicyn do pianina go poprowadził, przykrywkę u góry instrumentu otworzył i powiedział:
— Walcie, towarzyszu, do środka, bo szkoda podłogę zanieczyszczać. A w tym głupim instrumencie miejsca dość. Wszystko się zmieści.

Widzę ja, że z drugiej strony pianina Maślannikow przysposobił się, i też naloty na Rygę robi. Ale ja dobrze się trzymałem i dalej wódkę pod banany chlastałem. A potem posłyszałem jak Dubin powiedział:
— Te banany to najlepiej z olejem jeść i cukrem. Ale szkoda że nie mam.
Nie zdążył on tego wypowiedzieć, jak kapitan Jegorow od pianina oderwał się, do stołu zbliżył się, jeden banan (jeszcze nie pokrajany) wziął i Dubina nim w zęby jak zajedzie.
— Otrułeś mnie, draniu! — krzyczy. — Nigdy ja od wódki tak prędko nie rzygałem. Banany należy się kiszone jeść, albo marynowane, a ty surowe dałeś!
I w mordę go, i w mordę. Więc Dubin zaczął bronić się. Chwycili się za włosy i po podłodze tatlają się. Kapitan Jegorow naszego gospodarza całego bananami zanieczyścił. Ale to drobiazg: ot, trochę śmiechu było i już. A potem my znów wypili, ale na banany jakoś wszyscy apetyt stracili. Tylko Dubin dalej jadł, żeby nie zmarnowały się.
— Szkoda, że wam nie podobają się — mówił. — To przecież samonajlepsza burżujska przekąska. Tylko pewnie trzeba do nich chrzanu albo musztardy dodawać.
— To niech sobie tę przekąskę burżuje i żrą! — powiedział kapitan Jegorow. — A ja za takie kpiny i śmiechy będę w mordę bił!
Ale nie bił więcej. Pewnie bardzo osłabł, bo rzygał on długo. Bawiliśmy się tak chyba do trzeciej rano. Dobrze nie pamiętam, bo przytomność straciłem i tylko nad ranem od zimna obudziłem się. A zimno musiało być, bo kapitan Jegorow, w trakcie zabawy, wszystkie okna krzesłem powybijał i pół pieca uszkodził.
Ciemnawo jeszcze było. Chłopaki śpią — kto gdzie... Sprawdziłem ja: czy zegarki mam? Ale były na miejscu. W dobrym towarzystwie się bawiłem. Więc poszedłem ja do domu.
Takim to sposobem, bardzo wesoło i przyjemnie, spotkaliśmy Nowy Rok.

C.D.N.